tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 45 (1348)
3-9.11.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Andrzej Sikorski
Telus i działkowcy PiS

Edukacja zdrowotna
Zmarnowana szansa Nowackiej

Paweł Sołtys
O książkach, muzyce i Warszawie

Jacek Pałkiewicz
Jak bohaterowie „Moby Dicka"

SZASTANIE MILIONAMI

ILE KOSZTUJE NAWROCKI



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
45
9 771509 311508

eprasa.pl 1c3502e3


50 LAT rampa TEATR NA TARGÓWKU
WIRUJĄCY SEKS
POLSKIE LOVE STORY
Widowisko muzyczne inspirowane kultowym filmem „Dirty Dancing"
Zapraszamy na wesele w Marzeniowicach
w dniach 6-9 listopada oraz 12-14 grudnia
Jest tanecznie, jest intrygująco, jest pasjonująco, jest zabawnie i pojawia się
też nutka dramatyzmu. I przede wszystkim – jest zaskakująco.
portal Kobieca Intuicja
Teatr Rampa na Targówku, ul. Kołowa 20, Warszawa, teatr-rampa.pl, Dział Sprzedaży i Obsługi Widzów tel.: (22) 679 89 76, +48 573 801 004, Sprzedaż biletów online: bilety.teatr-rampa.pl, ebilet.pl, kicket.com



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Duda do prokuratury

Minęło zaledwie kilkanaście dni, a wszystko, o czym pisaliśmy w okładkowym artykule „Wilcze doły Kaczyńskiego. Zostawili długi i pustą kasę", potwierdziły pierwsze wykryte afery dwutygodniowego rządu Morawieckiego. Piszę o pierwszych, bo afer jest tam tyle, ile osób powołanych na funkcje.

Słabo ogarnięci politycy koalicji dali sobie wmówić, że w październiku minęły dwa lata ich rządu. Jakby wyparli z pamięci długi proces odrywania PiS od stanowisk. Trwało to całe dwa miesiące. Ten czas Kaczyński wykorzystał na to, by po klęsce ratować, co się da, i pozacierać ślady. By zabezpieczyć finansowo partię i swoje kadry.

Kto wymyślił tę przebiegłą operację opóźniającą przekazywanie władzy? Oczywiście Kaczyński z najbliższymi współpracownikami. Dodatkowe dwa miesiące rządów podarował im prezydent Duda. Bez jego podpisu hucpa z rządem „fachowców" Morawieckiego nie byłaby możliwa. Bez decyzji Dudy PiS nie mogłoby zostawić w resortach pustych kas i pozaciąganych wielomilionowych zobowiązań. Marionetkowy gabinet Morawieckiego skorzystał z dwutygodniowych rządów, by rozprowadzić tysiące swoich ludzi na dobrze płatnych posadach, porozdzielać podwyżki i zmienić warunki pracy na takie, by trudno było ich odwołać. Tak został np. powołany przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego.

Zatrzymano impet nowej władzy, która weszła do gabinetów tuż przed świętami. A wiadomo, jaki to jest w Polsce czas. Uczciwie o rządach tej koalicji możemy mówić dopiero od stycznia 2024 r. A dodatkowe dwa tygodnie rządów PiS to numer stulecia. Bezczelnością bijący nawet największego numeranta prawicy, czyli Daniela Obajtka. Najwyższa więc pora, by tych ludzi rozliczyć. Obajtka oczywiście też.

Wiem, kto wymusił na Dudzie uruchomienie tej operacji. Wiem, choć z pewnością nigdzie nie ma śladów tej decyzji. Kaczyński ma świadomość, że taki podpis na papierze to najszybsza droga do celi. Na to jest zbyt cwany. Poza tym nie musi tego robić, bo ma w otoczeniu ludzi, którzy z wielką ochotą wykonają wszystko, nawet na mrugnięcie okiem prezesa.

Eksprezydent Duda jest w najgorszej sytuacji. Uważam, że to, co i jak robił po 15 października 2023 r., musi zostać poddane rzetelnej analizie prawnej. Są opinie wybitnych prawników świadczące o tym, że Duda ma wiele powodów, by myśleć o procesie. I o celi. To, co robił, jest nie do obrony. Ta hochsztaplerka zbyt wiele nas kosztowała, by prokuratura się nim nie zajęła. Nie może się już chować za immunitetem. Pora więc, by ocenić też rolę Dudy w doprowadzeniu do zapaści sądownictwa czy w oszukiwaniu społeczeństwa w sprawie polityki Ukrainy wobec Polski. Nad tym nazwiskiem pali się już czerwona lampka.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 1c3502ee53

W NUMERZE

KRAJ

8 Nawrocki ma gest. Za nasze
Państwowe pieniądze wydaje się łatwo

12 Działkowcy PiS
Dziwne sprawy ciągną się za Telusem

15 Zmarnowana szansa
Edukacja zdrowotna porażką ministry Nowackiej

18 Fintechowy sukces czy wielki przekręt?
Cinkciarz.pl – piramida finansowa

20 Górki dla dewelopera
Głos lublinian kontra prawa rynku

OPINIE

23 Piotr Kimla
Czy Joseph S. Nye przegrał tak samo jak Francis Fukuyama?

24 Wiesław Żółtkowski
Co z finansami państwa?

26 Paweł Zieliński
Jaka może być przyszłość polskiej gospodarki

ZAGRANICA

28 Pokolenie ciągłego protestu
Zetki obalają rządy, tylko co dalej?

32 Dziennikarze na celowniku
Korespondencja z Rzymu

HISTORIA

36 Chruszczow w paszczy lwa
Skutki Października 1956 r.

KULTURA

40 Zdanie musi mieć melodię
– rozmowa z Pawłem Sołtysem

46 Qulturalia

66 47. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2025

PSYCHOLOGIA

47 Co nam daje nostalgia?
– rozmowa z dr. Julianem Kutyłą

SPORT

50 Wielki rewanż Szczęsnego
Polak gwiazdą El Clásico

ZDROWIE

52 Nowotwory hematologiczne – choroby niezawinione
– rozmowa z prof. Ewą Lech-Marańdą

OBSERWACJE

56 Banie, bajnie, łaźnie
Tradycja przetrwała na Suwalszczyźnie

59 Bohaterowie „Moby Dicka”
Jacek Pałkiewicz i łowcy wielorybów

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Duda do prokuratury

31 Andrzej Szahaj
Bursztowie. Wspomnienie

39 Roman Kurkiewicz
Napięcie będzie rosło

45 Tomasz Jastrun
Jarosław Polskę zbaw

55 Wojciech Kuczok
Bombowa Bigelow



28
ZAGRANICA

POKOLENIE CIĄGŁEGO PROTESTU
Zetki obalają rządy, tylko co dalej?



52
ZDROWIE

NOWOTWORY HEMATOLOGICZNE – CHOROBY NIEZAWINIONE
– rozmowa z prof. Ewą Lech-Marańdą



59
OBSERWACJE

BOHATEROWIE „MOBY DICKA”
Jacek Pałkiewicz i łowcy wielorybów



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1c3502ee53

Nieśmiertelność. Odwieczna tęsknota ludzi

Śmiało można założyć, że nieśmiertelni będą bogacze, czyli 1% populacji planety, już teraz posiadający około połowy majątku świata. W dobie przeludnienia planety raczej nieprędko zwykły zjadacz chleba będzie mógł pożyć dłużej niż obecnie.

Michał Czarnowski



•

Z jednej strony, ogromny postęp nauki, a z drugiej, ludzie masowo dają się nabierać na antynaukowe i spiskowe brednie, przez co duża część społeczeństwa przestaje wierzyć w samą naukę.

Marzanna Gniazdowska

•

Ludzie marzą o nieśmiertelności, by móc w nieskończoność scrollować internet, oglądać głupie seriale, buszować po galeriach handlowych, opychać się niezdrowym żarciem i uprawiać kibolstwo polityczne. Upojna perspektywa bezkresnego, pełnego i twórczego życia.

Rafał Wojciechowski



Szykuje się drugi Wałbrzych

Kopalnie i elektrownie węglowe powinny być powoli likwidowane z chwilą powstania pierwszej elektrowni atomowej. Do tego czasu powinno działać wszystko bez zmian, ale władza zgodziła się na to, co proponują biurokraci w Brukseli. Nasz kraj na takie rozwiązania długo nie będzie gotowy, bo i kasy brak, i fachowców. Inni na nas zarabiają, ale to nikomu nie przeszkadza. Człowiek potrzebny jest tylko w dniu wyborów.

Andrzej Kościański

Polska wieś ugina się pod ciężarem problemów

Stabilny dochód? To dziś luksus, o którym wielu marzy. Na przykład budowlaniec ma stabilny dochód, póki go nie zwolnią. Wtedy nie ma nic. A rolnicy jednak ciągle mają ziemię, budynki, inwentarz czy ruchomości. To zasadnicza różnica, bo daje cały czas możliwości, od różnej formy usług do pracy najemnej u innych. Pozostaje też sprzedaż drogiej ziemi. Czyli rolnik ma o wiele, wiele lepiej niż ten budowlaniec albo urzędnik. A w czasach kryzysowych ma szansę na przeżycie, czego miasto nie gwarantuje. I nie ma co narzekać. Pewnie mając 2 ha cebuli, chcecie żyć jak właściciel stuosobowej firmy. Ale to się skończyło. Wielkie korporacje już o to zadbają, widzę to na Pomorzu, w Wielkopolsce. Tam też potrzeba kierowców kombajnów – za grosze niestety. Czyli pilnujcie swoich gospodarstw jak źrenicy oka i nie narzekajcie. W miejsce cebuli można wpisać truskawki, maliny, czosnek, kapustę i wiele innych. A spółdzielni i sklepów spółdzielczych ni widu, ni słychu.



Wojciech Kloc

ZDJĘCIE TYGODNIA



Donald Trump i Xi Jinping w południowokoreańskim Pusan. Wyczekiwane spotkanie ma dotyczyć głównie zakończenia wojny celnej między USA i ChRL. Trump od razu ogłosił, że będzie ono wspaniałe, Xi Jinping był o wiele bardziej wstrzemięźliwy. 30 października 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1c3502ee53

Zbigniew Ziobro zdaniem prokuratury **założył zorganizowaną grupę przestępczą**, kierował nią i popełnił 26 przestępstw. Prokurator generalny wystąpił do Sejmu o **uchylenie** Ziobrze **immunitetu i zgodę na areszt.**

•

Prof. Andrzej Werblan, wybitny uczony, polityk, uczestnik wielu ważnych wydarzeń w historii Polski, kościuszkowiec, który z brygadą pancerną zdobywał Gdynię i Gdańsk, 30 października **obchodził 101. urodziny. Ad multos annos, Drogi Profesorze i nasz współpracowniku.**

•

Kolejny numer, jaki wyciął **Radosław Piesiewicz, prezes PKOl,** żenuje i ośmiesza środowisko sportowe, które z jakichś powodów nie chce go odwołać z tej funkcji. Korzystając z bezkarności, Piesiewicz podpisał umowę, w wyniku której zmieniono nazwę siedziby PKOl na **zondacrypto Centrum Olimpijskie PKOl im. Jana Pawła II.** I tak kryptowaluty zastąpiły fair play.

•

Wasyl Bodnar, ambasador Ukrainy w Polsce, nazwał prowokacją wniesienie w czasie meczu Legia Warszawa-Szachtar Donieck w Krakowie transparentu „Wołyń. Pamiętamy!". Tak Bodnar traktuje elementarny szacunek dla ofiar i prawdy historycznej. I tak odpłaca się za ogromną pomoc materialną dla Ukrainy.

•

Polska jest największym po Chinach eksporterem zniczy na świecie. W 2024 r. wysłano znicze za 727 mln euro. Najwięcej do Niemiec, Holandii i Rumunii.

•

Naszą planetę zanieczyszcza ok. **8 mld ton odpadów plastikowych.** Mikro- i nanocząsteczki są w najbardziej oddalonych miejscach oraz w organizmach ludzi, gatunków morskich i lądowych na całym świecie.

•

Do Krajowej Administracji Skarbowej wpłynęło w pierwszym półroczu 37,2 tys. zgłoszeń o nieprawidłowościach. Najwięcej od byłych współpracowników, krewnych i sąsiadów wskazywanych podatników. W ostatnich latach potwierdziło się ok. 7,5% zgłoszeń.

•

Od 1 grudnia do elektronicznego poboru opłat zostanie dołączonych ok. **645 km dróg.** Opłaty będą pobierane na prawie 5,9 tys. km dróg krajowych. Wzrosną również opłaty elektroniczne.

•

76 tys. ha ziemi przekazano nieodpłatnie w latach 1992-2019 **Kościołowi katolickiemu.**

•

Anna Skrobiszewska, wdowa po Grzegorzu Ciechowskim, przegrała proces ze Zbigniewem Krzywańskim, jednym z założycieli zespołu Republika. Sąd nakazał jej zrzeczenie się prawa do znaku towarowego Republika i przyznanie się do naruszenia dóbr osobistych Krzywańskiego.

•

W Polsce działa 16,5 tys. jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej.

PRZEBŁYSKI



Kubiczek. Syndyk, który, co chce, to może

Dziewczynki i chłopcy urodzeni w październiku 2022 r. obchodzą właśnie trzecie urodziny i słodko baraszkują w przedszkolach. A co w tym czasie działo się z kierowanymi do Ministerstwa Sprawiedliwości kilkudziesięcioma skargami i setkami pism od kilkudziesięciu podmiotów? Nie za wiele. Negatywnym bohaterem tych skarg był zawsze ten sam syndyk, Marcin Kubiczek. I tenże Kubiczek jest obecnie pod nadzorem ministerstwa. Urzędnicy mają go już po kokardę, bo muszą analizować wszystkie jego działania. Mordęga może trwać długo, bo Kubiczek jest syndykiem Getin Noble Bank, największej upadłości w Polsce. A okradzenie za czasów PiS banków Leszka Czarneckiego skończy się pewno tak, że słono za to zabulimy. Za Kubiczka też. Bo wbrew wyrokom unijnym w sprawie frankowiczów procesuje się z nimi do upadłego. Przegrywa, ale to go nie boli, bo co kwartał wydaje 50 baniek na obsługę prawną. Idzie na to 30% wpływów masy upadłościowej.

A któż tak godziwie zarabia? Kancelarie prawne współpracujące z Kubiczkiem. Jedna ma nawet ten sam adres co chorzowskie biuro syndyka.



Milioner Woś

Zostawił sobie na koncie 12 groszy z 250 tys. zł. Żartowniś? Nie. Rozpaczliwie ratujący swój majątek Michał Woś, były wiceminister sprawiedliwości u Ziobry. Ten, który podpisał się pod decyzją o bezprawnym przeznaczeniu 25 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości na zakup Pegasusa.

Woś, dziś 34-latek, postawił na Ziobrę (albo Ziobro na niego) i finansowo na tym nie stracił. Prokuratura miała na czym położyć rękę. Dom, samochód i choć ogołocone, to wcześniej wypasione konto. Jak dojść do milionowego majątku? Równolatki Wosia nawet o tym nie marzą. Czy to jeszcze jedna z tajemnic pisowskich karier?

Tako rzecze Nawrocki

Człowiek o wielu twarzach nie może mieć kompleksów. I nie ma. Co Nawrocki pokazał podczas gali kończącej XIX Konkurs Chopinowski. „Miszcz" mowy polskiej sypnął takimi perełkami:

„Swoista wirtuozeria";
„Wielka kaloria intelektualna żiri";
„Żal oddawał za sprawą nut";
„Chopin jest w istocie postacią historyczną";
„Wspaniałym twórcom gratuluje";
„Niech żyje Chopin".

Może ten tekst Nawrockiemu napisała Beata Kempa? Znana z fryzur melomanka na etacie doradcy prezydenta.

Cłami w polskie mleko

Drodzy konsumenci, czy lubicie polskie mleko, nabiał, masełko? Pewnie tak. Korzystajcie więc, bo zbliżają się kłopoty. Duże problemy, których ojcem jest „wielki przyjaciel Karola Nawrockiego", Donald Trump.

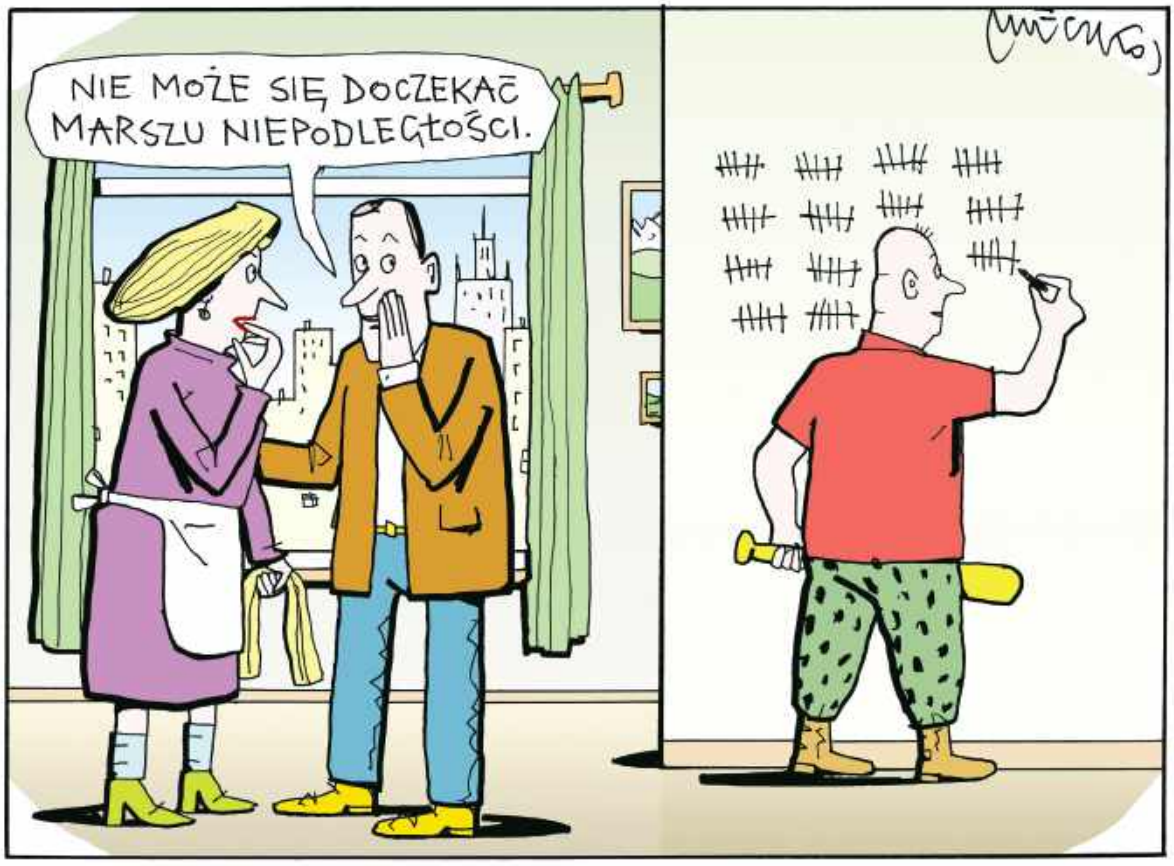
Amerykański skandalista wprowadza od 1 stycznia dla Unii Europejskiej, a więc i Polski, 15-procentowe cła na eksport żywności do USA. Zapomnijmy wobec tego o polskim eksporcie produktów rolnych do USA. Będzie odwrotnie. Amerykanie, którzy tracą rynek chiński, będą wpychać swoje masło i tłuszcze do Unii i do Polski. Przed nami ostra wojna o konsumenta. Stracą nasi hodowcy i mleczarnie. Wielu z nich nie przeżyje amerykańskiej inwazji. Ale czy to boli Nawrockiego i innych lizusów gotowych dla Amerykanów zrobić wszystko, co tylko zechcą?



FOT. YOUTUBE, X, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1c3502ee53

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



PYTANIE TYGODNIA | Jeśli świat jest wielobiegunowy, to jakie państwa są jego biegunami?

PROF. BOHDAN SZKLARSKI,
amerykanista, Ośrodek Studiów Amerykańskich UW

Biegunami współczesnego świata są USA i Chiny, a więc dwa mocarstwa, które wciąż nie określiły, czy łączy je konflikt, czy rywalizacja. Model dwubiegunowości odziedziczyliśmy po zimnej wojnie, lecz dziś jego kształt jest niepewny. Europa nie ma realnej siły militarnej, Rosji brakuje znaczenia gospodarczego, a Indie mimo potencjału demograficznego wciąż są za słabe ekonomicznie i wojskowo. Militarne bieguny to USA i Chiny z Rosją jako ich „księżycem". Gospodarczo Europa mogłaby być samodzielna, gdyby nie zależność od USA. Bieguny tworzą też bloki: Zachód z NATO i UE oraz Szanghajska Organizacja Współpracy.

PROF. STANISŁAW BIELEŃ,
politolog

Po zimnej wojnie system międzynarodowy stał się unipolarny. USA zyskały dominację, narzucając światu własne reguły i wartości. Dziś jednak, w wyniku rosnącej siły Chin, Rosji oraz ugrupowań takich jak BRICS, SzOW, ASEAN czy Mercosur, obserwujemy proces multipolaryzacji. Mimo to nie istnieje żaden równorzędny wobec USA ośrodek potęgi. System pozostaje więc uni-multimodularny, a Stany Zjednoczone nadal wyprzedzają resztę świata pod względem wpływów i potencjału.

DR HAB. KAMIL ZAJĄCZKOWSKI,
politolog, Centrum Europejskie UW

Porządek międzynarodowy się zmienia, a dotychczasowe mocarstwa muszą się liczyć z nowymi potęgami. W Azji prym wiodą Chiny, które mimo spowolnienia gospodarczego pozostają liderem innowacji i technologii oraz dominują w przetwarzaniu metali ziem rzadkich. Indie, choć wciąż odstają, szybko się rozwijają, a Indonezja zyskuje znaczenie dzięki ogromnemu potencjałowi ludnościowemu. Stany Zjednoczone pozostają biegunem technologii i innowacji, utrzymując stabilną gospodarkę mimo napięć politycznych. W Ameryce Południowej rośnie znaczenie Brazylii, natomiast Unia Europejska, mimo że traci siłę poszczególnych państw, jako całość pozostaje liczącym się graczem ekonomicznym, choć stoi przed wieloma wyzwaniami związanymi m.in. z konkurencyjnością, transformacją technologiczną i energetyczną.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 1c3502ee53

NAWROCKI MA GEST.

NAJŁATWIEJ WYDAJE MU SIĘ PAŃSTWOWE PIENIĄDZE

Robert Walenciak

Wstydu nie ma. Ma być drogo. Karol Nawrocki dopiero zaczyna pisać swój rozdział jako prezydent RP, ale już wiemy, na co powinniśmy uważać. Otóż powinniśmy uważać na pieniądze. Nawrocki chce dużo wydawać, dużo jeździć po świecie i, urzędując, cieszyć się pełnią życia. W Instytucie Pamięci Narodowej, którym kierował, kontrola NIK wykryła, że dziesiątki milionów złotych wydawano w sposób „nieoszczędny i nieefektywny".

W Kancelarii Prezydenta nic jeszcze nie wykryto, poza jednym: planuje ona najwyższe w swojej historii wydatki. Bo ma być dużo zagranicznych wyjazdów. I większe pieniądze na urzędników, większy dwór.

IPN i Kancelarię Prezydenta łączy osoba Karola Nawrockiego. Ale łączy je jeszcze jedno – obie instytucje pokazują, jak prawica rządzi się, szastając publicznymi pieniędzmi. To bardziej przypomina zwyczaje dyktatur z obszaru tzw. Trzeciego Świata, bo na pewno nie Europę.

IPN – ale on jeździł!

Najwyższa Izba Kontroli niedawno przedstawiła raport dotyczący IPN. I choć przedstawiciel NIK robił wiele, by prezentować wnioski w sposób jak najłagodniejszy, ów raport był szokiem. Pokazał bowiem skalę finansowego szaleństwa ludzi kierujących IPN, ocierającego się o działania przestępcze.

Warto przytoczyć słowa prezentującego raport wiceprezesa NIK Jacka Kozłowskiego: „Skierujemy do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, nie wskazując ani nie oskarżając nikogo, bo my nie jesteśmy oskarżycielem publicznym. To dopiero prokuratura, analizując nasz wniosek, przekształca go w ewentualny akt oskarżenia, wskazując konkretne osoby".

Czy wśród tych osób będzie Karol Nawrocki? Przyjrzyjmy się, jak działał IPN pod jego kierownictwem.

Oczywiście, co nie zaskakuje, urzędnicy IPN wiele jeździli po świecie. W latach 2022-2025 podróże służbowe do 45 państw odbyło 275 pracowników Centrali IPN, co kosztowało 6,7 mln zł. W tej grupie wyróżniał się prezes Karol Nawrocki, który miał na koncie 25 służbowych podróży zagranicznych do 16 krajów (w tym Argentyny, Kanady, Meksyku, RPA, Stanów Zjednoczonych i Zimbabwe). Jego zastępcy odbyli łącznie 43 służbowe podróże zagraniczne do 23 krajów (w tym Argentyny, Gruzji, Islandii, Izraela, Mongolii, Tunezji, Ukrainy i Włoch).

Raport NIK jest bezlitosny: IPN marnotrawi miliony na książki, których nikt nie czyta, i na przedsięwzięcia, które mało kogo interesują.

Po co Nawrocki jeździł do Meksyku lub Zimbabwe? Klimat tych wyjazdów możemy przybliżyć, czytając sprawozdanie z wyjazdu prezesa IPN do USA i Meksyku 6-12 czerwca 2022 r. Wyjazd kosztował prawie 200 tys. zł. Początkowo miał się ograniczyć do Stanów, ale już w trakcie pobytu tam zdecydowano, że zostanie przedłużony o wizytę w Meksyku „celem omówienia z przedstawicielami studia filmowego możliwości dalszej współpracy w zakresie promowania projektów edukacyjnych IPN za granicą".

W związku z taką niespodziewaną zmianą planów trzeba było zrezygnować z biletów powrotnych do Polski oraz kupić bilety do Mexico City, a stamtąd do Warszawy. Kosztowało to 60 tys. zł, co NIK wytknęła IPN. Podobnie jak związane z tym koszty testu PCR na obecność wirusa COVID-19. Członkowie delegacji wykonali go w punkcie pobrań, za standardową kwotę 200-400 zł, natomiast prezes IPN zażyczył sobie usługę z dojazdem do pacjenta, co kosztowało 2,5 tys. zł. Dodajmy, że o efektach meksykańskich rozmów nic nie wiadomo.

Czy to zaskakujące? Raczej nie. Nawrocki jeszcze jako dyrektor gdańskiego muzeum wydał na podróże zagraniczne 800 tys. zł, odwiedzając m.in. Hawaje. W towarzystwie nowej wicedyrektor placówki, wcześniej trenerki zumby.

Jak wiemy, Nawrocki to także amator państwowych apartamentów. Będąc prezesem IPN, w Warszawie mieszkał w takowym. Centrala IPN dysponuje 10 lokalami gościnnymi. Wykorzystują je pracownicy i płacą za to określone kwoty. Ale nie dotyczyło to Karola Nawrockiego.

eprasa.pl 1c3502ee53

ZA NASZE



Jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej Nawrocki wydał na podróże zagraniczne 800 tys. zł. Nz. delegacja muzeum w Nowej Zelandii. Wellington, 10-13 lutego 2020 r.

Gdy został prezesem IPN, użyczono mu największy lokal, o powierzchni 70 m kw. Wcześniej mieszkał w nim jeden z wiceprezesów IPN i płacił czynsz w wysokości 2 tys. zł miesięcznie. Nawrocki nie płacił nic.

IPN – ależ oni grabią!

A działalność instytutu? Kontrolerzy NIK napisali, że badali rozdysponowanie przez IPN 105 mln zł i stwierdzili nieprawidłowości w odniesieniu do niemal połowy tej kwoty (47,6 mln zł). IPN hulał z wydatkami, organizując kongresy, festiwale oraz rozmaite programy edukacyjne, i wszystko słono opłacał.

Na przykład w dniach 13-15 kwietnia 2023 r. organizował na Stadionie Narodowym Ogólnopolski Kongres Pamięci Narodowej, który kosztował 11,6 mln zł. NIK zakwestionowała z tej sumy wydatki w kwocie 341,3 tys. zł. Ale równie interesujące jest to, że w dyskusjach w trakcie kongresu uczestniczyło 15 naukowców, których IPN zaprosił. Ich wynagrodzenia, pisze NIK, były zawyżone łącznie o 47,6 tys. zł. I dodaje: „Ustalenie stawek wynagrodzeń niekiedy kilkudziesięciokrotnie przekraczających ustaloną przez Prezesa IPN wysokość miało charakter uznaniowy".

Ciekawy jest jeszcze inny fragment. Dowiadujemy się, że „wydatki na organizację kongresu ogólnopolskiego poniesiono we wszystkich oddziałach IPN na łączną kwotę 1 483,7 tys. zł, w tym 199,3 tys. zł na transport i ubezpieczenie uczestników. Oddziały, na polecenie Centrali IPN, sfinansowały m.in. dowóz uczestników na kongres w Warszawie z terenu całego kraju. Miało to zapewnić udział młodzieży oraz organizacji patriotycznych w wydarzeniu".

Mamy więc wioskę potiomkinowską – IPN zorganizował za 11 mln zł kongres, zapłacił naukowcom stawki z księżyca, żeby tylko przyszli i dyskutowali, a na dodatek zwiózł autokarami młodzież z całej Polski, żeby była publiczność.

A czy ta publiczność chętnie chłonęła IPN-owskie treści? Po lekturze raportu NIK można mieć wątpliwości. Bo niemal co akapit dostajemy dowód wyrzucania publicznych pieniędzy w błoto.

Książki? „W latach 2022-2024 wydano i przeznaczono do sprzedaży 704 749 publikacji, z tego sprzedano 154 895 szt. za łączną kwotę 2 749,3 tys. zł – pisze NIK. – Pomimo stosowania polityki rabatowej dla podmiotów zewnętrznych oraz prowadzonych działań promocyjno-reklamowych poziom sprzedaży publikacji w tym okresie był znacznie niższy od nakładów. (…) Spośród przeznaczonych do sprzedaży publikacji z lat 2022-2024 przekazano nieodpłatnie różnym podmiotom, instytucjom i osobom łącznie ok. 242 340 szt. publikacji (tj. 34% ogółu publikacji) w ramach popularyzacji czytelnictwa książki historycznej". Innymi słowy, drukują, a potem rozdają.

IPN przerzucił się więc na „działalność edukacyjno-kulturalną". Wyasygnował na to dziesiątki milionów złotych. Jednakże, jak wyliczyła NIK, „na realizację działań edukacyjno-kulturalnych oraz na bieżące funkcjonowanie Instytutu niecelowo i niegospodarnie wydatkowano 15 mln zł".

Rekordowa pod względem wyrzucania pieniędzy w błoto okazała się komputerowa „Gra szyfrów". Kosztowała ona 4,7 mln zł, cztery razy więcej niż sama produkcja. Wydatki na „Grę szyfrów" obejmowały m.in. udział pracowników IPN w targach komputerowych w Niemczech, Tajlandii i USA. W sumie, jak podliczono, było 39 wyjazdów zagranicznych i krajowych na targi gier lub innego rodzaju wydarzenia za łączną kwotę 4 209,3 tys. zł. Efekty? W styczniu 2025 r. średnia dzienna liczba graczy wyniosła… 64 osoby.

Biuro Nowych Technologii IPN wymyśliło awatary znanych postaci historycznych. Kupiono nawet licencję. Za ponad 3,5 mln zł. Kłopot w tym, że awatary nie działają.

Karol – patron nowej klasy próżniaczej

Karol Nawrocki już jako prezes IPN utworzył sześć nowych jednostek organizacyjnych (NIK przypomina, że

eprasa.pl 1c3502ee53

tym samym złamał ustawę): Biuro Nowych Technologii, Biuro Współpracy Międzynarodowej, Biuro Rzecznika Prasowego, Biuro Przystanków Historia, Biuro Wydarzeń Kulturalnych oraz Centralny Przystanek Historia im. Lecha Kaczyńskiego.

Zamierzał też powołać oddziały zagraniczne IPN, choć ustawa tego nie przewiduje. Rozpoczął działania, by utworzyć stałą placówkę w Waszyngtonie. Przygotowania pochłonęły 397 tys. zł. To koszt m.in. opinii prawnych, tłumaczenia umów czy opracowania koncepcji wnętrza lokalu. Z przedsięwzięcia zrezygnowano ostatecznie w 2024 r. A 397 tys. zł wpisano w koszty. Bo cóż one znaczą obok milionów, którymi IPN obraca?

Tak zwana edukacja, koncerty i imprezy to dziś trzy czwarte działalności IPN. Wszystko idzie w propagandę. W latach 2022-2025 (I kwartał) w Centrali IPN na promocję w mediach społecznościowych wydatkowano 990 tys. zł, z tego najwięcej w ramach działalności Biura Prezesa – 289 tys. zł oraz Wydawnictwa IPN – 283 tys. zł. Poza tym zlecono agencji marketingowej za kwotę ponad 110 tys. zł rocznie obsługę bieżącą w mediach społecznościowych, obejmującą m.in. przygotowanie postów i reagowanie na aktywności odbiorców.

IPN zatrudnia 2,5 tys. pracowników i ich liczba się zwiększa. Ale jeszcze szybciej rośnie budżet IPN. Pytany o to Marek Sowa (KO), wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Finansów Publicznych, odpowiada: „IPN w roku 2015 to była instytucja z budżetem na poziomie 250 mln zł. Za PiS wydatki instytutu wzrosły – w roku 2024 wynosiły 584 mln zł. Teraz proponuje nam się 650 mln zł! To jest ta skala!”.

Zatrzymajmy się przy tych słowach. Czy między rokiem 2015 a 2025 zadania IPN się zmieniły? Zwiększyły? Co więc się zmieniło, że ta instytucja dostaje ponad dwa razy więcej, niż dostawała? Odpowiedź jest chyba łatwa: klimat polityczny się zmienił. PiS pompowało w IPN pieniądze, wierząc, że wyhoduje on nowego Polaka. I gromada cwaniaków zrobiła sobie z tego sposób na życie.



Karol Nawrocki podczas uroczystości 80. rocznicy utworzenia ONZ nie rezygnuje z przyzwyczajeń. Będzie miał na nie odpowiedni budżet.

A teraz pytanie numer dwa. IPN domaga się budżetu rzędu 650-680 mln zł. Czy tyle dostanie? „Tym razem, mogę to powiedzieć, w pracy nad budżetem IPN bardzo pomaga nam raport NIK”, odpowiada Sowa. Możemy zatem mieć nadzieję, że szaleństwo wreszcie zostanie zatrzymane? Czy tylko lekko ociosane?

Raport NIK jest bowiem dla IPN bezlitosny. Pokazuje instytucję, która marnotrawi miliony – na książki, których nikt nie czyta, na imprezy, na które zwozi się ludzi, na przedsięwzięcia, które mało kogo interesują. Ale jest ruch w interesie. W dzisiejszej prawicowej Polsce można dobrze żyć z krzewienia patriotyzmu i opowiadania o „wyklętych”. Mamy nową klasę próżniaczą, czyli ludzi żyjących za państwowe pieniądze z klepania pseudopatriotycznych banałów. A Karol Nawrocki jest tej klasy próżniaków klasycznym przykładem.

Coraz mniejszą grupę ludzi to interesuje, ale idą na to coraz większe pieniądze – nasze pieniądze.

Kancelaria, czyli tanio już było

Ten system – krzyku, że miłość do ojczyzny, że pamięć itd., i jednocześnie wyciągania ręki po pieniądze – przeniesiony został do Kancelarii Prezydenta.

Przez lata była to instytucja daleka od biurokratycznego rozdęcia, chociaż dość zasobna. Wystarczy przypomnieć, jak Bronisławowi Komorowskiemu wypominano, że pod względem kosztów swojej kancelarii jest czwartym europejskim przywódcą. Po prezydentach Francji i… Włoch oraz brytyjskiej rodzinie królewskiej. Tańsze od Kancelarii Prezydenta RP były wówczas Kancelaria Prezydenta Niemiec czy Kancelaria Prezydenta Czech. A przypomnijmy, że w roku 2015 budżet Kancelarii Prezydenta RP wynosił 165 mln zł. Aż przyszedł Andrzej Duda.

I choć konstytucja się nie zmieniła, a prezydent RP ma wciąż te same, dość ograniczone kompetencje, to Kancelaria Prezydenta w czasach Andrzeja Dudy gwałtownie się rozrosła. Jej budżet za rok 2025 sięgał 298 mln zł.

W sierpniu Kancelaria Prezydenta przedstawiła projekt swojego budżetu na rok 2026. I to był szok, bo propozycja wyniosła 325,5 mln zł (wzrost o 26,6 mln zł, czyli o 8,9% więcej niż w 2025 r.). Tyle mamy płacić za wetowanie.

Narzucają się więc pytania. Skąd ten wzrost? Skąd żądania tego rodzaju?

Kancelaria już odpowiedziała. Wzrost jest tak duży, ponieważ Karol Nawrocki planuje intensywnie składać wizyty zagraniczne. Jeszcze nie wiadomo do końca, dokąd zamierza jechać, ale mniej więcej wiemy za ile. Otóż Kancelaria Prezydenta chce przeznaczyć na podróże zagraniczne i krajowe Karola Nawrockiego aż 4,8 mln zł. Czyli o 1,6 mln zł więcej, niż wynosiły wydatki na podróże

FOT. WWW.GOV.PL, PLATFORMA X

eprasa.pl 1c3502ee53

zagraniczne obu prezydentów w roku bieżącym (3,2 mln zł).

Drugim argumentem, który podnosi Kancelaria Prezydenta, są plany jej powiększenia, ekipa Nawrockiego chce zatrudniać nowych urzędników. Ponadto o 11,4 mln zł więcej mają pochłonąć wynagrodzenia. I to nie tylko z uwagi na podwyżki zaplanowane dla całej budżetówki, ale też – jak pisze kancelaria – w związku ze „wzmocnieniem kadrowym w obszarze informatycznym, w tym w szczególności w zakresie cyberbezpieczeństwa, nowych technologii i analiz".

Kancelaria chce również zwiększyć o 10,4 mln zł tzw. pozostałe wydatki bieżące. A to dlatego, że spodziewa się przyjazdów do Polski głów innych państw. Trzeba więc gości godnie przyjąć.

Czy Sejm powinien ten budżet zaakceptować? „Wydatki Kancelarii Prezydenta zostaną przez Sejm przejrzane i ich ostateczną formułę poznamy w uchwale budżetowej – mówi Marek Sowa z KO. – Mieliśmy już posiedzenie Komisji Finansów Publicznych, na którym wydatki Kancelarii Prezydenta były przedstawiane. Był minister Przydacz i udzielał odpowiedzi. Decyzji w tej sprawie nie podjęliśmy, przeglądamy wydatki i zapewne jakaś korekta nastąpi. Jaka? Jesteśmy kilka tygodni przed końcem pracy, komisja zamierza zakończyć ją do końca listopada".

Triki i ta atmosfera

Zresztą rękę Karola Nawrockiego widać w sposobie, w jaki zorganizowana jest jego kancelaria. Gdzie stanie jego noga, tam wyrastają nowe komórki organizacyjne i nowe stanowiska. Obecna Kancelaria Prezydenta jest w tym rekordzistką. Nawrocki powołał Zbigniewa Boguckiego na szefa kancelarii, a ponadto pięciu sekretarzy stanu i pięciu podsekretarzy stanu. Czyli mamy urzędnika w randze ministra i dziesięciu w randze wiceministrów.

Do tego kancelaria składa się z 20 biur. Mamy zatem 20 dyrektorów. A oprócz tego Karol Nawrocki powołał 13 doradców etatowych.

To armia ludzi, którym trzeba płacić. Ile? W kancelarii Andrzeja Dudy pod koniec 2024 r. było 365 etatów, a pracownikom w ciągu roku wypłacono 59 mln zł. Teraz pieniędzy na wypłaty ma być więcej. Bo i więcej jest prezydenckich ministrów. Będą oni otrzymywać, jak wyliczyli dziennikarze, ok. 17-18 tys. zł miesięcznie plus wysługa lat. Dyrektorzy – między 11 tys. a 16 tys. zł, natomiast doradcy między 9 tys. zł a 15 tys. zł.

Czy zasługują na te pieniądze? O tym pewnie wkrótce się przekonamy. Na razie widać, że Kancelaria Prezydenta składa się z trzech grup. Pierwsza, stosunkowo niewielka, to ludzie odziedziczeni po Andrzeju Dudzie. Przykładem są tu Wojciech Kolarski, Dariusz Dudek czy były szef ABW Krzysztof Wacławek.

Druga grupa to nadzorcy z PiS. Oni dziś zajmują kluczowe stanowiska. To szef kancelarii Zbigniew Bogucki i szef Gabinetu Prezydenta Paweł Szefernaker.

No i ważną grupą są ludzie, których Nawrocki ciągnie za sobą. Pracowali z nim w Muzeum II Wojny Światowej, potem w IPN, a teraz są w kancelarii. To Jarosław Dębowski, były dyrektor Biura Prezesa IPN, Mateusz Kotecki, Magdalena Głowa, była dyrektor generalna w IPN, Magdalena Hajduk, była szefowa Biura Nowych Technologii w IPN – tego najbardziej dofinansowywanego – która jeździła z Nawrockim do USA i Meksyku. To także kilku innych doradców. No i jest jeszcze Sławomir Cenckiewicz, którego prezydent uczynił szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Jak ta absolutnie niejednorodna grupa będzie współpracować? Odpowiedź chyba jest jasna: źle. Dla ludzi z PiS szefem zawsze będzie Jarosław Kaczyński i to jego interes będą realizować. Są więc w Kancelarii Prezydenta niczym namiestnicy. Z kolei ci z IPN to wciąż polityczna trzecia liga.

Ale łączy ich jedno. Dobre zarobki. O to Nawrocki na pewno zadba. Ma doświadczenie z czasów Muzeum II Wojny Światowej, a zwłaszcza z IPN. Wie, że – tak jak w „Misiu" – najwięcej zarabia się na wielkich imprezach, podlanych patriotycznym sosem. U Barei miś był ze słomy, w czasach IPN ma barwy biało-czerwone.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

LIST

Bogdan Klich ma za swoje

Bogdan Klich, z zawodu psychiatra, były minister obrony narodowej, a obecnie ambasador in spe, ma to, na co zasłużył. Myślę tu nie o synekurze w Waszyngtonie, tylko o upokarzających afrontach, jakich doświadcza ze strony przeciwników politycznych. Kto pamięta, jak traktował emerytowanego prezydenta RP Wojciecha Jaruzelskiego, pomyśli: „Dobrze ci tak, masz za swoje".

Przypomnę, jak Klich znęcał się nad nim, kierując ministerstwem. Generałowi np. odmawiano możliwości korzystania z wojskowych ośrodków wczasowych, nie wpuszczono go na teren Wojskowego Instytutu Techniki Lotniczej na spotkanie kombatanckie organizowane przez Wojewódzki Mazowiecki Związek Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy w 70. rocznicę hitlerowskiego najazdu na Polskę.

Klich pozbawił byłego zwierzchnika Sił Zbrojnych RP lokalu w budynku wojskowym (chociaż za to skromne lokum na biuro byłego prezydenta RP wnoszono stosowne opłaty). Chodziło najwyraźniej o kolejną upokarzającą, mściwą podłość wobec generała WP od 54 lat. Zaskoczony taką haniebną decyzją ministra Wojciech Jaruzelski napisał (6 lutego 2010 r.): „Decyzja Pana Ministra jest dla mnie, starego żołnierza – chlubiącego się frontowymi orderami i odznaczeniami – kolejny raz doznanym upokorzeniem, swoistą retorsją, wpisującą się w ciąg bezpodstawnych niegodziwości i kłamstw, których z różnym natężeniem doświadczam od 20 lat, a które ostatnio wyraźnie się spiętrzyły. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tego z tej strony".

Dodam, że Wojciech Jaruzelski wybrał emeryturę wojskową, a nie prezydencką, dając dowód skromności i przywiązania do żołnierskiej służby i więzi ze wspólnotą towarzyszy broni. I nie zmienił tej decyzji, gdy wysokość emerytury wojskowej z żądzy zemsty mu obniżono.

Stanisław Kwiatkowski

eprasa.pl 1c3502ee53

Działkowcy PiS

Czy Robert Telus trafi na ławę oskarżonych po aferze ze sprzedażą ziemi przeznaczonej pod CPK?

Andrzej Sikorski



Minister Robert Telus na otwarciu linii produkcyjnej w zakładach Dawtona. Milejów-Osada, 19 września 2023 r.

Sprawa ujawniona przez Wirtualną Polskę jest bulwersująca. W ostatnich dniach rządów PiS, czyli gdy istniał tzw. dwutygodniowy gabinet Mateusza Morawieckiego (wymyślono go po to, aby opóźnić przejęcie władzy przez obóz demokratyczny), Ministerstwo Rolnictwa wydało zgodę na sprzedaż 160 ha gruntu, który miał być przeznaczony pod budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego. Działka należała wówczas do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa, a nabywcą okazał się Piotr Wielgomas, wiceprezes firmy Dawtona i syn Andrzeja Wielgomasa, twórcy imperium spożywczego. Piotr Wielgomas zapłacił za grunty rolne niecałe 23 mln zł, ale po zmianie ich przeznaczenia cena może wzrosnąć nawet do 400 mln zł. Nie dość więc, że państwo utraciło strategiczny teren, to teraz, aby go odzyskać, będzie musiało zapłacić biznesmenowi nawet 20 razy więcej, a majątek rodziny Wielgomasów powiększy się o kolejne setki milionów złotych.

Zbiorowa amnezja

Podejrzenia wzbudza też to, że gdy Piotr Wielgomas czynił starania o kupno gruntów, minister rolnictwa Robert Telus dwukrotnie odwiedzał siedzibę Dawtony. Państwowe urzędy zaś, początkowo niechętne sprzedaży ziemi, nagle zmieniły zdanie, choć wiedziały doskonale, że teren będzie potrzebny pod budowę CPK.

Poseł PiS Marcin Horała, były pełnomocnik rządu ds. budowy CPK, najpierw utrzymywał, że nie miał o tym pojęcia, potem zmienił zdanie: stwierdził, że wiedział o wszystkim i usiłował transakcję zablokować. Polegało to na składaniu przez spółkę CPK „odpowiednich wniosków o zablokowanie sprzedaży działki", co brzmi mało przekonująco. A wystarczyło o wszystkim poinformować prezesa PiS. Jarosław Kaczyński nie musiałby teraz świecić oczami przed elektoratem i w atmosferze skandalu zawieszać w prawach członków PiS byłego ministra rolnictwa i jego zastępcy Rafała Romanowskiego.

Tłumaczenia Telusa również są niewiarygodne. Polityk twierdził, że o sprzedaży działki „nic nie wiedział", i dał do zrozumienia, że to prowokacja Donalda Tuska za to, że „bardzo mocno atakuje rząd za umowę z Mercosurem". Zabrzmiało to wręcz zabawnie, bo przecież rząd PiS pod wodzą Morawieckiego optował za tym, aby Unia Europejska zawarła umowę o wolnym handlu ze Wspólnym Rynkiem Południa. Telus bredził też, że „gdyby to była firma inna, niemiecka, to może ta sprawa by w ogóle nie wypłynęła". Co zirytowało nawet dziennikarza propisowskiej TV Republika, który zwrócił Telusowi uwagę: „Nie, panie ministrze, nie sprowadzajmy do absurdu teraz tej sprawy i tej sytuacji".

Sami swoi

Oprócz posłów PiS w aferze przewijają się nazwiska: Waldemara Humięckiego, byłego dyrektora generalnego KOWR, jego zastępcy Jana Białkowskiego, Marcina Wysockiego – byłego dyrektora warszawskiego oddziału KOWR, jego zastępcy Jerzego Wala oraz Krzysztofa Wosia – byłego prezesa Wód Polskich. Powiązani z PiS urzędnicy KOWR pod skrzydłami Telusa i Romanowskiego pilotowali sprzedaż ziemi. Natomiast Woś dwa dni po wizycie Telusa

eprasa.pl 1c3502ee53

w Dawtonie orzekł, że na działce, którą chciał kupić Piotr Wielgomas, nie ma naturalnych cieków wodnych, choć wcześniej jego podwładni twierdzili co innego. Zgodnie z prawem wody płynące należą do skarbu państwa i nie można ich sprzedawać, co automatycznie blokuje jakąkolwiek próbę nabycia działki. Ale decyzja Wosia odblokowała patową sytuację, otwierając drogę do sprzedaży 160 ha cennych gruntów.

Waldemar Humięcki jako prezes Agencji Nieruchomości Rolnych w 2016 r. fałszywie oskarżył o nadużycia i wyrzucił z pracy długoletnich szefów stadnin w Janowie Podlaskim i Michałowie: Marka Trelę oraz Jerzego Białoboka. Pracę straciła też Anna Stojanowska, główna specjalistka ds. hodowli koni w ANR. To Humięcki sprokurował donos na byłych dyrektorów stadnin, a upolityczniona prokuratura przez osiem lat prowadziła śledztwo, choć nie było ku temu żadnych przesłanek (o sprawie pisaliśmy w tekście „Stadniny na dnie", nr 51/2023). Gdy w grudniu 2023 r. śledztwo zostało umorzone, Humięcki nie dał za wygraną i złożył zażalenie, mimo że to pod rządami politycznych nominatów PiS słynne hodowle zostały doprowadzone do ruiny.

Humięcki jako prezes KOWR był na cenzurowanym. Rolnicy oskarżali państwową agencję o to, że w niejasnych okolicznościach oddaje ziemię w dzierżawę zagranicznym spółkom, zamiast sprzedać ją polskim gospodarstwom. Władysław Serafin, wieloletni prezes kółek rolniczych i były poseł PSL, stwierdził nawet, że w KOWR działa zorganizowana grupa przestępcza pod wodzą Humięckiego. „Jarosław Kaczyński wali cały czas w Niemców, a jego ludzie oddają im ziemię. I dzieje się to pod jego okiem, bo KOWR kieruje jego człowiek. Kaczyński i Morawiecki kłamią. A Rafał Romanowski kryje to towarzystwo z KOWR. Ludzie z KOWR i zachodni dzierżawcy razem piją, bawią się i ustalają warunki dzierżawy", mówił Serafin podczas protestu.

Jan Białkowski, były zastępca Humięckiego w KOWR, to kolega Telusa. Panowie znają się z działania w rolniczej Solidarności. Za rządów PiS Białkowski oprócz pracy w KOWR był wiceministrem rolnictwa i wicedyrektorem w podległym ministerstwu Narodowym Instytucie Kultury i Dziedzictwa Wsi.

Ciekawą postacią jest Marcin Wysocki, były dyrektor warszawskiego oddziału KOWR. Jako dyrektor KOWR w 2022 r. dostał posadę w Radzie Dyrektorów Lotos Exploration & Production Norge, spółki zależnej od PKN Orlen (zarejestrowanej w Norwegii), do której trafiali ludzie Daniela Obajtka. Według ustaleń dziennikarzy Radia Zet wkrótce po zatrudnieniu Wysockiego w Lotos Norge KOWR zrezygnował z prawa pierwokupu dwóch działek o łącznej powierzchni 16 ha w nadmorskiej gminie Choczewo, które trafiły do… Obajtka. Mechanizm sprzedaży ziemi byłemu wójtowi Pcimia był bliźniaczo podobny do afery z gruntami pod CPK. Otóż Obajtek kupił ziemię w pobliżu planowanej budowy elektrowni jądrowej. Gdyby inwestycja ruszyła, mógłby ziemię odsprzedać z zyskiem państwu albo wydzierżawić. Żeby było ciekawiej, zanim Humięcki został dyrektorem KOWR, także był podwładnym Obajtka – pracował w spółkach zależnych od PKN Orlen.

Jerzy Wal, zastępca Wysockiego w warszawskim oddziale KOWR, to były radny powiatowy PiS w Pułtusku i prezes Pułtuskiego Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych. Gdy PiS doszło do władzy, nie tylko został dyrektorem w KOWR, ale też trafił do rady nadzorczej Państwowego Holdingu Nieruchomości, gdzie miał zarobić ok. 250 tys. zł.

Wymienieni staną wkrótce przed obliczem prokuratora. Wiele wskazuje na to, że sprawa działek pod CPK jest rozwojowa. Jak przyznał Mikołaj Wild, były pisowski prezes CPK, działka, którą kupił Piotr Wielgomas, nie była jedyną nieruchomością skarbu państwa w pobliżu lotniska, wobec której CPK dostał od KOWR decyzję odmowną i „można było odnieść wrażenie, że instytucje państwowe nie przyjmują do wiadomości, że wskazane tereny utracą swój rolniczy charakter, gdy obok powstanie międzykontynentalne lotnisko", a „interes niektórych lokalnych przedsiębiorców został w tej sprawie przedłożony ponad interes skarbu państwa". Czyli urzędnicy rządu PiS i podwładni partyjni Jarosława Kaczyńskiego sabotowali sztandarową inwestycję swojej władzy…



Robert Telus, Joanna Borowiak i Joanna Lichocka na konwencji PiS w Katowicach, 25 października 2025 r.

Interes posła z kryminalistą

Wróćmy jednak do Roberta Telusa. Otóż za wpływowym posłem i byłym ministrem rolnictwa ciągną się dziwne sprawy. W 2021 r.

eprasa.pl 1c3502ee53

Prokuratura Okręgowa w Płocku prowadziła śledztwo po doniesieniu Błażeja D., kryminalisty odsiadującego wyrok 25 lat więzienia za usiłowanie zabójstwa. Mężczyzna twierdził, że sprzedał Telusowi trzy działki o łącznej powierzchni ok. 1,5 ha po zaniżonej cenie. W zamian poseł PiS (który był jego znajomym) miał mu obiecać wznowienie procesu dzięki swoim wpływom w Ministerstwie Sprawiedliwości. Telus znał nie tylko Błażeja D., ale i jego niedoszłą ofiarę



Już zawieszeni w prawach członków PiS były minister rolnictwa i jego zastępca Rafał Romanowski.

– Ryszarda B. Pośrednikiem w transakcji (jako pełnomocnik przestępcy) była koleżanka Telusa, działaczka PiS i sołtyska wsi Ogonowice Aneta Wdówka. Warunki sprzedaży działek Błażej D. negocjował osobiście z Telusem, dzwoniąc z więzienia na komórkę wybrańca narodu.

Prokuratura umorzyła śledztwo, nie dopatrując się niczego niestosownego w transakcji. Nie znalazła też dowodów na to, że Telus obiecał interwencję w sprawie Błażeja D. w ministerstwie. Jednak w oświadczeniach majątkowych posła nie ma wzmianek o zakupie działek, co wskazuje na to, że albo posiadanie ich zataił, albo musiał szybko się ich pozbyć, np. przepisał na kogoś z rodziny.

Żona i córka posła Telusa dzierżawiły od Lasów Państwowych kilkunastohektarowe gospodarstwo w osadzie Ceteń w nadleśnictwie Opoczno, gdzie hodowały konie. W 2024 r. kontrolerzy LP ujawnili na terenie gospodarstwa martwe zwierzęta, wybudowaną bez pozwolenia wiatę, ogrodzenie sięgające poza dzierżawione grunty oraz drzewa wycięte bez zgody nadleśnictwa. W wyniku stwierdzonych nieprawidłowości LP wypowiedziały rodzinie Telusa umowę dzierżawy i dały trzy miesiące na opuszczenie ziemi. Poseł twierdził, że zarzuty to oszczerstwa, konie zostały zagryzione przez wilki, a w ogóle to chodzi o zemstę polityczną nowej władzy. Telus biadolił, że nie zdąży w ciągu trzech miesięcy przenieść koni i będzie musiał je oddać na rzeź. A jako wielki miłośnik zwierząt ich losem przejmuje się tak bardzo, że gdy one chorują, on choruje razem z nimi.

Byłemu ministrowi odpowiedział Jacek Chudy, dyrektor Lasów Państwowych w Łodzi: „Poseł Telus opowiada głupoty o rzezi zwierząt, ale przecież on ma swojej ziemi ok. 50 ha, niech tam przeniesie te płoty i tam hoduje konie. Nikt nie będzie się dorabiać na gruntach Lasów Państwowych. (…) Proszę sobie wyobrazić staw, w którym od kilku miesięcy pływają martwe konie, a inne zwierzęta piją tę wodę. W stawie znaleźliśmy dwa konie, trzeci leżał pod wiatą zeżarty przez ptaki czy lisy”.

Najgorszy minister w historii III RP

Robert Telus jest posłem nieprzerwanie od 2007 r. Posiadacz dyplomu MBA aferalnej uczelni Collegium Humanum nigdy nie należał do aktywnych polityków. Ministrem rolnictwa został w kwietniu 2023 r. Jarosław Kaczyński postawił przed nim ambitne zadanie. Miał się pozbyć produktów rolnych z Ukrainy, które zalewały polski rynek, opróżnić zapchane zbożem magazyny i złagodzić nastroje na wsi, by rolnicy poparli PiS w jesiennych wyborach.

Telus na stołku ministra był tylko figurantem, kluczowe decyzje podejmował prezes Kaczyński. Choćby tę o zamknięciu przez rząd granicy dla ukraińskiej żywności, co wywołało irytację nie tylko wschodnich sąsiadów, ale i Unii Europejskiej, która nie została wcześniej o tym powiadomiona. Aby rozładować napięcia i niezadowolenie rolników, którzy wyszli na ulice, prezes PiS obiecał, że rząd kupi od nich zboże po gwarantowanej cenie. Telus jeździł po Polsce uspokajać chłopów, że partia dba o ich interesy, a wszystkie ich kłopoty to wina wojny w Ukrainie i wstrętnej Unii, choć komisarzem ds. rolnictwa był jego partyjny kolega Janusz Wojciechowski.

Specjalizująca się w tematyce rolnej Krystyna Naszkowska z „Gazety Wyborczej” w 2023 r. przygotowała ranking najlepszych i najgorszych ministrów rolnictwa III RP. Telusa umieściła na pierwszym miejscu w drugiej grupie, charakteryzując go tak: „To aparatczyk partyjny, każde jego wystąpienie to akt propagandowy, który ma służyć utrzymaniu poparcia wsi dla PiS. Dla swoich krytyków ma tylko jedną odpowiedź i zawsze taką samą: działacie w imieniu Kremla! Na jednym z wieców w ferworze krzyknął szczerze: »My inwestujemy w świnie!«. I tylko z tego może być zapamiętany”.

Wszystko wskazuje na to, że pani redaktor się pomyliła, a Robert Telus dołączy do szerokiego grona politycznych aferzystów.

Andrzej Sikorski

FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO, MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER, OLEG MARUSIC/REPORTER

eprasa.pl 1c3502ee53

Zmarnowana szansa

Frekwencja na edukacji zdrowotnej obnaża prawdę o Barbarze Nowackiej: jest marną ministrą i polityczką



Ministrze Nowackiej zabrakło sprytu i wyczucia politycznego przy wprowadzaniu nowego przedmiotu.

Kornel Wawrzyniak

– Przed pierwszym zebraniem w roku szkolnym odbyło się spotkanie dotyczące edukacji zdrowotnej. Myśleliśmy z mężem, że będziemy jednymi z niewielu osób, które przyjdą, ale frekwencja była ogromna. Nauczyciel wytłumaczył, jaki jest plan na przedmiot. Nikt nie miał wątpliwości, że dziecko warto zapisać. Największym problemem okazało się to, że lekcje edukacji zdrowotnej są ustawione na siódmą rano. Dyrekcja szkoły tłumaczyła, że nie mogła zrobić inaczej, tak samo jak w wypadku lekcji religii – mówi Jola, mama Basi z VI klasy.

Polityczny antytalent

Niska frekwencja na edukacji zdrowotnej nie jest sukcesem prawicowej propagandy i działań kleru, który z ambony do spółki z politykami straszył rodziców seksualizacją dzieci, potworem dżender i zniszczeniem tradycyjnej rodziny. To tylko i wyłącznie porażka ministry edukacji Barbary Nowackiej, która nie jest sprawną polityczką.

Po pierwsze, dała się ograć bogobojnym koalicjantom, którzy wymusili nieobowiązkowość przedmiotu. Po drugie, realizuje zlecenia polityczne Donalda Tuska (patrz: zadania domowe), ujawniając swój brak autonomii względem premiera. Po trzecie, jej decyzje mają marne umocowanie merytoryczne. Nieważne, czy mówimy o kwestiach formalnych, prawnych, czy naukowych.

Wycofanie się z zadań domowych okazuje się katastrofą dla uczniów. „Uczniowie z domów, w których nie przywiązuje się wagi do nauki, mają coraz większe braki. Brak możliwości zadawania obowiązkowych prac domowych ogranicza narzędzia do motywowania ich do pracy w domu, co prowadzi do większego rozwarstwienia w klasie”, czytamy w raporcie Instytutu Badań Edukacyjnych o konsekwencjach rezygnacji z prac domowych półtora roku temu.

Umocowanie prawne zmian wokół lekcji religii to kolejna klapa, o czym mówił na naszych łamach konstytucjonalista dr Kamil Stępniak (nr 41/2025). Rozporządzenie Nowackiej w sprawie lekcji religii zostało wydane w sposób niespełniający wymogów konstytucyjnych, ale także legislacyjnych. Dlatego prędzej czy później szala przechyli się na drugą stronę. Coś takiego byłoby niemożliwe za ministra Czarnka, który był jak betonowy dzban: nikt go w ogrodzie nie chce, nikomu się nie podoba, ale jest nie do przesunięcia. Można powiedzieć, że szefowej

eprasa.pl 1c3502ee53

resortu edukacji brakuje kuglarskiej wprawy w żonglowaniu przepisami i politycznego drygu poprzednika.

W jednym Nowackiej udało się go jednak przebić. Jeszcze bardziej zraziła do siebie nauczycieli, co pokazuje skandal z rozliczaniem godzin za szkolne wycieczki. Nowacka zasłoniła się Kartą nauczyciela. Rozmydliła problem i ucięła temat, odmawiając płacenia. Nauczyciele się zbuntowali. Interweniować musiał polityczny protektor Nowackiej. To Donald Tusk obiecał nauczycielom zmiany. Oni jednak nadal czekają na przeprosiny od szefowej MEN.

Co złego, to nie my

MEN chętnie natomiast korzysta z przekazu suflowanego przez media, w którym katastrofa edukacji zdrowotnej wynika ze złej woli przeciwników politycznych oraz czarnego PR biskupów. Przypomnijmy, czym straszyła Konferencja Episkopatu Polski. „Program przedmiotu w naszej ocenie stanowi zagrożenie dla katolickiej wizji rodziny, małżeństwa oraz dojrzałości ludzkiej dzieci i młodzieży. Problematyka małżeństwa i rodziny, rozumianych jako wspólnota ojca, matki i dzieci, została potraktowana w nim w sposób marginalny", przestrzegali kościelni hierarchowie. Oczywiście są miejsca, gdzie rodziców przekonała taka argumentacja. Jeśli jednak po 70-80% uczniów m.in. w dużych miastach zostało wypisanych z EZ i ma to być efekt słabych argumentów kleru w laicyzującym się społeczeństwie, to MEN swoją retoryką obraża inteligencję większości Polek i Polaków.

Fantastycznie mieć taki parawan. Ostatnio jednak ministra Nowacka poszła o krok dalej, tłumacząc w Gorzowie Wielkopolskim, że edukacja zdrowotna działa, jak powinna. Czyli co złego, to nie my. Zrobiliśmy, co się dało, reszta to kwestia złowrogich czynników zewnętrznych.

„Pełna złości i kłamstw kampania przeciwko edukacji zdrowotnej nie odniosła skutku – zapewniała Barbara Nowacka w Gorzowie Wielkopolskim. – Powiedziałabym tak dosyć ogólnie: poziom uczestnictwa w edukacji zdrowotnej nieznacznie różni się od uczestnictwa w wychowaniu do życia w rodzinie. Mimo gigantycznej kampanii przeciwko edukacji zdrowotnej te różnice są niewielkie, tylko dwu-, trzyprocentowe".

Mamy do czynienia z argumentacją jak u 10-letniego dziecka, które mówi, że wszyscy w klasie dostali z kartkówki tróję. Możemy tylko użyć odpowiadającej tej retoryce przygany rodzica: pani ministra nie jest wszyscy, nie jest ani Czarnkiem, ani Piontkowskim, ani Zalewską, ani Kluzik-Rostkowską. Zresztą ten pierwszy potrafił wprowadzić historię i teraźniejszość (HiT), czyli swoje opus magnum, jako przedmiot obowiązkowy. Nowacka tymczasem pod naciskiem naczelnego ministranta Koalicji 15 Października Kosiniaka-Kamysza zrezygnowała z tego w przypadku swojego przedmiotu.

„Uważam, że to powinien być przedmiot obowiązkowy, wtedy byłby sukces pełen. Tak, jestem szczęśliwa, że mamy dobry, świetnie przygotowany przedmiot. Tu wielkie ukłony dla wszystkich ekspertów", mówiła Nowacka miesiąc temu w Radiu Zet. Kiedy Bogdan Rymanowski przycisnął ministrę i zapytał, czy przedmiot edukacja zdrowotna to sukces, odpowiedziała: „Sukces, że jest, porażka, że nie jest obowiązkowy".

Miała być rewolucja, ale Nowacka i jej ekipa nie udźwignęli własnego pomysłu. Twierdzenie, że jest dobrze, bo na edukację zdrowotną chodzi tak samo mało uczniów jak dotychczas na nieobowiązkowe wychowanie do życia w rodzinie, to nieumiejętne tłumaczenie lub, jak mówi modna młodzież, „totalne delulu" (dla niewtajemniczonych: to określenie osoby żyjącej wyłącznie swoimi wyobrażeniami).

Czynnik ludzki

Politycy PiS, którzy chodzili do mediów i straszyli seksualizacją dzieci, albo świadomie wprowadzali opinię publiczną w błąd, albo w ogóle nie przeczytali podstawy programowej przedmiotu. Niektórzy rodzice wykazali się jednak zainteresowaniem i byli odpowiednio zorientowani w temacie.

– Najbardziej wkurzyło nas, że wokół dobrego przedmiotu jest tak kiepska organizacja ze strony ministerstwa. Bo co mogą zrobić nauczyciele i dyrekcja, skoro dostali od MEN słabe karty? Trudno przekonać dziecko do chodzenia na nowy nieobowiązkowy przedmiot, jeśli jest na siódmą rano. Dlatego na odmowach większość rodziców napisała, że dziecko nie chodzi z powodu fatalnej organizacji, a nie samego przedmiotu. Namawialiśmy nawet dyrekcję, żeby przekazała to gdzieś wyżej. Niech w MEN wiedzą i wrócą od września z sensownym planem – tłumaczy Artur, ojciec siódmoklasisty.

Nowacka nie chciała w Gorzowie zdradzić, ile osób uczęszcza na edukację zdrowotną. Zasłaniała się niepełnymi danymi, które miały jeszcze nie spłynąć ze wszystkich szkół. Tu z pomocą przychodzą jednak media. Oczywiście już we wrześniu mogliśmy czytać, że całe klasy wypisują się z przedmiotu, jak w Ząbkowicach Śląskich. Uczniowie tłumaczyli, że to przedmiot zamiast WDŻR, na który i tak nie chodzili. „Uważam, że to trochę niepotrzebna dyskusja. Wchodzi to zamiast wychowania do życia w rodzinie, z którego i tak byliśmy wypisani. Więc dla nas niewiele to zmienia", mówiła „Gazecie Wyborczej" jedna z licealistek.

Liczby z dużych miast już znamy. W Krakowie z edukacji zdrowotnej wypisało się dwie trzecie uczniów. W Rzeszowie zrezygnowało 81%. W warszawskich szkołach ponadpodstawowych wypisano przeszło 86% uczniów. W szkołach podstawowych to 57%.

„Pojedyncze przypadki konkretnych szkół pokazują, że w dużej mierze zainteresowanie przedmiotem i frekwencja będą zależały od dyrekcji

Od 1 września edukacja zdrowotna jest nieobowiązkowa i może się odbywać wyłącznie na początku albo na końcu zajęć lekcyjnych.

eprasa.pl 1c3502ee53

szkoły i od nauczycieli", skomentowała dla PAP wiceprezydent Warszawy Renata Kaznowska. Oczywiście zdarzają się szkoły, w których edukacja zdrowotna bije rekordy popularności, jak w SP 158 w Łodzi. Tam kadra była w stanie zaciekawić uczniów na tyle, aby chodzili na zajęcia. Wszystko to zasługa kreatywności pedagogów, a zarazem wyjątek od reguły.

W Krakowie z edukacji zdrowotnej wypisało się dwie trzecie uczniów. W Rzeszowie zrezygnowało 81%.

Wielu uczniów szkół ponadpodstawowych tłumaczy, że rezygnuje z nieobowiązkowego przedmiotu, bo zajmowałby on czas, którego przed maturą zazwyczaj brakuje. Podobnie twierdzi część rodziców dzieci z podstawówek.

– Dodatkowa godzina przed zajęciami albo po nich jest na wagę złota, kiedy dziecko zaczyna w VII klasie szkołę na poważnie. Tutaj naprawdę jest więcej lekcji, na które trzeba być przygotowanym. Ostatni rok bez zadań domowych rozprężył nam syna, który we wrześniu spotkał się z twardą rzeczywistością. Wraca do domu wykończony, a jeszcze trzeba się przygotować na kolejne kartkówki – opowiada Artur. Można więc spokojnie założyć, że wiele osób zrezygnowało z pobudek czysto pragmatycznych.

Kluczem jest czas, co widać po już zgromadzonych danych. Weźmy Łódź. W szkołach podstawowych zrezygnowało 61% uczniów, w średnich 81,4%. Województwo lubelskie – podstawówki 68% i 86% licea. W szkołach branżowych 76% wypisanych. Nikt nie chce chodzić na dodatkowy przedmiot, skoro nie musi. Tym bardziej jeśli ten jest na początku lub na końcu zajęć. Resort Nowackiej również to powinien wiedzieć, bo w taki sam sposób rozegrał kwestię religii w szkołach.

Dodatkowo już od zeszłego roku ocena z religii nie liczy się do średniej. To zabiegi, dzięki którym Nowacka wygasza w szkołach uczestnictwo w lekcjach religii. Całkiem sprytne, prawda? Dlaczego więc MEN nie było tak sprytne przy wprowadzaniu swojego przedmiotu? Załóżmy przez moment, że szefowa ministerstwa dostała polecenie od Tuska, aby w tym roku szkolnym nie szarżować. Ale skoro już Nowacka musiała w tym roku szkolnym wprowadzić edukację zdrowotną, mogła się pokusić o jedną sztuczkę, aby liczby zaczęły działać na jej korzyść. Wystarczyło sprawić, aby ocena z EZ liczyła się do średniej (tak jak niegdyś ocena z religii), mimo że przedmiot jest nieobowiązkowy. Wtedy część uczniów skusiłaby możliwość uzyskania łatwej piątki na świadectwie. Może byłaby to furtka do wprowadzenia w przyszłym roku edukacji zdrowotnej jako lekcji obowiązkowej.

Decyzja o wprowadzeniu EZ już od tego roku szkolnego w ogóle jest zagadkowa. Małgorzata Żuber-Zielicz i Włodzimierz Zielicz pisali w „Przeglądzie" (nr 39/2025): „Za rok ma ruszyć wielka reforma programowa (jej jakość to osobny problem!), co zatem przeszkadzało uruchomić edukację zdrowotną wraz z nią? Po uzgodnieniu z podstawami programowymi innych przedmiotów? Byłby wtedy czas na przygotowanie nauczycieli i podręczników, odpowiednią kampanię informacyjną itd. Ministra zaś podpisała podstawy programowe edukacji zdrowotnej przed wyborami prezydenckimi, w trakcie kampanii, w którą była zaangażowana, 26 marca br. – dokładnie dwa tygodnie przed niesławną debatą w Końskich. To wplotło ten przedmiot w najgorętsze bitwy kampanii wyborczej. A było to zaledwie pięć i pół miesiąca temu! Nawet w bardzo przyśpieszonym cyklu wydawniczym trzeba około roku od podpisania podstaw programowych, by podręcznik trafił do uczniów. No i na dziś jedyny na razie dopuszczony (!) przez MEN podręcznik Wydawnictwa Operon nie jest dostępny – nawet w jego sklepie internetowym". Być może działania resortu Nowackiej są po prostu naznaczone brakiem sprytu.

Wojna polsko-polska

Nie można też wykluczyć czynnika światopoglądowego. Według „Serwisu Samorządowego PAP" zainteresowanie przedmiotem na Podhalu jest minimalne: „W niektórych szkołach podstawowych zajęcia będą się odbywać tylko dla jednego ucznia, a w większości szkół średnich w ogóle ich nie będzie".

Możemy mówić, że Podhale to bastion PiS. Ale taka frekwencja wynika przede wszystkim z niedostatecznego przygotowania opinii publicznej przez MEN, które nie obudowało tej sprawy odpowiednim kontekstem. Nowacka od początku wystawiła się prawicy, wplątując edukację zdrowotną w przepychanki polityczne. Doszło do tego wycofanie się z drugiej godziny religii, który to przedmiot nie jest wliczany do średniej ocen. Każdy doświadczony gracz polityczny wie, że episkopat wykorzysta to jako element wojny kulturowej i powiąże obie kwestie w opowieść o ataku na tradycyjne wartości. Opozycja dostała więc paliwo do politycznej awantury. Nowacka nie jest jednak lepsza, skoro do tego dopuściła.

Szkoda, że w tym wszystkim nie ma miejsca dla dzieci i ich potrzeb.

Szkoda, że w tym wszystkim nie ma miejsca dla dzieci i ich potrzeb. Edukacja zdrowotna to przedmiot o naprawdę szerokim zakresie tematycznym, a sensownie wprowadzony mógłby odpowiedzieć na problemy, z którymi mierzą się dorastające dzieciaki. Tymczasem znów zostają same z trudami dorastania, przemocą, bezbronnością w cyfrowym świecie, pornografią, otyłością i narastającą liczbą prób samobójczych. Ale jak to na wojnie, dzieci również w niej giną. Nawet jeśli jest to zaledwie wojenka ideologiczna.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. JACEK DOMIŃSKI/ REPORTER

eprasa.pl 1c3502ee53

Fintechowy sukces czy wielki przekręt?

O wzlotach i upadku pewnego cinkciarza

Marek Czarkowski

27 października 2025 r. Sąd Rejonowy w Zielonej Górze ogłosił upadłość spółki Cinkciarz.pl prowadzącej popularny internetowy kantor wymiany walut. Syndykiem została spółka Grenda-Restrukturyzacja, której zadaniem będzie spieniężenie majątku Cinkciarza i rozdzielenie środków między wierzycieli.

Wobec Marcina P., założyciela i właściciela upadłej spółki, w lipcu br. sąd, na wniosek Prokuratury Regionalnej w Poznaniu, wydał nakaz aresztowania. Ponieważ Marcin P. przebywał za granicą, ostatnio wystawiono za nim list gończy i jest poszukiwany przez Interpol. Postawiono mu zarzuty dotyczące m.in. oszustwa oraz prania pieniędzy na dużą skalę, a poszkodowanych jest ponad 7 tys. klientów kantoru. Łączną wartość wyrządzonych szkód szacuje się na przeszło 125 mln zł.

Tak kończy się historia największego polskiego fintechu – spółki, która wdrażała innowacyjne technologie w sektorze finansowym, mające na celu cyfryzację transakcji wymiany walut.

A było tak dobrze. W 2022 r. obroty Cinkciarza osiągnęły 35 mld zł, a jego aplikacja mobilna została pobrana 2,5 mln razy. W kampaniach reklamowych spółki brali udział dwaj byli prezydenci – Lech Wałęsa i Bronisław Komorowski. Cinkciarz sponsorował reprezentację Polski w piłce nożnej i znakomitą drużynę koszykówki Chicago Bulls. Jego zespół analityków rynku walut uchodził za jeden z najlepszych w kraju. Regularnie uczestniczył w rankingach prognostycznych agencji Bloomberg, rywalizując z zespołami największych światowych instytucji finansowych. I wygrywał, zwłaszcza w prognozowaniu kursu pary EUR/USD.

Marcin P. miał solidne wykształcenie, był inżynierem oprogramowania komputerowego oraz absolwentem studiów podyplomowych w Saïd Business School Uniwersytetu Oksfordzkiego. Uczestniczył w elitarnym programie TRIUM Global Executive MBA prowadzonym przez NYU Stern School of Business, London School of Economics and Political Science (LSE) oraz HEC Paris.

Marcinowi P. postawiono zarzuty oszustwa i prania pieniędzy. Poszkodowanych zostało ponad 7 tys. klientów.

Swój pierwszy, jeszcze tradycyjny kantor wymiany walut otworzył w 2001 r. w supermarkecie Auchan w Zielonej Górze. Potem przyszedł czas na kolejne: w Lubinie, Pile i Poznaniu. W 2006 r. Marcin P. zarejestrował domenę internetową cinkciarz.pl i rozpoczął prace nad stworzeniem platformy umożliwiającej wymianę walut online. Cztery lata później ruszył kantor internetowy, którego przewaga konkurencyjna polegała na tym, że oferował znacznie korzystniejsze warunki wymiany walut niż tradycyjny sektor finansowy.

Marcin P. wiedział, że aby się rozwijać, nie może się ograniczyć do jednego produktu. Dlatego zaczął tworzyć kompleksowy ekosystem usług finansowych działających pod marką Conotoxia. Jego klienci mieli uzyskać dostęp do szerokiej ich gamy, w tym przekazów pieniężnych, płatności online, wielowalutowych kart płatniczych, a nawet narzędzi inwestycyjnych.

Spółka Cinkciarz.pl zyskała reputację innowacyjnej, a sam P. zaczął uchodzić za eksperta od rynku walut oraz wyjątkowo zdolnego biznesmena i wizjonera.

Na dno

Pierwsze sygnały, że Cinkciarz.pl może mieć kłopoty, pojawiły się na przełomie lipca i sierpnia 2024 r. Początkowo były to niewielkie problemy z realizacją transakcji. We wrześniu klienci zaczęli narzekać na znaczące opóźnienia w wypłatach środków i pisać skargi do Komisji Nadzoru Finansowego. Spółka tłumaczyła się przejściowymi problemami technicznymi, które miały zostać szybko rozwiązane. W tym czasie lawinowo rosła liczba skarg kierowanych do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów oraz Komisji Nadzoru Finansowego.

2 października 2024 r. KNF cofnęła spółce Conotoxia zezwolenie na świadczenie usług płatniczych z powodu niewypełniania ustawowego obowiązku ochrony środków pieniężnych klientów. Wyrokiem śmierci była decyzja z grudnia 2024 r., gdy Prokuratura Regionalna w Poznaniu, działając na podstawie zawiadomienia KNF, zablokowała 328 rachunków bankowych powiązanych z grupą Marcina P.

W marcu 2025 r. prokuratura formalnie postawiła mu zarzuty

eprasa.pl 1c3502ee53

oszustwa na wielką skalę oraz prania pieniędzy. Jednocześnie aresztowany został członek zarządu spółki Cinkciarz.pl Robert G., a w maju tego roku zatrzymano główną księgową Monikę J. Według mediów jej aresztowanie okazało się kluczowe dla śledztwa. Podobno opisała prokuratorom mechanizm mieszania pieniędzy spółki ze środkami należącymi do jej klientów, co spowodowało, że firma stała się tak naprawdę piramidą finansową.

Wraz z postępem śledztwa rosła skala ujawnionych strat, które we wrześniu br. przekroczyły 125 mln zł. Wśród najbardziej znanych postaci, które padły ofiarą Cinkciarza, była Anna Dereszowska – aktorka 5 listopada 2024 r. wpłaciła na konto Cinkciarza 436 620 zł w celu wymiany na euro. Do końca grudnia pieniądze nie wróciły na jej konto. Prowadzący „Familiadę" Karol Strasburger stracił przez Cinkciarza ok. 30 tys. zł. Miał je ulokowane w kilku walutach – było to 15 tys. zł i 5 tys. euro oraz korony czeskie. Jako poszkodowany wymieniany jest też Maciej Zakościelny. Nie jest jasne, ile i czy w ogóle stracił. Według informacji pochodzących ze spółki miał on otrzymać propozycję ugody zakładającej zwrot 100% zdeponowanych środków w uzgodnionym terminie i zapłatę ustawowych odsetek za okres oczekiwania. Czy tak się stało, nie wiadomo.

Od początku afery Marcin P. przekonywał w mediach społecznościowych, że Cinkciarz.pl padł ofiarą ataku ze strony największych polskich banków, które miały celowo blokować transakcje, aby wyeliminować spółkę z rynku. Oskarżył również prokuraturę o fałszowanie dowodów i manipulowanie faktami.



W 2015 r. Cinkciarz.pl podpisał długoterminową umowę sponsorską z drużyną koszykarską Chicago Bulls. Tak był reklamowany w hali United Center w Chicago.

Na wysokiej stopie

W mediach można przeczytać, że Marcin P. był jednym z najbardziej tajemniczych polskich biznesmenów. Nie jest to prawdą. Łatwo znaleźć jego zdjęcia i informacje o posiadanych przez niego nieruchomościach. Wiadomo, że na terenie Zielonej Góry miał co najmniej dwa domy. Gdy jesienią ub.r. wokół jego interesów zrobiło się gorąco, przepisał je „w formie darowizny" na bliskiego członka rodziny. Darowizna ta według Marcina P. miała na celu „troskę o bezpieczeństwo rodziny" i ochronę majątku w obliczu mnożących się pogróżek pod jego adresem.

Osoby pokrzywdzone, które starają się ustalić wielkość jego majątku, mówią, że od pewnego czasu także ruchomości i nieruchomości należącej do P. grupy Conotoxia były przenoszone na fundację rodzinną NextGen Growth, która dysponuje dziś aktywami o wartości ponad 200 mln zł.

Jeszcze więcej zdjęć oraz informacji można znaleźć w sieci o żonie Marcina P. Roxana Kuczma Pióro w mediach społecznościowych znana jest jako Victoria Ebermann. Influencerka szeroko opowiadała o swoich koneksjach w wyższych kręgach światowej mody, prezentowała drogą biżuterię, luksusowe dodatki i akcesoria. Jej ulubionymi markami są: Prada, Miu Miu, Balenciaga i Dior. Samochód, na tle którego lubiła pozować, to Tesla Cybertruck, którego topowa wersja kosztuje 450 tys. zł. Sesje zdjęciowe żona Marcina P. urządzała w egzotycznych zakątkach świata. Trzeba przyznać, że na jej tle popularne polskie influencerki modowe wyglądają jak przekupki z bazaru. Pieniędzy jej nie brakowało. W ostatnich ośmiu latach zarząd Cinkciarza wypłacił sobie w formie wynagrodzenia 68 mln zł. I działo się to w czasie, gdy należące do P. spółki grupy Conotoxia przynosiły wielomilionowe straty.

W ramach postępowań prokuratorskich oraz działalności syndyka trwa szeroko zakrojony proces gromadzenia wiedzy o majątku Marcina P. W sieci krąży informacja o posiadanych przez niego kryptowalutach, których wartość szacowana jest na ponad 200 mln zł. Podobno nośniki pamięci z zapisanymi na nich kluczami zostały zabezpieczone przez prokuraturę.

Były prezes Cinkciarz.pl przebywa obecnie w USA, najprawdopodobniej w Chicago. Miejsce jego pobytu zostało ustalone przez poszkodowanych klientów i przekazane śledczym. Na razie nie został on zatrzymany przez amerykańską policję, choć obejmuje go tzw. czerwona nota Interpolu oraz polski sądowy list gończy.

Szanse na ekstradycję Marcina P. do Polski są realne, lecz procedura jest skomplikowana i może potrwać od roku do ponad dwóch lat, zwłaszcza jeśli będzie on reprezentowany przed sądem przez renomowanych i drogich adwokatów.

Łatwo zgadnąć, jakie argumenty podniesie obrona P.: spisek wymierzony w ich klienta, polityczny charakter sprawy i zmowa elit finansowych, którym zagrażał sukces Cinkciarza. ■

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 1c3502ee53

Górki dla dewelopera

Władze miasta oddały ostatni półnaturalny teren Lublina w ręce TBV Investment



Mieszkańcy Lublina od dawna występują w obronie Górek Czechowskich, które ratusz chce oddać TBV Investment pod zabudowę, ale ich racje są lekceważone. 31 marca 2019 r.

Jarosław Ławrynowicz

Górki Czechowskie – ostatni dziki, zielony teren w centrum Lublina – zostały oddane deweloperowi, TBV Investment, w ramach kontrowersyjnego planu inwestycyjnego, który firmie przynosi milionowe korzyści finansowe, a miastu nieodwracalne straty przyrodnicze, urbanistyczne i społeczne. Decyzja władz miejskich, zdominowanych przez radnych Platformy Obywatelskiej, nie tylko ignoruje głos mieszkańców i ekspertów, ale też podważa wiarygodność partii, która na szczeblu krajowym deklaruje przywiązanie do wartości ekologicznych i demokratycznych.

Górki Czechowskie to nie tylko 105 ha półnaturalnego terenu zielonego w sercu Lublina. To dziedzictwo urbanistyczne, przyrodnicze i społeczne, które przez dekady miało służyć mieszkańcom jako rezerwuar świeżego powietrza, przestrzeń rekreacyjna i naturalna bariera przed betonozą. Dziś ten teren staje się symbolem politycznej zdrady, triumfu kapitału nad wspólnotą i bezprecedensowego układu między władzą a deweloperem.

Mistrz gry planistycznej

Spółka TBV Investment należąca do Wojciecha Dzioby od lat konsekwentnie realizuje strategię maksymalizacji zysków z Górek Czechowskich. W 2024 r. jako pierwszy inwestor w Lublinie skorzystała z procedury zintegrowanego planu inwestycyjnego (ZPI), która pozwala deweloperowi przedstawić gotowy plan zagospodarowania, zamiast czekać na opracowanie go przez miasto. Dziewięć miesięcy później, po serii niejawnych spotkań, TBV wyszła z ratusza z niemal niezmienionym projektem. Kosmetyczne poprawki nie ukryją faktów: na 25 ha mają powstać bloki, akademiki i apartamentowce, a park – ten

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 1c3502ee53

rzekomy „kompromis” – będzie realizowany przez dekadę, etapami, z możliwością wycofania się ze zobowiązań.

Negocjacje z deweloperem nie były protokołowane, a dokumentacja w formie notatek jest trzymana pod kluczem, jak można było się dowiedzieć już podczas procedowania pkt 23 porządku obrad rady miasta w sprawie uchwalenia zintegrowanego planu inwestycyjnego dla obszarów nr 1 i nr 2 położonych w Lublinie w rejonie ulic: Bohaterów Września, Poligonowej, gen. Bolesława Ducha, Północnej, Koncertowej i Zelwerowicza. Protestujący nie zostali podczas sesji rady miasta dopuszczeni do głosu.

W ramach umowy urbanistycznej TBV ma przekazać miastu 75 ha terenu „pod park” za symboliczną złotówkę. Wygląda jak gest hojności? Nic bardziej mylnego. To sprytna operacja finansowa, która pozwala deweloperowi uniknąć podatku. Zgodnie z aktami sprawy sądowej przekazanie tych 75 ha pozwoliło TBV Investment zaoszczędzić ponad 2,5 mln zł na podatku od nieruchomości. To nie darowizna, lecz optymalizacja kosztów. Co więcej, przekazanie terenu nastąpi dopiero po zakończeniu ostatniego etapu budowy parku, czyli nawet za 9-10 lat. Do tego czasu TBV nie tylko nie zapłaci podatku, ale też zachowa pełną kontrolę nad tym, co i kiedy zostanie przekazane. Umowa zawiera także klauzulę pierwokupu: jeśli miasto zechce sprzedać teren, TBV ma pierwszeństwo w zakupie. To nie darowizna, ale po prostu zabezpieczenie interesów inwestora.

Park jako pretekst

Park naturalistyczny, który ma powstać na przekazanym terenie, to w rzeczywistości przestrzeń podporządkowana potrzebom nowego osiedla. Ścieżki, alejki, place zabaw, parkingi – wszystko zaprojektowane z myślą o mieszkańcach bloków, nie o ochronie przyrody.

Park z latarniami i leżakami nie zastąpi naturalnego siedliska ściśle chronionemu gatunkowi – chomikowi europejskiemu, który występuje na tym terenie. Zdaniem ekspertów gatunek nie przetrwa w zmienionym środowisku. „Przesiedlenia chomika europejskiego kończą się najczęściej śmiercią osobników. To nie jest działanie ochronne, to likwidacja siedliska”, ostrzega dr inż. Weronika Maślanko, biolog z Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie.

Miasto nie przedstawiło żadnego przekonującego uzasadnienia dla zabudowy Górek. Argumenty o „misji zwiększania średniego metrażu mieszkań” czy „rosnącej liczbie mieszkańców” są łatwe do obalenia. W dodatku podczas referendum w 2018 r. urząd miasta zmienił legendę mapy, usuwając zapis o „ochronie przed urbanizacją”, co było jawnym manipulowaniem przekazem. Głos mieszkańców został zignorowany – z 567 zgłoszonych przez nich uwag przyjęto tylko jedną, popierającą projekt.

Konsultacje społeczne były prowadzone równolegle z panelem obywatelskim, którego rekomendacje, w tym pełna ochrona Górek, zostały odrzucone z powodów formalnych. Miasto tak zaplanowało harmonogram, by rekomendacje panelu nie mogły wpłynąć na treść nowego studium. To nie błąd, to zaplanowana dezaktywacja głosu obywateli.

Decyzja o uchwaleniu ZPI zapadła głosami radnych związanych z prezydentem Krzysztofem Żukiem, prominentnym przedstawicielem Platformy Obywatelskiej. I właśnie ta formacja, która na szczeblu krajowym promuje wartości ekologiczne, transparentność i dialog społeczny, w Lublinie działa wbrew tym zasadom. Partia lokalnie podcina gałąź, na której siedzi. Deklaracje proeko kontra praktyka „zabetonuj i wyłącz komentarze”. Dla wyborców, którzy traktują klimat, przyrodę i partycypację społeczną serio, to sygnał alarmowy. A dla przeciwników paliwo do opowiadania o „mieście w rękach deweloperów”. I trudno te zarzuty skutecznie odpierać, gdy fakty wyglądają, jak wyglądają.

Urbanistyczna zdrada

Górki Czechowskie miały być częścią systemu zielonych klinów, zaplanowanego przez Romualda Dylewskiego, twórcę powojennego planu miasta. Wraz ze skansenem i ogrodem botanicznym miały stanowić oazę zieleni dla północno-zachodniego Lublina, tak jak Stary Gaj na południu czy dolina Bystrzycy w centrum. Dziś ten system zostaje rozbity, a ostatni żyjący urbanista z zespołu Dylewskiego, Andrzej Link, mówi, że Romuald Dylewski nigdy nie projektował zabudowy Górek Czechowskich. „To niedorzeczne. Jak macie taki projekt, to go pokażcie”, dodaje w rozmowie z portalem Jawny Lublin i wprost oskarża: „To napad na jakość życia w mieście”.

„Budować można w różnych miejscach. Ale drugich Górek Czechowskich nie ma”, pisze Marcin Skrzypek, członek Rady Kultury Przestrzeni.

Zabudowa Górek Czechowskich oznacza bezpowrotną utratę unikatowego ekosystemu z wieloma gatunkami roślin i zwierząt. Górki Czechowskie to enklawa przyrody w środku Lublina, obejmująca ponad 500 gatunków roślin i zwierząt, w tym gatunki chronione, takie jak właśnie chomik europejski, objęty ścisłą ochroną na mocy dyrektywy siedliskowej UE. To największe stanowisko tego gatunku w Lublinie, kluczowe dla przetrwania lokalnej populacji.

Zabudowa Górek oznacza nie tylko fizyczne zniszczenie siedlisk, ale też przerwanie ciągłości ekologicznej miasta. Teren ten pełni funkcję naturalnego filtra powietrza, przestrzeni chłodzącej i stabilizującej mikroklimat. W dobie kryzysu klimatycznego takie obszary są nie tylko wartością przyrodniczą – są infrastrukturą życia. Zabudowa Górek oznacza załamanie tej koncepcji, jej całkowite unicestwienie. To tak, jakby w Poznaniu zabetonować dolinę Warty albo w Münsterze, mieście partnerskim

eprasa.pl 1c3502ee53

Lublina, zlikwidować zielony pas wokół miasta. To nie jest zmiana planu. To zerwanie z logiką miasta jako systemu.

W konsekwencji oznacza to degradację przestrzeni rekreacyjnej dla tysięcy obywateli Lublina. Górki Czechowskie są codzienną przestrzenią życia dla mieszkańców Czechowa, Sławina, Wieniawy i Sławinka. Miejscem spacerów, biegania, jazdy na rowerze, obserwacji przyrody, odpoczynku od zgiełku miasta. To teren dostępny, otwarty, niekomercyjny – rzadkość w dzisiejszych miastach. Teraz ta przestrzeń zostanie podporządkowana interesom nowego osiedla. Nie będzie to dzika przyroda, lecz park przyblokowy, z alejkami, latarniami i placami zabaw.

„Budować można w różnych miejscach. Ale drugich Górek Czechowskich nie ma", pisze Marcin Skrzypek, członek Rady Kultury Przestrzeni, w liście otwartym do Marcina Wrońskiego, radnego klubu prezydenta Krzysztofa Żuka, na łamach portalu Jawny Lublin.

Polityczny paradoks: obrońcy przyrody z PiS

Jednym z najbardziej zaskakujących aspektów całej sprawy jest to, że przeciwko zabudowie Górek Czechowskich głosowali radni Prawa i Sprawiedliwości, formacji, która dotąd nie była kojarzona z wrażliwością na kwestie ochrony przyrody. W wielu miastach to PiS forsowało inwestycje kosztem terenów zielonych, a na poziomie krajowym partia ta często dystansowała się od unijnej polityki klimatycznej.

A jednak w Lublinie właśnie radni PiS jako jedyni zagłosowali przeciwko ZPI. Ich motywacje były różne, część kierowała się nie tyle troską o środowisko, ile chęcią przeciwstawienia się prezydentowi Żukowi i jego klubowi. Ale niezależnie od intencji efekt polityczny jest jednoznaczny: to Platforma Obywatelska, która na poziomie europejskim deklaruje przywiązanie do Zielonego Ładu, w Lublinie firmuje decyzję o zniszczeniu najcenniejszego przyrodniczo terenu. „To jest dbałość o inwestora, a nie o mieszkańców miasta", powiedział radny Piotr Gawryszczak z PiS podczas sesji rady miasta.

Miasto oddaje swój najcenniejszy teren w ręce dewelopera, za zgodą tych, którzy mieli go chronić.

Ucierpi również wiarygodność miasta jako partnera w działaniach klimatycznych. Lublin chwali się, że jest miastem zielonym, ekologicznym, przyjaznym mieszkańcom. Bierze udział w programach unijnych, deklaruje działania na rzecz adaptacji do zmian klimatu, poprawy jakości powietrza i ochrony bioróżnorodności. Tymczasem decyzja o zabudowie Górek Czechowskich stanowi zaprzeczenie tych deklaracji. A wiarygodność, raz utracona, łatwo nie wraca.

Górki Czechowskie okazały się testem na dojrzałość demokracji miejskiej. Lublin nie zdaje tego egzaminu. Miasto oddaje w ręce dewelopera swój najcenniejszy teren za zgodą tych, którzy mieli go chronić. Jeśli Platforma Obywatelska chce zachować wiarygodność, musi odpowiedzieć na pytanie, czy jej lokalni przedstawiciele działają w interesie mieszkańców, czy inwestorów.

Oto gorzki paradoks: partia, która ekologii się nie kłaniała, staje w obronie chomika europejskiego, zielonego klina i dziedzictwa urbanistycznego. Tymczasem formacja, która w Brukseli mówi o bioróżnorodności i adaptacji do zmian klimatu, w Lublinie głosuje za betonem, ignorując głos mieszkańców, rekomendacje ekspertów i własne deklaracje programowe.

Dla wielu wyborców to rozczarowanie i sygnał, że głoszone hasła są bez pokrycia. A dla PO to polityczny koszt, kwestia, która będzie podnoszona w każdej debacie o wiarygodności, spójności przekazu i odpowiedzialności za wspólne dobro, ponieważ Górki Czechowskie to nie tylko sprawa Lublina. To sprawa sumienia całej formacji. Pytanie, kto naprawdę rządzi miastem: mieszkańcy czy kapitał, będzie wracać w każdej kampanii.

Ostatnia linia obrony

Na końcu tej historii, która nie powinna się wydarzyć, pozostaje jeszcze jedno ogniwo instytucjonalne. W polskim systemie samorządowym istnieje mechanizm kontroli legalności uchwał – narzędzie, które może zatrzymać decyzję, zanim stanie się ona faktem dokonanym. W sprawie Górek Czechowskich ten mechanizm nie jest czystą formalnością, ale realną szansą na zatrzymanie procesu, który budzi sprzeciw społeczny, wątpliwości prawne i głęboki niepokój etyczny.

Uchwała Rady Miasta Lublina w sprawie zintegrowanego planu inwestycyjnego została podjęta w sposób nieprzejrzysty proceduralnie, z pominięciem głosu mieszkańców, ignoruje też rekomendacje ekspertów i narusza zasady ochrony gatunkowej. Nie przedstawiono żadnego wyższego dobra, które uzasadniałoby tę decyzję. Nie wykazano, że zabudowa Górek przyniesie korzyść większą niż ich zachowanie jako zielonego rezerwuaru dla miasta.

W tej sprawie nie chodzi już tylko o zgodność z ustawą. Chodzi o sens. O to, czy miasto jeszcze jest wspólnotą, czy już tylko rynkiem. Czy przestrzeń publiczna to miejsce życia, czy teren inwestycji. Czy głos obywateli ma znaczenie, czy jest ledwie tłem dla decyzji podejmowanych w zaciszu gabinetów.

Jeśli instytucje państwowe mają jeszcze odwagę stanąć po stronie mieszkańców, przyrody i dziedzictwa urbanistycznego, właśnie teraz jest ten moment. Decyzja o uchyleniu uchwały nie byłaby gestem politycznym. Byłaby gestem rozsądku, odpowiedzialności i przyzwoitości.

Górki Czechowskie to nie tylko teren. To symbol. To test. To pytanie, które historia zada każdemu, kto miał wpływ na tę decyzję: czy stanąłeś po stronie przyszłości, czy po stronie interesu, który nie zna granic.

Bo drugich Górek Czechowskich nie będzie. A Lublin zasługuje na to, by jego historia nie kończyła się betonem.

Jarosław Ławrynowicz

eprasa.pl 1c3502ee53

Czy Joseph S. Nye przegrał tak samo jak Francis Fukuyama?

Piotr Kimla

Wszyscy zachowujemy w pamięci tezę Francisa Fukuyamy o nieuchronnym demokratyzowaniu się świata po zakończeniu zimnej wojny, rozpadzie ZSRR i zwycięstwie USA. Dzisiaj widzimy, jak grubo Fukuyama się mylił. Czy Chiny pod przywództwem Xi Jinpinga i Rosja pod przywództwem Władimira Putina stają się coraz bardziej demokratyczne, czy raczej Stany Zjednoczone za prezydentury Donalda Trumpa stają się coraz bardziej autorytarne?

Fiasko tezy o końcu historii, rozumianej jako nieuchronne zmierzanie państw ku demo-liberalnemu porządkowi i globalizacji, nasuwa pytanie o stan innego słynnego pojęcia, mianowicie *soft power.* Pojęcie to ukuł zmarły niedawno amerykański politolog Joseph S. Nye. Zrobił to mniej więcej wtedy, gdy Fukuyama mówił o końcu historii, czyli u schyłku lat 80. i na początku lat 90. ubiegłego wieku. Z kolei na początku obecnego stulecia Nye wprowadził jeszcze pojęcie *smart power* jako kombinacji mądrego użycia siły twardej (*hard power*) i miękkiej (*soft power*). O *soft power* Nye powiada, że „jest subtelnym sprawianiem, by inni chcieli tego samego wskutek niewymuszonego wyboru", co można rozumieć jako wpływanie na rzeczywistość poprzez atrakcyjność własnej kultury politycznej i zakorzenionych w niej idei, która pociąga za sobą chęć naśladowania jej przez inne podmioty. Czy pojęcie to zbankrutowało tak samo jak koniec historii Fukuyamy, skoro na naszych oczach odbywa się triumfalny pochód twardej siły? Sądzę, że mimo wszystko odpowiedź jest przecząca.

Kiedy Nye pojęciowo wyróżnił *soft power*, nie odkrył niczego nowego. Powiedział coś, o czym dobrze wiedzieli starożytni, którzy mają tę przewagę nad nami, że, jak to ujął Bronisław Łagowski, chcieli rozumieć świat, podczas gdy my chcemy już tylko świat interpretować.

Starożytni wiedzieli, że czynnikiem sprawczym w polityce jest nie tylko sama siła, ale i wszystko, co może przemienić się w siłę.

Starożytni wiedzieli mianowicie, że czynnikiem sprawczym w polityce jest nie tylko sama siła (*hard power*), ale także wszystko to, co może przemienić się w siłę.

Taką moc mają nade wszystko idee. Na przykład idea bezpardonowego obejścia się z dużo słabszym przeciwnikiem. Takie bezpardonowe obejście mobilizuje inne państwa przeciwko nadużywającemu siły. Przed tym właśnie ostrzegają imperialistów ateńskich słabi Melijczycy w słynnym dialogu, gdy pytają: „Czyż bowiem nie zrobicie sobie wrogów z państw neutralnych, skoro zobaczą, jak z nami postępujecie, i dojdą do przekonania, że kiedyś także i ich zaatakujecie? Czyż takim postępowaniem nie powiększycie tylko liczby waszych nieprzyjaciół i nie zrobicie sobie wrogów nawet z tych, którzy o tym obecnie nie myślą, i to wbrew ich woli?" (Tukidydes, „Wojna peloponeska", ks. V, 98). „Odkrycie" Nye'a sprowadza się zatem do stwierdzenia, że siła ma również wymiar ideowy, że „Idee mają konsekwencje", jak brzmi tytuł głośnej swego czasu książki konserwatysty Richarda M. Weavera. Notabene Ateńczycy całkowicie zaniedbali ten ideowy, ideologiczny front walki. Dlatego, zanim przegrali wielką wojnę pod względem militarnym (*hard power*), przegrali ją pod względem ideowym (*soft power*). Sparta zdołała obsadzić siebie w roli obrońców Hellenów przeciwko ateńskiemu imperializmowi.

Motto rolników: wyciągać rękę po unijne pieniądze – zawsze, poświęcić coś dla dobra Unii – nigdy.

Pojęcie *soft power* jest zatem immanentnie zrośnięte z polityką, bo odnosi się do ideowego wymiaru siły. Dlatego nie może odejść do lamusa historii. Jest oczywiście prawdą, że bardzo często najlepszą *soft power* mają ci z największą *hard power* (*vide* Chiny i USA). Wyjątek, jaki rzuca się w oczy, to Korea Południowa, tzw. koreańska fala – seriale produkcji koreańskiej oraz K-pop. Chociaż gdy się pomyśli o ponad 50 mln Koreańczyków z Południa, którzy pracują jak szaleni, to zasięg *soft power* ich kraju przestaje być niewytłumaczalny.

W tym miejscu przychodzi do głowy nie najweselsza refleksja na temat naszej Europy. Jej atrakcyjność, jej *soft power* gaśnie na naszych oczach. Idea integracji, która zadziwiła świat i zrodziła chęć jej naśladowania przez innych, jest w kryzysie za sprawą rosnącej w siłę skrajnej prawicy z jej partykularnymi nacjonalizmami. Utrzymywanie przez UE standardów praw człowieka coraz częściej i coraz zasadniej podawane jest w wątpliwość. Nie porywa już nawet pomoc

eprasa.pl 1c3502ee53

rozwojowa świadczona przez Brukselę nie tylko wewnątrz Unii, ale i w różnych miejscach świata. Przez chwilę wydawało się, że taką potężną ideą napędzającą europejską *soft power* będzie Zielony Ład. Europa ponownie miała szansę stać się punktem odniesienia dla całego globu. Być prymusem w zakresie czystego powietrza, rzek, jezior, lasów, produkcji czystej energii i dbałości o środowisko. Prymusem w ukazaniu, że choć środowisko naturalne nie wrzuca kart wyborczych do urn, to politycy mogą na poważnie się nim zająć.

A jednak projekt ten się rozpada. Unia, choć powoli i nie wprost, wycofuje się z niego. Ulega krzykowi wpływowych grup, dla których standardy dbania o środowisko stanowią zagrożenie. Ulega krzykowi rolników – w wielu krajach, a z pewnością w Polsce, jednych z największych beneficjentów obecności w Unii. Motto rolników, którego nie wypowiadają na głos, lecz realizują w praktyce, brzmi: wyciągać rękę po unijne pieniądze – zawsze, poświęcić coś dla wspólnego dobra Unii – nigdy.

Przez chwilę wydawało mi się, że ten krzyk oporu wobec Zielonego Ładu mógłby zostać zagłuszony krzykiem młodych ludzi. Nie tyle może krzykiem młodych Polaków, gdyż do nich, jak i do nas wszystkich, wciąż stosują się słowa francuskiego publicysty, który bez mała 100 lat temu pisał w swojej relacji „Voyage au pays des Polonais": „W duszach polskich nie ma miejsca ani dla rozpaczy, ani dla protestów gwałtownych, ani dla satanizmu na modłę rosyjską; gdy toczy się walka o prawdę, nikt nie opowiada się za nią i nikt przeciw niej". Sądziłem jednak, że młodzi z innych części Europy z całych sił wesprą projekt Zielonego Ładu w imię swojego najlepiej pojętego interesu. Ale są oni chyba zbyt niepewni siebie, zbyt podzieleni i zbyt krótkowzroczni, aby raz wspólnie, zdecydowanie, w skali całego kontynentu wystąpić i zakrzyknąć za Marcinem Lutrem: „Przy tym stoję i nie mogę inaczej".

Piotr Kimla

Co z finansami państwa?

Dobrobyt na kredyt

Wiesław Żółtkowski

Rząd przedstawił projekt budżetu państwa na 2026 r. Zawiera on liczby z jednej strony pokazujące, a z drugiej ukrywające sytuację naszych finansów. Odbywa się to wszystko w otoczce walki politycznej, w której fakty przegrywają z propagandą rządu i opozycji.

Warto spojrzeć na finanse racjonalnie. Pierwszym wrażeniem jest rosnący dług publiczny, którego koszt obsługi będzie stanowił istotny wydatek państwa przez kilkadziesiąt lat. Partie rządzące rywalizują w obietnicach zwiększania wydatków i ograniczania podatków. Jest to nielogiczne, ale akceptowane przez społeczeństwo. Po 2015 r. PiS rozpoczęło słuszny, ale częściowo nierealistyczny, bo oderwany od źródeł finansowania, program socjalny. Za rządów PiS zadłużaliśmy się, finansując rosnącą konsumpcję. Żyliśmy najlepiej w historii kraju, ale nie inwestowaliśmy i uzależnialiśmy się od długu.

PiS przez osiem lat nie zbudowało niczego, oprócz nieprzydatnego przekopu Mierzei Wiślanej. Równocześnie kradło i dewastowało struktury państwa. Przekonywało społeczeństwo do fałszywego poglądu, że pieniądze są i będą. Platforma Obywatelska bała się temu zaprzeczyć. Jest to wprawdzie wbrew doświadczeniu każdego gospodarstwa domowego, ale jakoś funkcjonuje na poziomie państwa. Jedni tego nie rozumieją, drudzy nawet rozumieją, ale korzystają z okazji, aby pieniądze dostać.

Na początku to się spinało dobrą koniunkturą gospodarczą oraz wydawaniem na konsumpcję wszystkich funduszy inwestycyjnych, np. opłat środowiskowych. Pomijając wydatki związane z covidem, po 2022 r. dług zaczął szybko rosnąć. Kampania polityczna 2023 r. prowadziła do wzrostu wydatków socjalnych. Istotne stały się koszty obsługi wcześniej zaciągniętych kredytów. Wzrosły wydatki na wojsko. Część długów była ukryta w funduszach pozabudżetowych, które jednak musiały być spłacane z budżetu. Premier Mateusz Morawiecki wiedział, jak niebezpiecznie wzrasta zadłużenie państwa. Ale ważniejsza była walka polityczna podbudowana myśleniem: „Po nas choćby potop". Warto to przypominać, gdy obecna opozycja krytykuje politykę rządu.

Licytowanie się na socjal w 2023 r. przeniosło się z rządów PiS na rząd obecnej koalicji. Za nowymi wydatkami zawsze zgodnie głosowały PiS i PO. Decyzje rządu PiS i na szczęście tylko częściowo spełniane obietnice wyborcze PO doprowadziły do stanu budżetu na 2026 r. Wydatki na poziomie 919 mld zł mają być sfinansowane dochodami w wysokości 647 mld zł, czyli w 70%. Resztę trzeba będzie finansować długiem. Całość długu jest liczona na dwa sposoby: bez długu ukrytego w funduszach pozabudżetowych – i wówczas będzie wynosić 53,8% PKB – oraz z funduszami, a wówczas będzie to 66,2%. Ta druga wielkość jest prawdziwa, pierwsza jest manipulacją w celu utrzymania się w konstytucyjnym limicie długu.

Co wpływa na deficyt? Podstawowe znaczenie mają wydatki socjalne i zbrojeniowe. Jestem zwolennikiem silnej polityki socjalnej, zwłaszcza polegającej na wyrównywaniu startu życiowego młodzieży. Ale żeby polityka socjalna była trwała, musi być racjonalna. W państwach europejskich świadczenia kieruje się do wszystkich, bez kryterium dochodowego,

eprasa.pl 1c3502ee53

gdy istnieje równocześnie silnie redystrybucyjny system podatkowy. Jeśli nie ma takiego systemu – a w Polsce go nie ma – świadczenia kieruje się tylko do uboższych. Chcąc uzyskać poparcie wyborcze, PiS wypracowało, a inni to kontynuują, politykę socjalną, w której świadczenia kierowane są do wszystkich, a biedniejsi płacą za nie ze swoich dochodów proporcjonalnie więcej niż bogaci. Taki mamy system podatkowy.

W budżecie na 2026 r. na same świadczenia pieniężne przeznacza się już ok. 130 mld zł, co stanowi 20% zakładanych dochodów budżetu. Równocześnie na ochronę zdrowia planuje się wydać 248 mld zł (38% dochodów budżetu). Wydatki na zdrowie są jednymi z najmniejszych w porównaniu z innymi krajami. Nie poprawi się ochrony zdrowia, a część świadczeń pieniężnych będzie musiała trafić do prywatnych usług zdrowotnych. Realizowana jest polityka zastępowania usług publicznych wypłatami pieniędzy „do ręki".

Wydatki na zbrojenia w wysokości 200 mld zł (22% budżetu) i 4,7% PKB są bardzo wysokie na tle podobnych wydatków w NATO. Eksploatacja zakupionego sprzętu będzie wymagać podobnych nakładów przez kilkadziesiąt lat. A jakie uzyskujemy zdolności militarne? Niewielkie w odniesieniu do skali konfliktu, o którym codziennie mówimy.

Po co w tej sytuacji wydawać tyle pieniędzy na zakupy zbrojeniowe kosztem innych potrzeb? Nie pokazano społeczeństwu, jak koszt zbrojeń wpływa na strukturę budżetu, jak ogranicza wydatki na ochronę zdrowia, edukację, inwestycje. Podniesiemy podatki czy jeszcze zwiększymy zadłużenie, co doprowadzi do kryzysu finansowego państwa? A w ogóle czy mamy ochotników do obsługi takiej ilości sprzętu wojennego? Czy może być armia bez własnego przemysłu zbrojeniowego? Te realia są omijane w dyskusji publicznej.

Pojawiają się protesty przeciwko niskiemu finansowaniu nauki. Też uważam, że skandaliczne jest niedofinansowanie edukacji i nauki. Ale protesty uczonych mnie dziwią. Przynajmniej oni powinni umieć liczyć do 100%. Jeśli popierają wzrost wydatków na zbrojenia i świadczenia pieniężne, a popierają, to w budżecie musi się zmniejszyć udział wydatków na naukę. Nauka powinna mieć więcej pieniędzy przez ograniczenie udziału wydatków na wojsko do 3,5% PKB. Ale uczeni tego nie postulują. Może nie potrafią liczyć do 100 i nie wiedzą, że budżet ma ograniczoną wartość. Jeśli tak, to może jednak nie powinni dostać więcej pieniędzy.

Proponowane wydatki są możliwe tylko dzięki finansowaniu budżetu w 30% długiem. Koszt obsługi długu rośnie i przekroczy już 100 mld zł. Obniżki stóp procentowych mogą ograniczyć wzrost tej pozycji. Można przytaczać argument, że mamy wzrost gospodarczy, który niweluje efekt zadłużania się. Dzięki pieniądzom z KPO inwestujemy w rozwój. Ale dług byłby bezpieczny, gdyby wzrost PKB był wyższy od wzrostu długu. A tak niestety nie jest. Dług przyrasta szybciej niż PKB.

Koszt zbrojeń wpływa na strukturę budżetu, ogranicza wydatki na ochronę zdrowia, edukację, inwestycje.

W tej sytuacji trzeba mieć świadomość, że jakiś kryzys finansowy na świecie lub obniżenie ratingu Polski może spowodować taki wzrost kosztu obsługi długu, z którym sobie nie poradzimy. Trzeba bowiem zauważyć, że polskim problemem nie jest sama wartość długu – inne kraje są silniej zadłużone. Problemem jest koszt jego obsługi. Słowacja i Litwa mają dług, za który płacą trochę ponad 3%, a my płacimy ok. 6%. Tak jest, bo Słowacja i Litwa są w strefie euro. Inaczej mówiąc, Polska jest postrzegana jako kraj większego ryzyka niż Litwa i Słowacja. W Europie w porównaniu z większością krajów mamy w relacji do PKB niższe zadłużenie finansów publicznych, ale wyższy koszt obsługi długu. To ścieżka, którą kroczyła Grecja. Jej program socjalny był nawet bogatszy, a zakupy zbrojeniowe większe, ale po kryzysie zadłużeniowym wydatki zostały obcięte, podatki wzrosły i wiek emerytalny został podwyższony.

Uważam, że lepiej prowadzić politykę z rosnącymi wydatkami, ale na miarę realnego finansowania, i nie odrywać się od rachunku ekonomicznego w imię interesów wyborczych. Niektórzy powołują się na teorie ekonomiczne, które dopuszczają śmiałe i bezpieczne zadłużanie w imię rozwoju. Ale żadna teoria nie obali podstawowej zasady, że dług trzeba zwracać, a dochody są niepewne. Z takim dylematem się zderzamy.

Jaka jest perspektywa? Trzeba ograniczyć wydatki i zwiększyć podatki. Można to zrobić, np. likwidując 13. emeryturę (to 19 mld zł) przy zachowaniu 14. emerytury, która ma sens socjalny. Weryfikując wydatki zbrojeniowe, warto byłoby zrezygnować z niektórych zakupów sprzętu wojskowego. Można też na początek zwiększyć akcyzę i zlikwidować część ulg podatkowych. Bez pokazywania działań zmierzających do równowagi budżetowej wypowiedzi o finansach są nieuczciwe. Obawiam się, że wybory parlamentarne 2027 r. będą rywalizacją na wzrost wydatków. Jednocześnie prezydent Nawrocki i Konfederacja deklarują protest przeciwko zwiększaniu podatków. To postawy destrukcyjne dla kraju, ich celem jest walka o władzę, a nie dobro Polski. Jeśli w tym roku prezydent nie podpisze ustaw o podatku bankowym i akcyzie zwiększających dochody państwa, Polska może zrobić krok w stronę dalszej destrukcji finansów państwa.

Kiedy to może się zmienić? Gdy kryzys finansowy będzie odczuwany przez obniżenie poziomu życia społeczeństwa. Obawiam się, że zmiana tej szkodliwej polityki nie nastąpi w procesie racjonalnej dyskusji i konsensusu społecznego. Za duże są podziały w naszym społeczeństwie. Dopiero w odczuwalnym kryzysie jakaś partia przejmie władzę i pod osłoną totalnej krytyki poprzedników ograniczy wydatki i zwiększy podatki. Bez przymusu nic się nie zmieni. Czyli czekamy na kryzys, który uruchomi proces naprawy w sytuacji gorszej niż teraz. ■

eprasa.pl 1c3502ee53

Jaka może być przyszłość polskiej gospodarki


Jaka przyszłość polskiej gospodarki?

Paweł Zieliński

Ciekawy tekst Andrzeja Jakubowicza (nr 41/2025) o polskiej gospodarce chciałbym uzupełnić o znane mi fakty i moje propozycje. Nie tylko główne założenia neoliberalne, ale i konkretne rozwiązania doprowadziły do upadku lub likwidacji w latach 1990-1992 ok. 40% przedsiębiorstw państwowych.

Niezgodne z prawem było podniesienie stopy procentowej starych kredytów inwestycyjnych z kilku procent do kilkuset. Rozumiem, że chodziło o uchronienie banków od ryzyka, ale można to było zrobić inaczej: emitując obligacje, które podniosłyby kapitały banków i zrekompensowały bankom straty na stopie procentowej. W efekcie zrealizowanej koncepcji rządu wiele przedsiębiorstw utraciło płynność, pracownicy stracili miejsca pracy, a budżet musiał finansować bezrobocie i restrukturyzację banków. Realny koszt upadku firm przekroczył kilkukrotnie koszt dokapitalizowania banków obligacjami.

Drugim poważnym uderzeniem w przemysł było olbrzymie obniżenie ceł w ciągu dwóch lat. Spowodowało to spadek sprzedaży wielu firm krajowych, nieprzygotowanych na konkurencję światową. Cła należało obniżyć, ale rozkładając ów proces na pięć-osiem lat, aby podmioty te zdążyły się zrestrukturyzować i przygotować do światowej konkurencji.

Z jednej strony, przedsiębiorstwom ograniczono możliwości sprzedaży, z drugiej, kilkukrotnie podwyższono koszty. Dlatego firmy znalazły się między młotem a kowadłem.

Postęp naukowo-techniczny jest najlepszym instrumentem do odrodzenia przemysłu. Pokazały to Chiny, gdy z kraju zacofanego przekształciły się w pioniera nowych technologii. Trzeba stworzyć wiele ścieżek wspomagania wynalazców i firm, które mają pomysły, a nawet patenty, ale nie mają pieniędzy na ich realizację. Należy zrobić przegląd polskich patentów i wspomóc finansowo i organizacyjnie ich realizację, wykorzystując fundusze wysokiego ryzyka. W Polsce wybudowano kilkanaście spalarni odpadów komunalnych według przestarzałej technologii rusztowej, mimo że istnieje polski patent na technologię pirolityczno-fluidalną, która ma niższe koszty inwestycji i eksploatacji, sprawność energetyczną większą o 15% i nie wytwarza odpadów niebezpiecznych. Jedynym powodem niezastosowania tej technologii na dużą skalę był brak bankowalności (szans na pozyskanie przez wykonawcę finansowania zewnętrznego, np. w formie kredytu, pożyczki – przyp. red.) wynikający z braku doświadczenia i konserwatywnego podejścia banków.

Jak zauważył autor artykułu, do realizacji różnych celów potrzebne są pieniądze. Zgadzam się, że wydatki socjalne należy zracjonalizować, kierując się m.in. kryteriami dochodowymi. Podatek VAT jest obszarem, gdzie marnuje się najwięcej pieniędzy. Można powiedzieć, że przez niego biedni finansują bogatych. Jest to podatek pośredni, więc wszyscy, którzy kupują towary i usługi, płacą go w takiej samej wysokości. To znaczy, że ulgowe i zerowe stawki podatku płacą najbogatsi obywatele, zagraniczni turyści i przestępcy nigdzie niepracujący. Do budżetu państwa wpływa ponad 100 mld zł mniej. Częścią tej sumy można by było zrekompensować wzrost cen, a resztę wykorzystać na inne cele.

Następnym podatkiem, który może przynieść wyższe dochody, jest CIT płacony od zysków przedsiębiorstw. Niestety, przez koszty część zysków z ominięciem podatków jest transferowana do osób prywatnych i za granicę. CIT można zastąpić podatkiem obrotowym, co uniemożliwi bezpodatkowy transfer zysków. Można też zmodyfikować podatek PIT.

Poprosiłem sztuczną inteligencję, aby oszacowała stopę podatkową przy następujących warunkach: dochody z PIT na poziomie roku 2024, kwota wolna od podatku: 120 tys. zł, żadnych ulg i wspólnych rozliczeń małżeńskich. Otrzymałem następujący wynik: dla 85% podatników podatek wynosiłby 0, byłaby jedna stopa podatkowa – 27% dla 15% najbogatszych podatników. Najpierw podatek byłby liniowy i wynosił 0, potem silnie progresywny. Nie potrzeba podnosić stopy podatkowej do 90%. Nawet jeżeli utrzymamy stopę 32%, i tak odnotujemy przyrost podatków do budżetu.

Prof. Grzegorz W. Kołodko proponuje zmniejszyć wydatki na obronność do 3%, co dałoby oszczędności ok. 80 mld zł. Uważam, że gdyby rząd zlecił sztabowi generalnemu i Akademii Sztuki Wojennej opracowanie dwóch dokumentów: jak docelowo ma wyglądać armia europejska i jak do tego dojść, oraz zaczął za tym lobbować w UE, oszczędności mogą być większe, podobnie jak bezpieczeństwo Polski.

Biorąc powyższe pod uwagę, jestem zdania, że można znaleźć pieniądze na postęp naukowo-techniczny, który byłby główną dźwignią ponownego uprzemysłowienia. ■

Można znaleźć pieniądze na postęp naukowo-techniczny, który byłby główną dźwignią ponownego uprzemysłowienia.

eprasa.pl 1c3502ee53

Nie daj się oszustom. Zastrzeż PESEL w mObywatelu

Coraz częściej słyszymy o osobach, które padły ofiarą wyłudzeń. Kredyt, o którym nic nie wiedziały, telefon kupiony „na raty" – wszystko na ich dane. A wystarczy kilka sekund w aplikacji mObywatel, by zastrzec swój numer PESEL i uniemożliwić oszustom działanie.

mObywatel na straży Twojego bezpieczeństwa

Pani Aleksandra z Sosnowca jeszcze niedawno była przekonana, że takie historie zdarzają się tylko innym. Do czasu, gdy odebrała z poczty rachunek za dwa drogie telefony, których nigdy nie zamawiała. Próby wyjaśnienia sprawy trwały miesiącami, a komornik zablokował jej konto. Winny? Ktoś, kto wszedł w posiadanie jej numeru PESEL. Na szczęście dziś możemy się przed tym zabezpieczyć.

Zastrzeż PESEL – prosto, szybko, bezpłatnie

Funkcja zastrzegania numeru PESEL w aplikacji mObywatel to bezpłatne i dostępne 24/7 narzędzie, które skutecznie chroni przed wyłudzeniem kredytu czy pożyczki. Nie trzeba odwiedzać urzędu ani wypełniać formularzy – wystarczą dwa kliknięcia w telefonie.
Z rozwiązania korzysta coraz więcej osób – tylko w ostatnim miesiącu swój numer zastrzegło ponad 427 tys. użytkowników, a liczba korzystających z mObywatela przekroczyła 10,5 mln i wciąż rośnie. To prosta czynność, która daje realne poczucie bezpieczeństwa i spokoju.

Jak to działa?
Po zalogowaniu się do aplikacji wystarczy wybrać zakładkę Usługi, następnie opcję Zastrzeż PESEL i potwierdzić działanie. W każdej chwili można też cofnąć zastrzeżenie, np. gdy planujemy zaciągnąć kredyt lub podpisać umowę wymagającą weryfikacji tożsamości. Zmiana statusu następuje natychmiastowo. Aplikacja pozwala również sprawdzić, kto i kiedy weryfikował nasz PESEL – to praktyczne narzędzie kontroli nad własnymi danymi.

Bezpieczeństwo przede wszystkim

Dostęp do mObywatela chronią nowoczesne zabezpieczenia – kod PIN, odcisk palca lub rozpoznawanie twarzy, w zależności od modelu telefonu i systemu operacyjnego. Dane są przetwarzane zgodnie z obowiązującymi przepisami i pozostają bezpieczne nawet w przypadku utraty urządzenia.

Zrób to już dziś

Nie czekaj, aż ktoś wykorzysta Twój numer PESEL. Zastrzeż go już teraz w aplikacji mObywatel – zajmie Ci to mniej niż minutę.
Dwa kliknięcia, które mogą oszczędzić Ci miesięcy stresu i kłopotów. Zastrzeż PESEL i śpij spokojnie.



Pobierz aplikację mObywatel

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Materiał informacyjny współfinansowany z funduszy Unii Europejskiej.

Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | Ministerstwo Cyfryzacji

eprasa.pl 1c3502ee53

Pokolenie ciągłego protestu

Młodzi wyborcy obalają rządy, ale nie mają pomysłu na ich zastąpienie



Protest studentów w stolicy Madagaskaru, 9 października 2025 r.

Mateusz Mazzini

Przy takim nagromadzeniu podobnych wydarzeń w krótkim czasie łatwo ulec pokusie generalizacji. W końcu od 8 września, kiedy rozpoczęły się protesty w Nepalu, zwieńczone podpaleniem budynku parlamentu i zmianą władzy, aż do 25 października, kiedy wprowadzono 30-dniowy stan wyjątkowy w stolicy Peru, Limie, minęło zaledwie siedem tygodni. Antyrządowe demonstracje zwoływane głównie przez najmłodszych wyborców – często za pomocą tych samych platform społecznościowych i utrzymane w tej samej symbolice, inspirowanej japońskimi komiksami – miały miejsce na Madagaskarze, w Paragwaju czy w Maroku.

Patrząc na nie z dystansu, można dostrzec podobieństwa. Zgadza się wiek demonstrantów oraz ich paliwo polityczne: sprzeciw wobec korupcji, frustracja wywołana brakiem szans rozwojowych i zablokowaniem kanałów rozwoju społecznego, a także przekonanie, że elity polityczne nie reprezentują już niczyich interesów poza własnymi. Wreszcie to, czego brakuje wielu ruchom społecznym, a nawet partiom politycznym, czyli spójna symbolika. Trupia czaszka w słomkowym kapeluszu (na zdjęciu) zaczerpnięta została z mangi i anime „One Piece". W popularnej w latach 90. serii flagą z tym symbolem wymachiwali piraci, którzy sprzeciwiali się opresyjnej i skorumpowanej władzy.

Przywileje do przesady

Teoretycznie więc wszystko się zgadza. Tak bardzo, że niektórzy publicyści robią porównania z arabską wiosną z 2011 r. Taka analogia ma się bronić właśnie dzięki nośnikom antyautorytarnego sprzeciwu społecznego. Wtedy – choć tamte rewolucje były ograniczone geograficznie – ludzie mobilizowali się przeciwko tyranom za pomocą Twittera i Facebooka. Dziś robią to na Discordzie, Reddicie, Twitchu czy TikToku. Wówczas była to nie tylko innowacja polityczna, ale też znak czasów. Wprawdzie sam Mark Zuckerberg zaprzeczał, że Facebook w jakikolwiek sposób przyczynił się do zmian ustrojowych i politycznych w Maghrebie czy na Bliskim

eprasa.pl 1c3502ee53

Wschodzie, ale nie dało się ukryć, że coś się wtedy zmieniło. Być może coś cywilizacyjnego. Świat odkrywał nowe metody komunikacji, a tłamszenie tradycyjnych mediów nie przynosiło efektu. Bo to, czego nie dawało się wyemitować w telewizji, można było pokazać milionom osób w internecie. Bez cenzury, bez redakcji, bez sprzętu za miliony.

Dzisiaj sytuacja może wyglądać analogicznie. Znów młodzi, znów w internecie, znów w miejscach, które oni rozumieją znacznie lepiej od starszych pokoleń. Znów podobne postulaty i zmiany o charakterze transgranicznym, rozlewające się na kolejne państwa. Istnieje jednak zasadnicza różnica pomiędzy tym, co się działo w 2011 r., a tegoroczną falą protestów. I nie chodzi nawet o rezultat, bo wiemy, że arabska wiosna nie przyniosła upragnionej demokratyzacji, wręcz przeciwnie – umożliwiła wejście na scenę podmiotom i stworzyła struktury, które skonsolidowały władzę mającą niewiele wspólnego z demokracją.

Czym się skończą protesty pokolenia Z, oczywiście nie wiadomo. Różnica jest jednak fundamentalna i dotyczy tego, co zrobić ze swoim państwem, kiedy już przejmie się nad nim kontrolę.

W Nepalu zaczęło się od sprzeciwu wobec ostentacyjnego przywileju. Podczas gdy – jak wynika z danych Banku Światowego – jedna piąta młodych Nepalczyków pozostaje bez pracy, dziewięciu na dziesięciu zatrudnionych pracuje na czarno albo w szarej strefie, a co roku pół miliona osób do 24. roku życia zasila rynek pracy bez specjalnych szans na trwałe zatrudnienie i awans społeczny, dzieci polityków bez cienia wstydu publikowały na Instagramie zdjęcia na tle choinek zbudowanych z pudełek z logo Louis Vuitton.

Kilku internetowych aktywistów niezależnie od siebie zaczęło wzywać ludzi do wyjścia na ulicę, choć robili to bez żadnej strategii. Nie podawano dat, godzin, adresów. Można nawet stwierdzić, że obalenie rządu udało się, bo Nepal jest kompaktowym państwem, całość życia politycznego toczy się w Katmandu, które ma nieco ponad 850 tys. mieszkańców. Łatwo się tam znaleźć, zmobilizować i zorganizować. Okazało się, że frustracja społeczna jest potężna, bo na ulicach szybko pojawiły się dziesiątki tysięcy osób. Początkowo napotkały opór służb mundurowych. Polała się krew. Ramesh Lekhak, ówczesny minister spraw wewnętrznych, jeden z najbardziej znienawidzonych polityków w Nepalu, instruował policjantów, by jak najbrutalniej rozliczali się z tłumem. Młodzi jednak nie ustępowali, przeciągając część aparatu przymusu na swoją stronę.

Potem poszło już szybko. Rząd próbował jeszcze protesty stłumić, publikując dekret o wyłączeniu na terenie Nepalu 27 największych platform społecznościowych, w tym Facebooka czy Instagrama. Tłum się radykalizował, podpalono budynek parlamentu i rezydencję premiera, KP Sharmy Olego, który został ewakuowany helikopterem. Na koniec, niczym w filmie opowiadającym o przeniesieniu całości demokracji do świata cyfrowego, nową szefową rządu została 73-letnia weteranka ruchu antykorupcyjnego Sushila Karki, wybrana na to stanowisko za pomocą… sondy na platformie Discord.

Opowieść o internetowym głosowaniu brzmi atrakcyjnie, ale nie pokazuje całej prawdy – Karki mogła zostać premierką, bo wyznaczył ją tłum, ale później zgody musiała udzielić jej armia. W walce o władzę decydujący głos mają zatem nie młodzi przy klawiaturach, tylko faceci z bronią w ręku.

Biednie jak na Madagaskarze

Na Madagaskarze prezydent Andry Rajoelina zdecydował się na ucieczkę 10 października, samolotem należącym do, jak poinformował Andrew Mueller z internetowego magazynu Monocle, francuskich sił zbrojnych. Prawdopodobnie umknął do Dubaju.

Tu też na ulice wyszli młodzi, motywowani katastrofalną sytuacją gospodarczą i brakiem widoków na przyszłość. Daria Jankiel z Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR) wylicza, że 80% mieszkańców Madagaskaru żyje na granicy ubóstwa lub poniżej tego poziomu, a 1,3 mln jest stale niedożywionych. Aż 70% jest przekonanych, że sprawy w kraju idą w złym kierunku. Młody prezydent obiecał, że poprawi sytuację, a w ciągu dwóch lat rozpisze nowe wybory i podniesie jakość demokracji. Niewiele z tego wyszło, zaczęły się więc protesty, najpierw brutalnie tłumione, potem zbyt duże, by je powstrzymać. Według danych Amnesty International zabito 22 osoby, ponad 100 zostało rannych. Rajoelina nie miał już czego bronić i uciekł.

W Paragwaju protesty nie były aż tak liczne jak w innych krajach – tu w stolicy, Asunción, wychodziły na ulice raczej setki, a nie tysiące osób. Pozostałe czynniki strukturalne jednak się zgadzały. Korupcja (według Transparency International jedna z najwyższych w całej Ameryce Południowej), zablokowane kanały rozwoju, gospodarka oparta na nepotyzmie i redystrybucji majątku w górę, jak przystało na reżimy kleptokratyczne, a nie w dół.

Zetki, czyli osoby urodzone w późnych latach 90. i na początku XXI w., to pokolenie zablokowanych szans.

Dokładnie te same hasła wzięła na sztandary młodzież na Sri Lance i w Maroku. W Peru dołączono do tego strach przed przestępczością zorganizowaną, bo kraj, niegdyś ostoja latynoamerykańskiej klasy średniej, nie radzi sobie z napływem syndykatów kryminalnych z Ekwadoru czy Wenezueli. Lima jest jednym z centrów przerzutowych wenezuelskich migrantów, których coraz potężniejszy kartel Tren de Aragua wysyła dalej na południe, do Chile. Te podobieństwa można długo wyliczać, co nie powinno nikogo dziwić, bo podobne są nie tylko populacje, ale przede wszystkim warunki systemowe i czynniki strukturalne we wszystkich krajach, przez które przetacza się tzw. rewolucja pokolenia Z.

FOT. LUIS TATO/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1c3502ee53

Pozostawieni sami sobie

Trafnie to zjawisko podsumował paragwajski politolog Leonardo Berniga w rozmowie z portalem Deutsche Welle. Wskazał, że najmłodsze pokolenie po prostu nie czuje się reprezentowane przez elity polityczne. Ta diagnoza niewiele jednak tłumaczy, w istocie bowiem wszystkich, którzy wyszli na ulice, od Katmandu po Limę i od Rabatu po Kolombo, łączy coś znacznie poważniejszego.

Pokolenie Z, czyli osoby urodzone w późnych latach 90. XX w. i na początku kolejnego stulecia, to już generacja, która nie załapała się na skok cywilizacyjny czasów Fukuyamowskiego końca historii, pokolenie szans zablokowanych. Ci ludzie niekoniecznie są przekonani o niezachwianej przewadze liberalnej demokracji nad jakimkolwiek innym ustrojem – i to nie dlatego, że wykazują ciągoty autorytarne czy faszyzujące. Wręcz przeciwnie, wszak wielu polityków, których chcą obalić, to właśnie członkowie partii skrajnie prawicowych. Za demokrację jako ideę nie będą jednak umierać, bo nie doświadczyli korzyści, zwłaszcza ekonomicznych, wynikających z życia w jej ramach.

Krótko mówiąc, zetki to pokolenie, które z politycznego punktu widzenia niewiele dostało od świata – przynajmniej takie mają przekonanie. Ich świat to świat katastrofy klimatycznej, drogich mieszkań, niepewności na rynku pracy i edukacji, która miała być narzędziem awansu społecznego, a stała się niedotrzymaną obietnicą. Trudno je winić za to, że chcą taki świat spalić, dosłownie i w przenośni, i nie są przywiązane do zasad, które po II wojnie światowej były dla ich dziadków i rodziców nienaruszalne.

Właśnie z tego powodu protestów pokolenia Z nie należy ani generalizować, ani porównywać z wydarzeniami ostatnich dekad. Owszem, warunki wyjściowe się zgadzają, wspólna flaga daje iluzję globalnej jedności, ale poza powierzchownymi czynnikami niewiele tych ludzi łączy. Ich główną osią ideologiczną jest sprzeciw – nie tyle wobec konkretnych polityków, ile wobec polityki rozumianej jako dziedzina życia, uprawianej w sposób zawodowy. Zetki ogniskują gniew na konkretnych osobach, ale to tylko kwestia danego momentu dziejowego. Tacy, a nie inni mężczyźni nami rządzą, to akurat ich obwinimy o naszą złą sytuację materialną i brak perspektyw na przyszłość. Gdyby to był ktoś inny, jemu spalilibyśmy rezydencję i zmusili go do ucieczki z kraju. Personalia są drugorzędne, liczy się niezadowolenie z bieżącej sytuacji i pragnienie radykalnych zmian.

Nic do zaoferowania

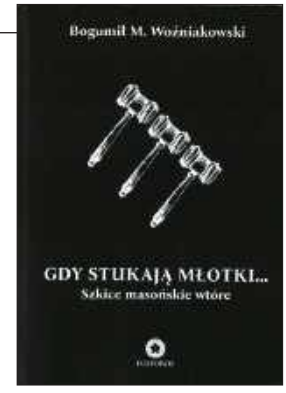
Oczywiście nieprzypadkowo protesty zaczęły się w krajach relatywnie ubogich, o olbrzymich nierównościach społecznych. W takich miejscach o gwałtowną rewoltę społeczną zawsze łatwiej, bo system polityczny jest mniej skonsolidowany, korupcja bardziej rzuca się w oczy, a ci, którzy wychodzą na ulice, mają zwyczajnie mniej do stracenia, są więc zdolni do bardziej ryzykownych zachowań. Błędem byłoby jednak bagatelizowanie tych ruchów, ograniczanie ich tylko do globalnego Południa. Sygnalizują one bowiem, że pewien model państwowości się wyczerpuje, może nawet już się wyczerpał w całości. Demokracja połączona z gospodarką wolnorynkową nie oferuje już wizji przyszłości, w której widzą się najmłodsi wyborcy.

Ten układ po prostu nie działa, nie przynosi rezultatów. Problem w tym, że nie przynosi ich także w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Hiszpanii czy w Wielkiej Brytanii. Dlatego kwestią czasu jest pojawienie się jakichś odmian tej mobilizacji generacyjnej również w krajach znacznie bogatszych.

I może nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że te demonstracje niewiele niosą, poza samą destrukcją starego porządku. Młodzi wywracają stolik, ale potem nie mają pomysłu, jak te meble poukładać na nowo. Widać to już w Nepalu, miesiąc po obaleniu rządu. „Guardian" oraz „New York Times" opublikowały reportaże o sfrustrowanych młodych ludziach, którzy wybrali sobie nową premier przez internet, a w kraju nic realnie się nie zmieniło. Także dlatego, że nie mogło się zmienić. Przecież nikt nie zwalczy plagi korupcji w ciągu czterech tygodni. Nie tak się robi politykę. Pod warunkiem że mowa o polityce rozumianej w sposób tradycyjny, mieszczącej się w ramach instytucjonalnych i przede wszystkim opartej na reprezentacji. Młodzi chcą zmiany i wygląda na to, że domagają się również zmiany tego, co oznacza polityka jako pojęcie. Dlatego są niecierpliwi. Jeśli jednak miałoby dojść do redefinicji umowy społecznej, potrzeba do tego albo momentu autentycznie rewolucyjnego, albo wielu lat negocjacji państwa z obywatelami. Niewykluczone więc, że pokolenie Z będzie protestować w nieskończoność.

Mateusz Mazzini

KSIĄŻKI



Bogumił M. Woźniakowski
Gdy stukają młotki...
Szkice masońskie wtóre
Wydawnictwo Fosforos, Lydney 2025

Zbiór szkiców, które są zmienioną, uzupełnioną i uaktualizowaną wersją artykułów publikowanych w „Forum Myśli Wolnej", magazynie Rady Wojewódzkiej Towarzystwa Kultury Świeckiej w Krakowie. W części pierwszej zaprezentowana została historia polskiego wolnomularstwa od jego odrodzenia na początku XX w. do dzisiaj. W części drugiej przedstawiono sylwetki kilkorga znanych i mniej znanych masonów i masonek. Część trzecia szkiców podejmuje temat prasy i książki wolnomularskiej.

(es)

eprasa.pl 1c3502ee53

Kapitalizm i realizm



Andrzej Szahaj

Bursztowie. Wspomnienie

Jestem coraz bardziej zwrócony ku przeszłości – w moim wieku to nic dziwnego. Wydobywam z niej obrazy ludzi dla mnie ważnych, którzy pozostają w mojej pamięci jako ślad tego, co dobrego spotkało mnie w życiu. W listopadzie szczególnie tych, którzy już odeszli. Jak Bursztowie. Józef i Wojtek. Najpierw Józef, podziwiany Profesor, właśnie przez duże P (tych przez małe p staram się zapomnieć…).

Był rok 1977, gdy rozpoczął dla nas – pierwszego rocznika poznańskiego kulturoznawstwa – wykład z przedmiotu wstęp do kulturoznawstwa. A przedstawił się nam w sposób następujący: „Jestem Józef Burszta, wydawca dzieł wszystkich Oskara Kolberga". Mój Boże, kto z nas wiedział wtedy, kim był Oskar Kolberg? Jednak szybko uświadomiliśmy sobie wagę tej prezentacji. I to, z kim mamy do czynienia. Z wybitnym naukowcem (etnografem i folklorystą, wielkim znawcą kultury wiejskiej) i uroczym człowiekiem. Znakomite wykłady pozostały w naszej pamięci. A w mojej jeszcze egzamin. Wyraźnie poruszony Profesor, który po wypytaniu mnie, skąd tak nietypowe nazwisko, i utwierdzeniu się, że z Podola, udał się w podróż sentymentalną do swojej ukochanej Galicji, w której się urodził (w okolicach Leżajska) i której pozostał wierny mimo lat spędzonych w Poznaniu. Słuchałem chyba na piątkę, ponieważ taką właśnie ocenę dostałem.

Skądinąd nieco podobna przygoda spotkała mojego przyjaciela z roku, który pochodził z Łap w Białostockiem, i gdy zdawaliśmy egzamin u wybitnego poznańsko-toruńskiego socjologa prof. Tadeusza Szczurkiewicza, zniknął za drzwiami jego mieszkania (tam zdawaliśmy egzamin, profesor był już bardzo wiekowy i rzadko fatygował się na uczelnię) na dobre pół godziny. Myśleliśmy sobie: ależ go magluje, już po nim. Ale Tadek wyszedł rozpromieniony z piątką w indeksie. Okazało się, że profesor wdał się we wspomnienia tego, jak to pod Łapami gonił bolszewików w czasie wojny polsko-bolszewickiej…

No ale teraz już o Wojtku, czyli wybitnym polskim etnologu i kulturoznawcy, profesorze, synu Józefa. Moim koledze z roku na kulturoznawstwie, studiowanym przez niego jako drugi fakultet (pierwszym była etnografia). Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Byliśmy wtedy młodzi i nastawieni na zabawę, więc się bawiliśmy. Wojtek był w tym doskonały, a ja starałem się dotrzymywać mu kroku (nie było to łatwe). Jak każdy człowiek miał swoje słabości, a jednak wszyscy, którzy go pamiętają, z reguły uśmiechają się na jego wspomnienie. Miał bowiem znakomite poczucie humoru, sypał zabawnymi anegdotkami, np. gdy jadąc na stypendium do Princeton, umówił się listownie z profesorem antropologii kulturowej noszącym typowo polskie nazwisko, który okazał się czarny jak heban.

Błyskotliwa inteligencja szła u Wojtka ręka w rękę z wielką wiedzą i pasją poznawczą. Napisał znakomity doktorat, a potem jeszcze lepszą habilitację. Był z pewnością jednym najwybitniejszych etnologów i kulturoznawców polskich. Świetnym znawcą kultury masowej. Autorem wielu znakomitych książek. Mimo że w pewnym momencie przeniósł się z Poznania do Warszawy, pozostał do końca życia wierny osiągnięciom poznańskiej szkoły teorii kultury, której twórcą był nasz wspólny mistrz, Profesor Jerzy Kmita (promotor naszych doktoratów). To na legendarnym seminarium Kmity gromadzili się w początkach lat 80. XX w. jego najzdolniejsi uczniowie, dziś na ogół znani profesorowie. Wojtek był bardzo aktywnym uczestnikiem zajęć, zawsze skorym do komentarzy wypowiadanych w typowym dla siebie lekko żartobliwym tonie. Gdy spotkaliśmy się rok przed jego śmiercią w jego domu w Milanówku (moja żona znała go równie długo jak ja, wszak była naszą koleżanką z roku), było dużo wspomnień i śmiechu. Było tak, jak gdybyśmy pożegnali się chwilę temu, a przecież nie widzieliśmy się kilka lat. Rekomendowaliśmy Wojtkowi oraz jego przemiłej żonie Hani odwiedzenie naszej ukochanej Portugalii, w której nigdy nie byli. Ucieszyliśmy się bardzo, gdy parę miesięcy później dostaliśmy od nich kartkę z Taviry. Mieliśmy nadzieję, że niebawem ponownie się zobaczymy.

> Sądziliśmy, że szeroki świat przyjmie nas z otwartymi ramionami. Tak dawno to było. Chwilę temu.

Wiadomość o jego śmierci spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Wojtku, jak mogłeś to zrobić? Odejść tak szybko. I to nie żartem, co byłoby w Twoim stylu, ale naprawdę. Mam przed oczyma Twoją roześmianą twarz i prezentowane nam zapiski z oglądanych z pasją seriali telewizyjnych, które traktowałeś jako znakomity materiał naukowy. Pamiętam nastrój beztroskiej zabawy, jaki towarzyszył nam wtedy w Milanówku. Jakbyśmy cofnęli się o 40 lat. Kiedy nie było w nas jeszcze tego cienia, który przychodzi z wiekiem. Kiedy myśleliśmy, że żyć będziemy wiecznie, a dobra zabawa trwać będzie nieprzerwanie. Kiedy popijając piwo w sławnej wśród studentów restauracji Botaniczna na Ogrodach w Poznaniu, sądziliśmy, że szeroki świat przyjmie nas z otwartymi ramionami. Tak dawno to było. Chwilę temu. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1c3502ee53

Dziennikarze na celowniku

We Włoszech nasiliły się ataki na wolność prasy

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu



Zamach na Sigfrida Ranucciego, włoskiego dziennikarza śledczego i redaktora naczelnego programu „Report", wstrząsnął nie tylko Włochami. Poruszył również tych, którzy jeszcze wierzą, że Europa jest bezpiecznym kontynentem dla wolnego słowa. To uderzenie w fundament demokratycznego porządku, czyli w prawo obywateli do informacji. A zarazem najpoważniejszy incydent w serii ataków na wolność prasy we Włoszech. Te zaś w ostatnich latach wyraźnie się nasiliły.

•

16 października br. przed domem Ranucciego w Pomezii eksplodowała bomba domowej roboty. Potężny ładunek zniszczył samochód dziennikarza i uszkodził auto jego córki. Zaledwie kilka minut wcześniej Ranucci wrócił do domu po dłuższej nieobecności. Zdjęcia spalonego wraku oraz uszkodzonej bramy szybko obiegły media społecznościowe i trafiły na pierwsze strony gazet. „To już nie była tylko groźba – to był sygnał, że ktoś chce mnie uciszyć", powiedział Ranucci, komentując zamach.

„Report" nie ma sobie równych. Z jednej strony, to najbardziej ekonomiczna produkcja we włoskiej telewizji publicznej RAI, z drugiej – program najbardziej opiniotwórczy, dociekliwy, bezkompromisowy i znienawidzony przez polityków. Przy produkcji pracuje łącznie 10 osób, a śledztwa dziennikarskie prowadzą samodzielnie freelancerzy; niektóre trwają nawet trzy-cztery miesiące.

Sigfrido Ranucci dołączył do redakcji w 2006 r., a po 10 latach został prowadzącym program i redaktorem naczelnym. Pod jego kierownictwem „Report" skupił się na śledztwach dotyczących korupcji, finansów publicznych, przestępczości zorganizowanej, powiązań mafii z polityką i ekstremistami oraz ochrony środowiska. Ranucci otrzymał kilka prestiżowych nagród dziennikarskich, ale to w niego i w program wymierzane są najczęściej oskarżenia o zniesławienie – tzw. pozwy zastraszające. Z powodu gróźb otrzymywanych w związku z prowadzonymi śledztwami dziennikarz pozostaje pod ochroną policji od 2009 r. Jego praca od dawna jest dla wielu niewygodna, a ostatnio coraz bardziej niebezpieczna dla niego samego.

W sprawie zamachu na Ranucciego śledztwo prowadzi rzymska prokuratura antymafijna. Tropów jest wiele: od gróźb mejlowych i anonimowych listów po zastraszanie przez lokalne grupy przestępcze i środowiska skrajnej prawicy. W tle pojawia się również wątek albańskiej mafii narkotykowej, o której „Report" realizował serię reportaży. To właśnie w rejonie Torvaianiki, niedaleko domu Ranucciego, działają klany odpowiedzialne za handel narkotykami i przemoc, o czym program RAI mówił od lat.

Sam dziennikarz ujawnił, że w ostatnich latach był wielokrotnie zastraszany: „Niedawno włamano się do mojego drugiego domu w prowincji Latina. Nie mówiłem o tym nikomu poza policją". Rok wcześniej jego ochrona znalazła dwa naboje kalibru 38 na trawniku przed posesją. „Nie zostawiono ich dla mnie. Wypadły po prostu komuś, kto czaił się z bronią za ogrodzeniem. Wiedział, że wracam po kilku dniach nieobecności", wyznał po zamachu.

Ranucci ujawnił również, że w 2010 r. jeden z członków klanu Santapaola chciał go zabić, ale został powstrzymany przez ojca chrzestnego cosa nostry Mattea Messinę Denara. Poziom zagrożenia wzrósł w 2021 r., a dziennikarzowi przyznano całodobową ochronę. „Narkotykowy boss powiązany z 'ndranghetą i kartelem Pabla Escobara zlecił dwóm albańskim płatnym zabójcom, by do mnie strzelili – mówił Ranucci.

eprasa.pl 1c3502ee53



Bomba domowej roboty eksplodowała przed domem dziennikarza 16 października br.

Sigfrido Ranucci (w środku) w ostatnich latach wielokrotnie był zastraszany.

– Nie spodobał mu się mój reportaż o powiązaniach między światem polityki a przestępczością".

W listopadzie 2024 r. na Ranucciego posypały się groźby po emisji materiału o konflikcie izraelsko-palestyńskim. Ale to nie koniec – dziennikarz był także śledzony przez osoby później zidentyfikowane przez jego ochronę.

Obecnie śledczy próbują odtworzyć godziny przed eksplozją, analizując dziesiątki nagrań z kamer monitoringu. Kluczowy trop to zamaskowany mężczyzna, którego świadkowie widzieli na miejscu zdarzenia tuż przed wybuchem.

Ruch Pięciu Gwiazd zorganizował wiec solidarności z Ranuccim, na którym pojawili się dziennikarze i wielu polityków, w tym przedstawiciele partii Bracia Włosi, która od dawna walczy z naczelnym „Reportu" za pomocą pozwów zastraszających. Premier Giorgia Meloni zadzwoniła osobiście do dziennikarza, ale nie udało im się porozmawiać, gdyż Ranucci był właśnie w prokuraturze. Francesco Storace – dziennikarz i prawicowy polityk, były prezydent regionu Lacjum i były wiceprzewodniczący komisji nadzoru RAI – zaproponował, aby w ramach prawdziwej solidarności wszyscy politycy wycofali oskarżenia o zniesławienie wniesione przeciwko Ranucciemu i programowi „Report". Solidarność jednak skończyła się na udziale w wiecu. Pozwów nie wycofano i zaraz pojawiły się nowe.

Prezydent Włoch Sergio Mattarella nazwał ten zamach „alarmującym atakiem na wolność słowa" i dodał: „Dziennikarstwo śledcze jest niezastąpionym filarem demokracji. Każdy atak na dziennikarza to atak na społeczeństwo".

Ranucci nie dał się zastraszyć. 26 października ruszył jednak nowy sezon „Reportu", w którym dziennikarz zapowiedział: „Porozmawiamy o tym, co się kryje za zniszczeniem Gazy, i o zamachach mafijnych we Włoszech. Nie zamilkniemy".

Roberto Saviano – życie pod ochroną

„Zamach na Sigfrida Ranucciego nie wziął się znikąd: jest owocem lat kampanii medialnych tworzonych po to, by izolować, oczerniać i cywilnie zniszczyć tych, którzy ośmielają się krytykować władzę – napisał w poście na Instagramie Roberto Saviano. – Kiedy nie rozmawia się już o ideach, lecz atakowana jest osoba, gdy debata publiczna zamienia się w nieustający lincz w mediach społecznościowych, kiedy polityka – czyli władza – czuje się uprawniona do uderzania w dziennikarzy, demokracja nie jest już zagrożona: została już pogwałcona – kontynuował Saviano. – Ta bomba nie jest tylko aktem zastraszenia: to wiadomość skierowana do wszystkich, którzy wciąż wierzą, że śledztwo, analiza i krytyka są przestrzenią wolności".

Zamach na Ranucciego to nie tylko osobisty dramat, lecz także sygnał, że w Europie dziennikarze znów stają się celem.

Saviano już od niemal 20 lat żyje pod ochroną. Jego historia to symbol ceny, jaką dziennikarze i pisarze płacą za ujawnianie prawdy o mafii i władzy. Po publikacji „Gomorry" w 2006 r. – książki demaskującej mechanizmy neapolitańskiej camorry – natychmiast stał się obiektem nienawiści i celem gróźb. Otrzymywał listy z pogróżkami i głuche telefony. Podczas publicznego wystąpienia w Casal di Principe – sercu terytorium klanu Casalesi – otwarcie wezwał bossów do opuszczenia „tej

FOT. AFP/EAST NEWS, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 1c3502ee53

ziemi", a mieszkańców do buntu. Kilka dni po tej przemowie przyznano mu ochronę policyjną. Od tamtej pory pisarz pozostaje w ukryciu, pod strażą, ciągle musi zmieniać miejsce pobytu i nie może prowadzić normalnego życia.

Groźby nie ustały. W 2008 r., w trakcie procesu mafijnego Spartacus, adwokaci bossów Francesca Bidognettiego i Antonia Iovinego odczytali przed sądem list, w którym oskarżali Roberta Saviana, dziennikarkę Rosarię Capacchione oraz dwóch prokuratorów o wpływanie na wymiar sprawiedliwości. List ten, napisany z więzienia i odczytany na sali sądowej, miał być ostrzeżeniem i kolejną próbą zastraszenia, pokazującą, że mafia nie boi się nikogo i niczego. Od tego zdarzenia pisarzowi towarzyszy wzmocniona pięcioosobowa eskorta.

Kilka miesięcy później włoska Policja Antymafijna DIA ujawniła informacje o planowanym zamachu na Saviana – miałoby do niego dojść na autostradzie Rzym-Neapol. Choć informacja okazała się fałszywa, potwierdzono, że klan Casalesi faktycznie „skazał Saviana na śmierć".

Życie pisarza stało się pasmem ograniczeń: nie ma stałego domu, nie może chodzić po ulicach, iść do kina czy restauracji, spotykać się z matką bez lęku. „Pieprzyć sukces. Chcę życia – domu, miłości, spaceru w słońcu", wyznał w jednym z poruszających listów.

W ostatnich latach Saviano stał się także ulubionym celem prawicy, gdyż wielokrotnie krytykował Giorgię Meloni i Mattea Salviniego oraz ich partie. Na koncie Braci Włochów na platformie X opublikowano serię obelg pod adresem pisarza. Ataki pojawiły się, kiedy autor „Gomorry" skomentował trzy zabójstwa młodych chłopaków w Neapolu, oceniając negatywnie rządowy dekret przeciwko przestępczości wśród młodzieży, tzw. dekret Caivano, który m.in. wprowadza obowiązek nadzoru rodziców nad obowiązkiem szkolnym dzieci i zaostrza kary dla nieletnich przestępców. Saviano argumentował, że karanie nie rozwiązuje problemów społecznych ani nie odwodzi młodych od przestępczości. W odpowiedzi Bracia Włosi nazwali go „sępem", „człowiekiem bez godności" i „jednym z najgorszych pisarzy Włoch", sugerując nawet, że to jego książki przyczyniają się do wzrostu przemocy.

Konflikt między Savianem a obozem władzy trwa od 2020 r., gdy pisarz nazwał Meloni i Salviniego „bękartami", krytykując ich politykę migracyjną. Został za to później skazany na grzywnę z powodu zniesławienia. Matteo Salvini wielokrotnie postulował, aby dziennikarzowi odebrano ochronę, bo już zbyt długo żyje na koszt podatników.

Rzetelne dziennikarstwo zawsze przeszkadza

„Nadszedł czas, by dziennikarze podnieśli głowę i wrócili do wykonywania swojego zawodu z powagą i profesjonalizmem", stwierdziła Rosaria Capacchione, kolejna doświadczona i odważna reporterka objęta ochroną – od 2008 r., tak jak Roberto Saviano z powodu gróźb klanu Casalesi, za artykuły dla neapolitańskiego dziennika „Il Mattino".

Capacchione jako jedna z pierwszych pisała o ogromnej potędze ekonomicznej i wpływach przywódców klanu Casalesi, takich jak Francesco „Sandokan" Schiavone czy Francesco Bidognetti. Ujawniała mechanizmy przestępcze i przyczyniała się do wszczęcia licznych postępowań sądowych. Mafia nie ograniczyła się do pogróżek od Bidognettiego i jego adwokata na sali sądowej podczas procesu apelacyjnego Spartacus. Rosaria Capacchione padła też ofiarą włamania, z jej domu skradziono nagrodę przyznaną za dziennikarską odwagę.

Komentując zamach na Sigfrida Ranucciego, dziennikarka powiedziała: „Pokazuje on, że pewne czasy i metody wcale się nie skończyły. To sygnał ostrzegawczy dla tych, którzy sądzili, że takie rzeczy już się nie zdarzają. Dziennikarstwo, jeśli jest uprawiane z powagą, uczciwością intelektualną i profesjonalizmem, zawsze będzie komuś przeszkadzać. Na wzór Ranucciego dziennikarze powinni znów pracować rzetelnie, weryfikować fakty i je pogłębiać. Bo tego zawodu nie można sprowadzać do przeklejania komunikatów prasowych instytucji publicznych ani do korzystania wyłącznie z mediów społecznościowych jako źródeł informacji. Trzeba też powiedzieć jasno: w redakcjach zatrudnia się coraz mniej osób, a wynagrodzenia są niskie. Ci, którzy pracują bez etatu,

MEDIA W ZAGROŻENIU

W ciągu ostatnich trzech lat zginęły dziesiątki reporterów, fotografów i korespondentów. Nie wszyscy padli ofiarą kul w przypadkowym ostrzale. Wielu poniosło śmierć właśnie dlatego, że byli dziennikarzami – świadkami, którzy dokumentowali zbrodnie i cierpienie cywilów. Według organizacji Reporterzy bez Granic w ciągu ostatnich dwóch dekad zabito niemal 1,7 tys. dziennikarzy, podczas gdy w czasie II wojny światowej życie straciło 69 dziennikarzy, a w trakcie wojny w Wietnamie, która trwała 20 lat – 63.

Od 2022 r. ponad 100 dziennikarzy padło ofiarą bezpośredniej przemocy w Ukrainie: co najmniej 14 reporterów zginęło, 35 zostało rannych, a 12 aresztowano. W Strefie Gazy według ONZ od początku wojny, czyli od 7 października 2023 r., zginęło co najmniej 247 palestyńskich dziennikarzy.

Przykłady z Malty, Włoch, Ukrainy czy Gazy układają się w ponury obraz: wolność słowa eroduje nie tylko tam, gdzie toczy się wojna lub rządzą dyktatorzy, ale też w krajach, które same siebie nazywają demokratycznymi. Dziennikarze stali się celem – nie dlatego, że kłamią, ale dlatego, że zadają pytania. A pytanie władzy: „dlaczego?" jest dziś aktem odwagi.

„Dziennikarze są oczami i uszami całego świata i muszą być chronieni. Rodzi to wiele pytań dotyczących ataków na reporterów, a wszystkie te incydenty muszą zostać dokładnie zbadane", powiedział rzecznik Biura Praw Człowieka ONZ (OHCHR), Thameen al-Kheetan.

eprasa.pl 1c3502ee53

dostają skandalicznie niskie wynagrodzenie. Taki stan rzeczy również osłabia wolność i niezależność dziennikarstwa. A jednak wierzę, że dziennikarze muszą na nowo nauczyć się dobrze wykonywać swój zawód".

Głos, który nie chciał milczeć

Jeszcze nie wiadomo, kto stoi za zamachem na Ranucciego, ale może to nie przypadek, że atak miał miejsce 16 października. Tego samego dnia w 2017 r. w maltańskiej wsi Bidnija też wybuchł samochód. W środku siedziała Daphne Caruana Galizia, dziennikarka i blogerka, która przez lata samotnie demaskowała korupcję i powiązania władzy z przestępczością. Zginęła natychmiast. Jej ostatnie słowa na blogu, opublikowane pół godziny przed śmiercią, brzmiały: „Wszędzie jest korupcja. Sytuacja jest rozpaczliwa".

Galizia prowadziła blog Running Commentary, czytany codziennie przez tysiące Maltańczyków. Pisała o rajach podatkowych, praniu brudnych pieniędzy, a także o kulisach afery Panama Papers, w którą zamieszani byli wysocy urzędnicy maltańskiego rządu, w tym współpracownicy ówczesnego premiera Josepha Muscata.

Zanim zginęła, wielokrotnie otrzymywała pogróżki. Zabijano jej psy, blokowano konto bankowe, przeszukiwano dom. Mimo to nie zaprzestała pracy. „Nie jestem częścią żadnej partii. Jestem częścią społeczeństwa obywatelskiego", pisała w jednym z ostatnich tekstów.

Zamach wstrząsnął Europą. Malta – dotąd postrzegana jako spokojne, turystyczne państwo – ujawniła ciemne oblicze. Śledztwo w sprawie morderstwa obnażyło sieć powiązań między światem polityki, biznesu i przestępczości. Proces trwał latami, dopiero w 2021 r. zapadły pierwsze wyroki wobec wykonawców zamachu.

Dziś nazwisko maltańskiej dziennikarki stało się symbolem odwagi i walki o prawdę, a fundacja jej imienia wspiera dziennikarzy śledczych na całym świecie. Na Malcie w każdą rocznicę jej śmierci, przy bramie miejskiej w Valletcie, pod pomnikiem upamiętniającym oblężenie Malty, ludzie zapalają świece i zostawiają kartki z jednym słowem: „justice" – sprawiedliwość.

Według organizacji Reporterzy bez Granic w ostatnich dwóch dekadach zabito niemal 1,7 tys. dziennikarzy.

Ta śmierć wciąż przypomina, że wolność słowa w Europie nie jest dana raz na zawsze. Każdy głos uciszony bombą czy pogróżką to rana zadana demokracji. Natomiast zamach na Ranucciego to nie tylko osobisty dramat, lecz także sygnał, że w Europie dziennikarze znów stają się celem, tak jak reporterzy zabici w Ukrainie i Gazie.

Agnieszka Zakrzewicz



eprasa.pl 1c3502ee53

Chruszczow w paszczy lwa

Od „tajnego referatu" do autonomii – zmiana zależności Polski od ZSRR w 1956 r.

Andrzej Skrzypek

Rok 1956 w stosunkach polsko-radzieckich uchodzi za szczególny. Porozumienie mocarstw z 1945 r., zwane porządkiem jałtańskim, pozbawiało Polskę suwerenności i skazywało na podrzędną rolę w sowieckim imperium. Moskwa najpierw traktowała ją jako państwo buforowe, a następnie wasalne. Pamiętny rok 1956 przyniósł zmianę. (…)

Z rehabilitacją Gomułki wiązało się odrodzenie koncepcji „polskiej drogi do socjalizmu". Wyobrażano ją sobie jako odmienną radzieckiej, czyli autonomiczną. Pozostawał problem politycznego zaplecza Gomułki – kto z Biura Politycznego, względnie też która z rywalizujących frakcji miała go wspierać. Można było się spodziewać, że będą nią natolińczycy, ale puławianie wykazali się pragmatyzmem, deklarując puszczenie w niepamięć dawnych zarzutów.

Zadania pojednania ich z Gomułką podjął się Cyrankiewicz. Wykorzystał absencję Ochaba, który udał się w daleką podróż do Chin. Zatrzymał się w Moskwie, aby porozmawiać z Chruszczowem. Zabiegał o pożyczkę zbożową, ale gdy Chruszczow, w typowy dla siebie sposób, zirytował go, hardo oświadczył, że kupi brakujące Polsce zboże w Ameryce. Nikita Siergiejewicz przełknął tę krnąbrność, ale wstrzymał rozmowy nad obiecaną pomocą dla Polski.

Zawiązywała się nowa koalicja władzy. Gomułka jako warunek postawił, że jeżeli ma przewodzić partii, wyciągnąć ją oraz kraj z kłopotów, to chce sformować ścisłą ekipę wedle własnych zamysłów. Gdy Ochab wreszcie wrócił z Chin, 8 października zwołał Biuro Polityczne. Dano mu odczuć, że nie panuje nad sytuacją. 12 października zaproponowano Gomułce udział w dyskusji nad przyszłością. Od tego zaproszenia jego rychła nominacja jako męża opatrznościowego na szefa partii była przesądzona.

W łonie Biura powołano czteroosobową komisję, która miała zaproponować jego nowy skład. Stało się jasne, że w nowym Biurze znajdzie się czwórka „komisarzy" i pięć wskazanych przez nich osób. Pałacowy przewrót się rozpoczął. Natolińczycy ze zdumieniem skonstatowali, że ich ograno. Zaalarmowali Moskwę o tym, że kilku członków Biura Politycznego postanowiło obsadzić stanowisko szefa partii, ignorując prerogatywy Kremla, który, jak pokazała nominacja Ochaba pół roku wcześniej, w myśl pragmatyki partyjnej miał w takich kwestiach ostateczny i decydujący głos.

Nieoczekiwana wizyta

Larum dotarło do uszu Nikity Siergiejewicza, który poczuł się zdezorientowany. Uznał, że sytuacja w Polsce wymyka się spod kontroli. Miał go irytować brak zapytania Polaków o jego zdanie w kwestii partyjnego przywództwa i podejrzliwość, czy nie planują jakiejś dywersji, która mogłaby przeciąć szlaki komunikacyjne łączące półmilionową armię stacjonującą w NRD z zapleczem.

Postanowił wybrać się do Warszawy. Do złożenia nieoczekiwanej wizyty skłonił go zamiar Gomułki sprawowania władzy w oparciu o frakcję puławską i wzięcie jej bez tradycyjnego kremlowskiego błogosławieństwa. Chciał więc wiedzieć, czego może po Gomułce się spodziewać.

Wyjechał pośpiesznie, po drodze zatrzymując się w Brześciu. Tu prawdopodobnie po naradzie, z Żukowem, nakazał oddziałom radzieckim stacjonującym w Polsce przygotować się do interwencji.

Pomysł ten nie był przemyślany. Chruszczow wezwał też oficera, któremu najbardziej ufał, czyli marszałka Iwana Koniewa, dowódcę wojsk Układu Warszawskiego, aby natychmiast zjawił się w Warszawie.

Nikita Siergiejewicz urządził na lotnisku show w swoim stylu. Wskazując palcem na Gomułkę, arogancko zapytał: „A to kto?".

Następnego dnia, 19 października, na który to zaplanowano posiedzenie VIII Plenum KC, jeszcze przed jego otwarciem Chruszczow i inni członkowie Prezydium KPZR – Anastas Mikojan, Łazar Kaganowicz i Wiaczesław Mołotow wylądowali na Okęciu.

Tu na przybyszy oczekiwali członkowie istniejącego Biura Politycznego PZPR i generalicja radziecka. Do niej najpierw skierował swoje kroki Chruszczow, demonstrując, kto tu jest najważniejszy. W ogóle Nikita Siergiejewicz urządził na lotnisku pokazowy show w swoim stylu. Najpierw splantował Ochaba pogróżką pod jego adresem, później, wskazując palcem na Gomułkę, arogancko zapytał: „A to kto?".

Po tym niezbyt kurtuazyjnym powitaniu gości odwieziono do ambasady, a gospodarze zebrali się na krótką naradę. Najpierw otworzyli obrady plenum, by stworzyć fakt dokonany, klinczujący radzieckie zamiary, po czym natychmiast zarządzili przerwę. Gomułka był przygnębiony. Inni mieli

eprasa.pl 1c3502ee53



Zgoda Chruszczowa (z prawej) na wywalczone przez Gomułkę postulaty była wstępem do uzyskania przez Polskę autonomii w ramach imperium.

rozmaite pomysły, od walki po kapitulację. Trzeźwość zachował tylko jeden z członków Politbiura – Rokossowski, mówiąc, by na spektakl na Okęciu machnąć ręką i zasiąść do rokowań.

Rada okazała się zbawienna. Referentem strony radzieckiej był Anastas Mikojan, Ormianin, w najwyższych gremiach partyjnych od 1923 r. Polityk, o którego klasie świadczy to, że cieszył się względami trzech kolejnych sekretarzy generalnych. Dysponował starannym dossier sprawy. „Powiedzcie, o co wam chodzi, czego chcecie?", zapytał Polaków na wstępie. Potem przeszedł do analizy sytuacji i personaliów. Mikojan wiele słów poświęcił krytyce tonu polskich gazet. Jednak w sumie jego wypowiedź była zachętą do postawienia przez Gomułkę warunków, na jakich zgodzi się pokierować PZPR. Natomiast krytyczne uwagi Mołotowa dały Gomułce sposobność odcięcia się od stalinowskiego sposobu rozumowania i zaprezentowania się jako zwolennik XX Zjazdu i Chruszczowa.

Przełom w rozmowach nastąpił w momencie, kiedy Cyrankiewicz śmiało zapytał Chruszczowa, dlaczego radzieckie oddziały maszerują na Warszawę. Ani Mikojan, ani Kaganowicz, ani Mołotow nie rozumieli tej decyzji. Skonfundowany Chruszczow obiecał wstrzymanie ruchu wojsk. Później tłumaczył, że jakoby znalazł się w paszczy lwa, bo co prawda radzieckie dywizje otaczały Warszawę z daleka, ale jego misję otaczały z bliska oddziały polskie, co do zachowania których nie miał pewności. Uzyskał też istotną dla siebie w tym momencie informację, że natolińczycy nie panują nad nastrojami warszawiaków. Poszedł więc na układy. On i jego towarzysze włożyli dużo wysiłku w wyjaśnienie aktualnych założeń swojej polityki zagranicznej i w zapewnienie o przewartościowaniu relacji z krajami socjalistycznymi, prosząc o przeniesienie dyskusji w sprawach gospodarczych na później.

W cztery oczy

Układy Polaków z Rosjanami zwieńczyła rozmowa w cztery oczy Chruszczowa z Gomułką. Pretendent do stanowiska I sekretarza PZPR zapewnił, że utrzyma relacje pomiędzy Polską a ZSRR w pożądanym stanie, przekona społeczeństwo do przychylnego nastawienia do ZSRR, ale do tego potrzebuje przyznania autonomii decyzyjnej własnej partii w polityce wewnętrznej – zarówno w wymiarze partyjnym, jak i państwowym. Szczególnie ważny był kompromis w sprawie Rokossowskiego. Jeżeli Gomułka nie widział marszałka w nowym Biurze Politycznym, to nie znaczy, aby tym samym żądał jego dymisji ze stanowiska ministra.

Zgoda Chruszczowa na postulaty wywalczone przez Gomułkę była wstępem do uzyskania przez Polskę autonomii w ramach imperium. Nikita Siergiejewicz zaaprobował ją, godząc się, aby Gomułka stanął na czele PZPR, choć nie wyrzekł się początkowo myśli o interwencji. Chruszczow odleciał do Moskwy, nie zwlekając i biorąc na siebie zobowiązanie przekonania członków Prezydium KC KPZR o dobrych intencjach ekipy Gomułki, co z uwagi na konserwatyzm części z nich było zamierzeniem ryzykownym.

Społeczeństwo Warszawy w imieniu narodu zaakceptowało nowego przywódcę na pamiętnym wiecu przed Pałacem Kultury i Nauki. Atmosfera narodowego sukcesu kształtowała sytuację w kraju. Uważano pochopnie, że nominacja Gomułki dokonała się wbrew intencjom Rosjan. Reformatorskich koncepcji Chruszczowa jako nowej osnowy relacji radziecko-polskich nikt nie miał na względzie.

Chruszczow wymógł na rządach Czechosłowacji i NRD udzielenie Polsce pożyczek.

Tymczasem śladem Polaków zamierzały pójść Węgry. Chcąc opanować dezintegracyjne tendencje, Kreml ogłosił 30 października 1956 r. deklarację o podstawach rozwoju i dalszego umacniania przyjaźni między Związkiem Radzieckim a innymi państwami socjalistycznymi. Zapewniał, że „gotów jest rozpatrzyć wspólnie z rządami innych państw socjalistycznych sposoby zapewniające dalszy rozwój i umocnienie stosunków gospodarczych między krajami socjalistycznymi, aby usunąć wszelkie możliwości naruszania zasady suwerenności narodowej, wzajemnych korzyści

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 1c3502ee53

i równouprawnienia w stosunkach gospodarczych". Była to publiczna akceptacja uzgodnionych w Warszawie warunków, akceptacja wszakże wstępna, gdyż konkrety miały być dopiero negocjowane.

Deklaracja była potwierdzeniem koncesji obiecanej PZPR, z której mogły skorzystać i inne satelickie partie, określającej ramy autonomii. Udzielając lokalnym partiom, w tym PZPR, mandatu do sprawowania władzy i wyrzekając się kominformowskich metod, Kreml zapowiadał wycofanie doradców radzieckich bezpośrednio ingerujących w politykę i gospodarkę satelitów. Nową infrastrukturę współpracy czy też podległości Moskwa budowała od jakiegoś czasu. Tworzyły ją Układ Warszawski i odrodzona RWPG. Mając te układy na uwadze, Moskwa zadeklarowała swoją gotowość rozpatrzenia sprawy stacjonowania wojsk radzieckich na terytoriach innych państw oraz odwołania doradców wojskowych.

Deklaracja z 30 października dawała ekipie Gomułki szansę pogodzenia oczekiwań opinii publicznej z dalekosiężnymi planami Chruszczowa, szansę na realizację specyficznej „polskiej drogi do socjalizmu", na której prowadzona będzie autonomiczna polityka wobec kultury, młodzieży i Kościoła katolickiego, a zaniechana kolektywizacja rolnictwa.

Listopadowy epilog

Wydarzeniem, które wówczas przyćmiło inne, stało się powstanie na Węgrzech, stłumione przez wojska radzieckie. O ile społeczeństwo polskie sympatyzowało z Węgrami, o tyle Gomułka, spotykając się konfidencjonalnie z Chruszczowem, faktycznie go wspierał. Zapewne bał się stracić to, co wcześniej osiągnął. Dyskontowaniem sukcesu osiągniętego 20 października była podróż Gomułki do Moskwy w celu wyjaśnienia pretensji gospodarczych i zarysowania perspektyw współpracy. Polska wprowadziła do porządku rozmów sprawy budzące jej zastrzeżenia jako nierównoprawne, jak: rozrachunek za usługi, przeliczenie wartości złotówki do rubla, kwestię ustalania cen, kwestię pomocy prawnej, repatriację.

Po drobiazgowych negocjacjach 18 listopada podpisano umowę gospodarczą, która w dużym stopniu powielała tekst wypracowany jeszcze we wrześniu. Pod naciskiem Chruszczowa rząd rosyjski anulował Polsce ciążące na niej długi w zamian za zrzeczenie się przez nią pretensji z tytułu dostaw węgla po specjalnej cenie sprzed 1954 r. oraz pretensji z tytułu należnych jej reparacji wojennych. Zapowiedziano rokowania dotyczące rozliczeń z tytułu tranzytu przez Polskę towarów do NRD, wykorzystywania przez Armię Radziecką łączy telefonicznych oraz, co najważniejsze, podjęcie rozmów w sprawie stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce, szczególnie w aspekcie kosztów.

Powracającego z Moskwy Gomułkę witały wiwatujące tłumy. Okrzyknięto go wielkim przywódcą, który chce i umie realizować interes narodowy, negocjując z Moskwą na zasadach równości, i potrafi ustalić, że handel będzie oparty na zasadzie wzajemnej korzyści.

Z historycznego dystansu wypada ocenić to skromniej: niewątpliwie wzajemne relacje charakteryzowało nowe status quo, ale model tych relacji ukształtuje się dopiero w ciągu nadchodzącego roku. Ostatnim akordem 1956 r. było zawarcie umowy dotyczącej statusu wojsk radzieckich „tymczasowo" stacjonujących w Polsce.

•

Pora na próbę podsumowania, co rok 1956 zmienił w modelu uzależnienia Polski od ZSRR. Najważniejszą była zmiana zależności PZPR od KPZR. Polska partia otrzymała znaczną autonomię w kierowaniu polityką wewnętrzną państwa. Tak jak poprzednio miała ona realizować nadrzędny cel: budowę socjalizmu, ale stosowane metody niekoniecznie musiały powielać rozwiązania przyjęte w ZSRR. Ekipa Gomułki zdyskontowała je w kilku sferach nadbudowy: ogólnej polityki kulturalnej kontynuującej zasady „odwilży" przez tolerowanie odmiennych od socrealizmu kierunków w sztuce, w liberalnej polityce wychowawczej w odniesieniu do młodego pokolenia, w powściągliwym stosunku do Kościoła oraz zarzucając postulat kolektywizacji na wsi.

Duże zmiany dotyczyły zależności wojskowej. Polskę opuścił marszałek Rokossowski i grupa 30 wyższych rangą oficerów, co świadczyło o polonizacji Wojska Polskiego. Za swoje wojska w Polsce Armia Radziecka miała płacić. Chruszczow wymógł ponadto na rządach Czechosłowacji i NRD udzielenie Polsce pożyczek. W ich ramach pojawiły się w sprzedaży motocykle Jawa.

Na wymiar podporządkowania polskiej polityki zagranicznej wpłynęła przede wszystkim doktryna „pokojowej koegzystencji", którą nasza dyplomacja zdyskontuje w postaci „planu Rapackiego", planu, który nie będzie naruszał jałtańsko-poczdamskiego status quo, ciągle istotnego dla Warszawy z powodu sprawy granicy na Odrze i Nysie. Ponadto odblokowane zostały kontakty z państwami zachodnimi, w pierwszej kolejności handlowe, które korzystnie odbiją się na naszych możliwościach gospodarczych.

Artykuł jest fragmentem obszernego tekstu prof. Andrzeja Skrzypka, zamieszczonego w wydanej przez „Przegląd" książce „Przełom Października '56".

HISTORIA bez IPN
Październik '56
PRZEŁOM PAŹDZIERNIKA '56
Książka 17 zł
E-book 15 zł
Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

eprasa.pl 1c3502ee53



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Zrobiło się gorączkowo na naszym podwóreczku politycznym, zupełnie jakby wybory nie miały być dopiero za dwa lata. W trybie show odbyły się tzw. konwencje dwóch największych partii trzymających władzę w Polsce od dekad: PiS i PO. Nic z nich nie wynika poza tym, że do listy wrogów Polski Jarosław Kaczyński dopisał jeszcze, obok odwiecznych Niemiec, Francję. Nie wchodził w szczegóły.

Donald Tusk brunatnieje na potęgę, usiłując zatrzymać pochód do władzy Konfederacji: po zawieszeniu prawa do azylu, po usilnych zabiegach o wyłączenie Polski z europejskiego Paktu o migracji i azylu zapowiedział, że Polska (jego, Tuskowa) skłania się do wypowiedzenia Europejskiej konwencji praw człowieka. Liberalnemu premierowi może się wydawać, że jeśli przejmie poglądy, postulaty i mokre sny faszystów z Konfederacji, uda mu się przejąć młode pokolenie zafascynowane Mentzenem, Bosakiem itd. Nie uda się. Udaje się za to wpędzać Polskę w brunatniejący paradygmat polityczny. Zwieńczeniem takiej polityki będzie Polska Rzeczpospolita Faszystowska. Krótkoterminowe kalkulacyjki partyjnych, warcabowych rozgrywek politycznych zmieniają ideowo konstytucyjny pejzaż Polski. Rozwiązania praktyczne wprowadzą już PiS z Konfą.

Zarazem rozpoczyna się ewidentne przyśpieszenie rozliczeń rządów PiS, pardon, pardon, „Zjednoczonej Prawicy”, za konkretne, liczone w setkach milionów złotych afery o charakterze korupcji, kradzieży, zawłaszczenia, nielegalnego przejęcia środków takich instytucji jak Fundusz Sprawiedliwości przy Ministerstwie Sprawiedliwości czy RARS, za zakup i używanie inwigilacyjnego oprogramowania Pegasus, za sprzedaż działki pod CPK.

Najbardziej spektakularne jest niewątpliwie wystąpienie prokuratury o zdjęcie immunitetu poselskiego Zbigniewowi Ziobrze, oskarżanemu o kierowanie „zorganizowaną grupą przestępczą”, w skład której mieli wchodzić wiceministrowie Woś i Romanowski (uciekł na Węgry, gdzie od rządu Orbána otrzymał azyl polityczny i udaje posła polskiego Sejmu) oraz poseł Matecki. Ziobrze prokuratura chce postawić zarzuty w 26 sprawach. Prokuratorzy wnioskują także o zgodę na jego tymczasowe aresztowanie.

Chyba dwa lata temu na sali sejmowej, reagując na okrzyki: „Będziesz siedział!”, odkrzyknął z pogardą: „Liczę na was! Mam nadzieję, że nie okażecie się takimi fujarami jak za czasów Trybunału Stanu”. Nie liczył, że słowo może stać się celą. Determinacja ministra Żurka sprawia, że uśmiech Ziobry, pełen pogardy dla przeciwników politycznych, może zamrzeć na jego twarzy…

A dalszy scenariusz? Może nawet jak u Hitchcocka – zaczyna się od trzęsienia ziemi, a potem napięcie tylko rośnie. Nie da się ukryć, że Zbigniew Ziobro miał nad sobą premierów i samego prezesa. A w aresztach ludzie potrafią przejść przemianę i pójść na współpracę. Niezłomność w gębie może się okazać dość łamliwa w zderzeniu z codziennością aresztu. Nietykalność staje się wspomnieniem, a realność wymierzonej kary – czymś bardzo prawdopodobnym. Jak to mówiła ludowa mądrość o rządach PiS? „Może i kradną, ale się dzielą”.

Czy w świetle tych wszystkich zawirowań i szarpaniny możemy sobie wyobrazić Polskę z prawem do azylu i z Europejską konwencją praw człowieka, taką Polskę, gdzie nie kradną, a się dzielą? Parafrazując słynny aforyzm lorda Actona o deprawacji władzą, można by powiedzieć, że każda władza kradnie, a władza absolutna kradnie absolutnie. I wszystko to podlane sosem opowieści o wolności, nowoczesności i zwycięstwie demokracji.

Napięcie będzie rosło

Opowieść o demokracji jest w Polsce po tych 36 latach, po 1989 r., do napisania całkiem od nowa. Jest chichotem historii, że idea „solidarności” ostała się jako solidarność grupy przestępczej w obliczu aresztu czy wyroków.

I żeby zakończyć górnolotnie, cofnę się o jakieś 2,5 tys. lat i przywołam słynny fragment mowy Peryklesa: „Nasz ustrój polityczny nie jest naśladownictwem obcych praw, a my sami raczej jesteśmy wzorem dla innych niż inni dla nas. Nazywa się ten ustrój demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości. W sporach prywatnych każdy obywatel jest równy w obliczu prawa; jeśli zaś chodzi o znaczenie, to jednostkę ceni się nie ze względu na jej przynależność do pewnej grupy, lecz ze względu na talent osobisty, jakim się wyróżnia; nikomu też, kto jest zdolny służyć ojczyźnie, ubóstwo albo nieznane pochodzenie nie przeszkadza w osiągnięciu zaszczytów. W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności. W życiu prywatnym nie wglądamy z podejrzliwą ciekawością w zachowanie się naszych współobywateli, nie odnosimy się z niechęcią do sąsiada, jeśli się zajmuje tym, co mu sprawia przyjemność, i nie rzucamy w jego stronę owych pogardliwych spojrzeń, które wprawdzie nie wyrządzają szkody, ale ranią. Kierując się wyrozumiałością w życiu prywatnym, szanujemy prawa w życiu publicznym; jesteśmy posłuszni każdoczesnej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisanym, które bronią pokrzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę”. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1c3502ee53



ZDANIE MUSI MIEĆ MELODIĘ

O KSIĄŻKACH, MUZYCE I WARSZAWIE

Rozmawia Rafał Pikuła

Nie lubisz udzielać wywiadów?

– Lubię, ale… bywa różnie. Czasem mam kłopot z tym, że przy kolejnej książce czy płycie zestaw pytań się powtarza i nie bardzo wiadomo, co odpowiadać. Człowiek nie chce mówić w kółko tego samego. A nie jestem Himilsbachem, żeby tak ładnie wszystko zmyślać na poczekaniu, więc bywa to trochę denerwujące. Ale to nie jest wina dziennikarzy, że się powtarzają – mam wśród nich przyjaciół, więc wiem, jak to działa. Po prostu pewne pytania nasuwają się same. Generalnie nie mam nic przeciwko wywiadom.

Ale promować się już nie lubisz?

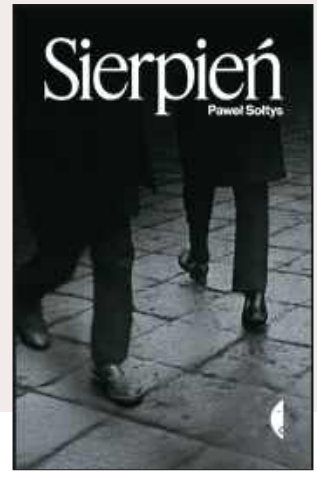
– Tego rzeczywiście nie lubię. Zwłaszcza tego, co dzisiaj jest wymagane – żeby wrzucać coś na Facebooka, nagrywać rolki, zachęcać do głosowania na siebie czy na swoje książki. Wydaje mi się to trochę nie po dżentelmeńsku. Jak ktoś mnie pochwali – świetnie. Ale żeby samemu tak się wystawiać, to mnie irytuje. Oczywiście mam media społecznościowe i coś tam wrzucam, bo inaczej się nie da, ale staram się, żeby to było inteligentne i nienarcystyczne.

Duże wyzwanie. Tylko w Polsce rocznie wychodzi 20 tys. tytułów. Każdy próbuje się przebić. Kilka lat temu była głośna dyskusja o autorce, która promowała książkę zdjęciami w bieliźnie. Jedni mówili, że to skandal, drudzy, że każdy chwyta się tego, co ma.

– Nie będę tego oceniać. Jestem w trochę innym miejscu – także dzięki mojej muzycznej przygodzie – więc nie chciałbym recenzować młodszych koleżanek i kolegów. Ale wszystko już było. W latach 90. pewna poetka potrafiła czytać wiersze i w trakcie recytacji się rozbierać. Dziś jest nobliwą autorką nagradzaną w konkursach. Wiem jednak, że tamto działanie było mniej merkantylne, nie zawsze chodziło o pieniądze. A jeśli chodzi o sam rynek, rzeczywiście jest nadpodaż książek, ale przede wszystkim dlatego, że Polacy mało czytają. Czechy w podobnej

PAWEŁ SOŁTYS

– ps. Pablopavo, wokalista, muzyk, autor tekstów piosenek i opowiadań. Laureat Paszportu „Polityki" 2014 w kategorii muzyka popularna, w 2017 r. nominowany w kategorii literatura za zbiór opowiadań „Mikrotyki". Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Nike, laureat Nagrody Literackiej Gdynia.



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1c3502ee53

sytuacji ekonomicznej mają dużo wyższy poziom czytelnictwa. U nas rynek się kurczy i każdy próbuje jakoś się przebić. Ja na szczęście nie muszę wszystkiego robić.

Masz już swoją markę. Kiedyś czytanie było przepustką do klasy inteligenckiej. A teraz? Mam wrażenie, że to już nie jest warunek, żeby być inteligentem.

– To kwestia wczesnej edukacji, często domowej. Za późnej PRL wszyscy czytali, bo też było mniej rozrywek, dziś masz tego nadmiar: filmy, gry, seriale. Oczywiście można przejść przez życie bez książek, jednak nawet ci biznesowi kołczowie czytają, może poradniki, ale zawsze. A ja, trochę anachronicznie, wciąż uważam literaturę piękną za jedno z największych osiągnięć ludzkości. Tylko że to jest jak sport: jeśli przegapisz kilka etapów treningu, nie wystartujesz na igrzyskach. Dlatego trzeba dbać o czytelnictwo od najmłodszych lat. Staram się moją 11-letnią córkę zainteresować książkami. W tym wieku byłem maniakalnym czytelnikiem – jak nie grałem w piłkę, to czytałem. Dzisiaj dzieci mają setki innych, szybszych i bardziej dopaminowych atrakcji.

Młodzi czytają, ale głównie tzw. literaturę Young Adult. Tyle że to produkty książkopodobne.

– Parę razy w księgarni zajrzałem do takich książek i rzeczywiście językowo bywa fatalnie, brak korekty, powtórzenia, brak sensu i logiki. Ale pamiętam dyskusję o harlequinach w latach 90. Wtedy, jako 17-latek, byłem radykałem, twierdziłem, że to ogłupia. A mój ojciec, związany z książkami, mówił: te kobiety czytające harlequiny w pociągu nie sięgną po „Ulissesa". Ale może jedna na 100 tys. sięgnie po coś więcej. I to już coś. Bo najważniejsze jest wejście w sam rytm czytania – a nie ciągłego scrollowania telefonu. Jakość literatury gatunkowej bywa straszna, ale nie ma co się obrażać na rzeczywistość. Ludzie wolą telenowelę niż Tarkowskiego – i jedno, i drugie ma prawo istnieć.

Kropka. Porozmawiajmy o twojej podwójnej tożsamości artystycznej. Pamiętam cię najpierw jako muzyka. Potem przeczytałem debiutanckie „Mikrotyki". Mam wrażenie, że jako pisarz osiągnąłeś więcej: finały Nike, Nagroda Literacka Gdynia. Jak sam siebie postrzegasz – jesteś bardziej muzykiem czy pisarzem?

– Długo uważałem się przede wszystkim za muzyka, to mój zawód, z którego się utrzymuję. Gram koncerty – w życiu zagrałem ich pewnie ze 2 tys., od Stanów po Etiopię – nagrywam płyty, mam wierną grupę słuchaczy. Trudno byłoby udawać, że nie jestem muzykiem. Natomiast trudniej było mi się przyznać, że jestem pisarzem. Dla mnie pisarze to od dzieciństwa byli „najlepsi z ludzi" – mądrzy, wyjątkowi. Jak miałem siebie postawić obok Stasiuka? Ojciec powiedział mi po mojej drugiej książce: „Teraz jesteś pisarzem. Jedną może napisać każdy, kto umie składać zdania, ale dwie – to znaczy, że masz coś do powiedzenia". I to mnie przekonało. Drukuje mnie „Twórczość", inne periodyki, piszę naprawdę dużo.

W twoich tekstach znajduję rytm; gdy się czyta, czuje się melodię. Chyba to, że jesteś muzykiem, pomaga ci ładnie pisać.

– Na pewno nie przeszkadza. Już od pierwszych literackich zachwytów – gdy miałem 15-16 lat i czytałem Babla, Zamiatina, Schulza, Stryjkowskiego – zrozumiałem, że najpiękniejsze w literaturze jest coś, co trudno nazwać: melodia, rytm, fraza. Dla mnie literatura piękna powinna być przede wszystkim piękna. Nie lubię książek pisanych przezroczystym językiem, zdaniami, które ze sobą się nie łączą. Melodia jest dla mnie ważniejsza niż to, co w książce jest – nie w tym sensie, że piszę bzdury, byle miały ładny rytm, tylko że to musi się klinować, współgrać. Jeśli nie ma melodii, wyrzucam. Dużo wyrzucam. Nawet na etapie redakcji, kiedy pracuję z moją redaktorką Magdą Budzińską, często dochodzimy do wniosku, że akapit jest ciekawy, ale nie ma szwungu. Wtedy albo go cyzeluję, albo usuwam. Może dlatego moje książki są cienkie.

Stasiuk powiedział, że w pisaniu najważniejsze jest skreślanie. Ty wspomniałeś o Bablu, który mówił: „Stylem zdobywa się świat". W „Sierpniu" widać trochę Bieńczyka, trochę Schulza. Kto jeszcze jest dla ciebie literackim autorytetem? Łapiesz się czasem na tym, że piszesz cudzymi słowami?

– Jest na to metoda: nim usiądę do pisania, robię sobie przerwę czytelniczą. Detoks. Bo są pisarze i pisarki z tak mocną frazą, że zapładniają cię stylistycznie, nawet nie czujesz, a zaczynasz pisać ich językiem. Staram się tego unikać, szukać swojego głosu. Co nie znaczy, że innych głosów w moim pisaniu nie ma – bo są, to naturalne. Jesteśmy tym, co przeczytaliśmy.

Trochę anachronicznie wciąż uważam literaturę piękną za jedno z największych osiągnięć ludzkości.

Tych nazwisk jest dużo. Studiowałem filologię rosyjską, więc z jednej strony jest cała szkoła rosyjska, ale raczej nie Dostojewski. Bardziej Babel, Zamiatin, Borys Pilniak, czyli proza ornamentacyjna lat 20. i 30. Podobała mi się ich metoda skazu – gawędy. Właściwie „Mikrotyki" i „Nieradość" są napisane skazem, językiem, którym mówi narrator. On niekoniecznie jest wysoki, literacki. U nas to mniej widać niż w rosyjskim, ale narratorzy w „Mikrotykach" to często chłopaki z osiedla, zwykła pani, w „Nieradości" staruszka albo chłopak z małego miasteczka. Trzeba im wymyślić język i to mnie fascynuje. Siadam do pisania, najpierw wymyślam narratora i jego język, dopiero potem zaczyna się robota. To wpływ literatury rosyjskiej.

Ja w tych książkach czuję czeską nutę.

– Oczywiście Czesi też mieli na mnie ogromny wpływ. Hrabal pokazał, że można zrobić surrealizm z realizmu, wydobyć z codzienności rzeczy absolutnie niezwykłe, bez baśni. Ta jego ciepła, „miłosna"

eprasa.pl 1c3502ee53

ironia jest wspaniała. Ota Pavel też to umiał. Škvorecký – mniej mój, ale też ważny.

Z polskich pisarzy: Stanisław Czachorowski czy Zygmunt Haupt, Julian Stryjkowski – moim zdaniem trzech najwybitniejszych prozaików XX w., choć trochę zapomnianych. Andrzej Stasiuk też miał na mnie wpływ, choć trochę głupio mi o tym mówić, bo to mąż mojej wydawczyni. Ale jak miałem 15-16 lat, przeczytałem Stasiukowe „Mury Hebronu" – takie mięsiste, męskie, bitnikowskie. A potem „Duklę" i odkryłem, że można napisać 10 akapitów o tym, jak pada światło na rzeźbę. To był inny świat. Jest też Krzysiek Varga i wielu innych. I poezja. Jestem chyba jedynym człowiekiem w Polsce, który czyta współczesną poezję, a nie pisze wierszy.

To faktycznie rzadkość.

– Poezja ma na mnie ogromny wpływ, a jest „bezpieczniejsza". Nawet jeśli coś z niej przenika, to forma jest tak inna, że nie grozi przejęciem stylu. Kiedy mam już pomysł i język, lubię zrobić sobie dwa dni czytania poezji.

Taka rozgrzewka literacka. Kogo ze współczesnych polskich poetów czytasz?

– Marcina Sendeckiego, Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego, czasem Marcina Świetlickiego. Może Jerzego Jarniewicza, Joasię Mueller. W poezji jesteśmy naprawdę mocni. Mój ukochany w ostatnich latach to Konrad Góra – absolutnie punkowy poeta. Jeśli chcesz znaleźć mocniejszą frazę, zobaczyć tę całą złość w języku, Konrad ci to da. Czytasz dwa wiersze i już masz inną energię.

Przy „Sierpniu" narrator był zupełnie inny niż w „Nieradości" czy „Mikrotykach" – inteligent, ale z blokowisk.

– Tak, tak. Ale wiesz, 70% naszych inteligentów jest z blokowisk. Bardzo mało mamy „starych" inteligentów. To jest awans.

Czy twoja najgłośniejsza piosenka, „Ostatni dzień sierpnia", to intro do książki?

– Nie, chyba nie. To przypadek. Oczywiście sierpień jest wdzięcznym tematem: schyłek lata, jeszcze ciepło, ale już melancholia. W książce mamy włóczęgę bohatera, człowieka dojrzałego. W piosence to historia 15-, 16-latka, nieszczęśliwa miłość. Historia z „Sierpniem" była prozaiczna. Rozwiązałem umowę na książkę, którą pisałem pięć lat. Byłem trochę smutny i rozczarowany. Usiadłem tu, gdzie siedzimy (w warszawskiej kawiarni na Francuskiej – przyp. red.), 1 sierpnia i zacząłem pisać coś, co miało być opowiadaniem. W ogóle nie planowałem, że to będzie większa rzecz. Pisałem kilka dni z rzędu i doszedłem do wniosku, że to musi być sierpniowe, upalne. Stąd wziął się tytuł.

Rzeczywiście jest nadpodaż książek, ale przede wszystkim dlatego, że Polacy mało czytają.

Czyli nie było to nawiązanie ani do piosenki, ani do Schluza, który napisał opowiadanie pod tym samym tytułem?

– Zapomniałem, że jest takie opowiadanie Schulza. Kiedy książka wyszła, pierwsze recenzje mówiły: „Bez wątpienia to nawiązanie do Brunona Schulza". A ja naprawdę zapomniałem. Teraz już wiem. Jednak nie starałem się odwołać ani do Schulza, ani do powstania warszawskiego. To po prostu sierpień warszawski.

W wielu wywiadach pytają cię, czy narrator „Sierpnia" to ty. Nie da się nie widzieć tych powiązań. Ty i narrator włóczycie się, opowiadacie melancholijnie...

– To jestem ja potencjalny. Napisano już milion tomów krytycznoliterackich o tym, czym się różni narrator od autora. Mogę powiedzieć krótko: wyposażyłem bohatera w swoje dzieciństwo, wspomnienia, w zegarek, w dziadków i babcię – bo łatwiej było mi sięgać po szczegół, a ja żyję ze szczegółu. A te szczegóły znam najlepiej. To jedna rzecz. Z drugiej strony narrator jest na totalnym życiowym zakręcie. Miał dziewczynę, miał dziecko – już ich nie ma. Jest nieszczęśliwy. To zupełnie nie moja sytuacja. Jestem szczęśliwym mężem i ojcem. Więc to taki „potencjalny ja".

Nie wyobrażam sobie, żeby Paweł Sołtys stworzył szczęśliwego narratora, który nie jest cały utkany z melancholii.

– To przy najnowszej książce się zdziwisz (śmiech). Nie ubiegając faktów, przy okazji „Sierpnia" wyobraziłem sobie coś na kształt Borgesowskiego rozwidlenia dróg. W którymś momencie skręcasz w inną uliczkę i życie biegnie inaczej. Narrator skręcił siedem lat wcześniej w inną uliczkę niż ja i znalazł się w innym punkcie. W wielu sprawach jest podobny do mnie, ale też mądrzejszy, bardziej oczytany. Ja wiele rzeczy musiałem sprawdzać, on miał je od ręki. Chciałem, by to nie był taki everyman z moich wcześniejszych opowiadań – zwykły chłopak z osiedla – tylko ktoś z wyraźnym zacięciem intelektualnym. Trochę pasjonat, trochę wariat. Jego lektury są dziwne, nietypowe. To oczywiście podobne do mnie – ja też lubię kupić książkę o kompletnie zapomnianej siostrze z XVI w. Ktoś mi zarzucił w recenzji, że znów piszę o jakiejś XVII-wiecznej pieśni, „która nikogo nie obchodzi". A ja sobie myślę: okej, może nikogo nie obchodzi, ale parę tysięcy egzemplarzy tej książki się sprzedało, więc jednak kogoś obchodzi.

Widziałem notkę na Lubimyczytać: „Przecież ta książka jest o niczym, chodzi i gada".

– To się powtarza. Ale to kwestia wrażliwości. Nie denerwuję się tym. To po prostu bariera – książka nie jest dla kogoś i tyle. Bardziej się bałem czegoś odwrotnego – że to będzie książka „o wszystkim". Że wrzucam tam swoje doświadczenia, refleksje narratora, opowieść o Warszawie. Że będzie przeładowana. Ale są tacy, do których to trafi, i tacy, którzy tego nie kupią. Zresztą poczytaj recenzje „Sklepów cynamonowych" na Lubimyczytać. Ludzie piszą: „Niezrozumiałe fizdrygałki, jeden na dziesięć". No i co? No nic. Świat się nie zawali, jeśli komuś nie podoba się Schulz.

eprasa.pl 1c3502ee53

„Książka o niczym” – to samo zdanie widziałem przy twoim „Sierpniu” i przy „Czarodziejskiej górze” Manna.

– Może to kwestia nawet nie wprawy czytelniczej, tylko konstrukcji psychologicznej. Mózgi działają różnie – jedni mają skłonności matematyczne, drudzy filologiczne. Jedni lubią Sołtysa i Manna, drudzy Agathę Christie. I wszystko jest okej.

Wciąż lepiej czytać książki Agathy Christie, niż oglądać TikToka.

– Bardzo lubię Agathę Christie. Ale rzeczywiście, miałem przez moment TikToka, bo znajomi mnie namówili, żebym sprawdził BookToka. No i co? Ludzie w minutę streścili „Czarodziejską górę”: „To książka o typie, który leży w sanatorium i nic się nie dzieje”. Polecam, świetny absurd. Ale aplikację skasowałem. Myślałem, że będę używał jej do promocji muzyki, jednak przerosło mnie to. Czułem, że gorzej myślę, głupieję. I postanowiłem, że nie – to psuje mi postrzeganie świata. Staram się też pilnować, żeby moja córka przynajmniej na razie tego nie oglądała.

Miałem wrażenie, że „Sierpień”, poza osobistym wymiarem, to także list miłosny do Warszawy. Ale twoja Warszawa jest wybrana: to Saska Kępa, Grochów, Stegny, Praga. Są przestrzenie, które nie istnieją w twojej literaturze.

– Przy „Sierpniu” zorientowałem się, że postrzegają mnie jako twórcę warszawskiego. Dostałem nawet nagrodę Warszawskiego Twórcy. A ja w gruncie rzeczy znałem dobrze tylko Mokotów, Śródmieście, Saską Kępę i Grochów – miejsca, gdzie mieszkałem.

W zasięgu spaceru.

– Zacząłem jednak łazić dalej. Córka się śmiała, że chcę przejść wszystkie ulice Warszawy. No nie, ale zacząłem chodzić po Bemowie, Żoliborzu, mniej znanych rejonach. „Sierpień” powstawał podczas tych spacerów. Moja Warszawa jest śmieszna, bo składa się z wielu Warszaw, także tych, które już nie istnieją. Warszawa lat 90., którą pamiętam. Warszawa lat 60., którą znam z literatury, filmów i wspomnień. Ma wiele warstw. Zaczynasz grzebać – wyciągasz lata 90., potem 60., potem 30., przedwojenną, aż do potopu szwedzkiego i pierwszych Żydów warszawskich w XIV w. Ale to nie jest przewodnik. Celowo omijam Warszawę z seriali – penthouse’y, porsche, apartamenty. To ułamek miasta, a w popkulturze robi się z tego całość.

Często wizerunek Warszawy spłaszcza się do Miasteczka Wilanów.

– A dla mnie to zabawne. Bo pamiętam Wilanów jako wieś. Za Smródką były pola, krowy, kury. Dopiero potem pałac i dalej Powsin. Po latach weszła deweloperka. Mam znajomych, którzy tam mieszkają, normalnych ludzi, kupili mieszkanie na kredyt. Nie lubię stereotypów, że na Pradze bandyci, na Kępie bogacze, na Grochowie złodzieje. To się miesza. Nawet tu, na Kępie, obok willi są bloki, ludzie z bardzo różnych środowisk.

Mój główny żal wobec władz Warszawy? Nie kochają tego miasta.

To się zmienia. Saska Kępa jest specyficzna – trochę jak kurort. Przyjeżdża się na spacer, na kawkę. Na zakup mieszkania tutaj mogą sobie pozwolić nieliczni.

– Faktycznie, Kępa robi się kurortowa, ale to naturalne – wszystkie stolice mają swoje Notting Hill. A Kępa jest piękna: modernistyczne wille, małe uliczki. Ludzie chodzą tylko Francuską, a warto skręcić w Katowicką czy Łotewską – zobaczyć perełki. Lubię Kępę z wielu powodów. Mieszkam tu w zwykłym mieszkaniu w kamienicy. Mam 800 m do dzikiego brzegu Wisły, obok park Skaryszewski, a do centrum tramwajem 10 minut. To wygodne miejsce do życia. Zresztą łatwo przywiązuję się do miejsc – tak samo było z Grochowem. Moi dziadkowie tam mieszkali, więc znałem go od dziecka i szybko polubiłem.

A urodziłeś się na Stegnach. To świetnie zaplanowane osiedle, do życia. Dziś już tak się nie buduje.

– Kiedyś byli urbaniści, dziś rządzi Excel. Kiedy jadę na próby z zespołem na Służew, widzę, jak ludziom pod blokami z lat 70. stawia się nowe budynki w odległości takiej, jak my teraz siedzimy od siebie. Dawniej to było nie do pomyślenia. Stegny to osiedle, które ma coś, co dzisiaj wydaje się nierealne: tzw. alejki. Śmialiśmy się, że to asfaltowe alejki z rachitycznymi drzewkami. Ale ktoś naprawdę pomyślał: „Pośrodku osiedla zróbmy park, górki do zjeżdżania na sankach, boisko ligowe, zakątki do siedzenia”. I to było wspaniałe. Oczywiście, żeby nie było zbyt słodko, były też minusy. Komunikacyjnie kulało, dziś brakuje miejsc do parkowania. Ale dla dzieciaków, spacerowiczów zaplanowano to osiedle świetnie. Trzeba pamiętać, że w poprzednim ustroju z różnych powodów (nie zawsze dobrych) dbano, by w jednym miejscu mieszkali ludzie bardzo różnego stanu. I to miało ogromny wpływ.

Obecnie rozłożenie mieszkańców z różnych światów, jak to widzieliśmy chociażby w serialu „Alternatywy 4”, jest rzadkością.

– Tak, dokładnie. To bardzo wpłynęło na całe pokolenie. Dziś ludzie się separują – klasa średnia z klasą średnią, bogaci z bogatymi. Wtedy bogaczy było mało, wszyscy żyli razem. Nade mną mieszkali pani śpiewająca w operetce i jej mąż dyrygent. Pode mną pan, który codziennie o szóstej rano jechał do Huty Warszawa. Obok pani operatorka dźwigu. A jeszcze dalej Jan Zbigniew Słojewski, czyli Hamilton, jeden z najsłynniejszych felietonistów lat 70. i 80. Ta mieszanka świetnie na mnie wpłynęła. Nie pamiętam tego, co dziś bywa plagą, czyli zazdrości o pieniądze. W moim środowisku to było źle widziane. Wiedzieliśmy, że jeden kolega ma więcej, bo ojciec jeździł do „Rajchu” na budowy, drugi miał mniej, ale nie robiło to różnicy. Graliśmy razem w piłkę, podrywaliśmy dziewczyny, uczyliśmy się grać na gitarach. Ten egalitaryzm

eprasa.pl 1c3502ee53

wpoiło mi samo miejsce, w którym dorastałem.

Dzisiejsza Warszawa wygląda zupełnie inaczej, została oddana deweloperom i cwaniakom. Nawet napisałeś piosenkę o Jolancie Brzeskiej. Da się jeszcze odzyskać miasto dla mieszkańców?

– To trudne. Deweloperzy są powiązani z polityką. I dopóki w Warszawie będzie duopol polityczny, nic się nie zmieni. Ludzie i tak będą głosować „przeciw PiS", a nie „za Warszawą". Układ bandycko-deweloperskо-polityczny jest szerszy niż jedna partia. O tym pisano już wiele, choć nie zawsze przebija się to do głównych mediów, bo one same są powiązane z polityką i biznesem.

Mój główny żal wobec władz Warszawy? Nie kochają tego miasta. Nie kochała Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz, nie kocha jej Rafał Trzaskowski, nie kochał Paweł Piskorski. I można by tak się cofać… Pewnie do Sokrata Starynkiewicza, który Warszawę naprawdę kochał, choć był Rosjaninem. Na jego pogrzeb przyszła jedna siódma mieszkańców miasta. Wyobrażasz to sobie dziś? W Warszawie 2 mln ludzi, czyli na pogrzeb musiałoby przyjść 400 tys.

Nie chciałbym kończyć rozmowy tak smutną refleksją. Wspominałeś o nowych planach literackich.

Egalitaryzm wpoiło mi samo miejsce, w którym dorastałem.

Powiedz coś o „Monoloku" i o tym szczęśliwym narratorze.

– Moja nowa książka ma się ukazać w styczniu. Wymyśliłem sobie narratora, fryzjera z Grochowa. To będzie rodzaj gawędy. Fryzjer, wiadomo, słucha opowieści klientów, ale i sam ma swoją historię. Spotyka kogoś w knajpie, dosiada się i zaczyna opowiadać o sobie, o innych, o świecie. Tym razem jednak nie jest to bohater przegrany. Miał w życiu trudności, ale ostatecznie to człowiek spełniony. W książce jest sporo humoru, dużo zabawnych momentów, ale i trochę mroku i nostalgii, jak to w życiu. Są wątki o przestępcach, zabójstwach i seksie. W porównaniu z „Sierpniem" to książka o wiele bardziej dynamiczna, lżejsza, momentami przewrotna.

Czyli bardziej pozytywna opowieść?

– Tak. Oczywiście czytelnicy od razu rozpoznają mój styl, ale nie lubię pisać dwa razy tego samego. „Monolok" to coś nowego. Próbowaliśmy nawet ustalić, jak to nazwać: powieść, opowiadania, esej? Najlepsze określenie to po prostu gawęda.

Brzmi jak Hrabal.

– Nie chciałbym kopiować Hrabala, ale jasne, czeska literatura – Hrabal czy Ota Pavel – to byli mistrzowie takich smutno-wesołych opowieści. Też na mnie wpłynęli. „Monolok" na pewno nie będzie tak mroczny ani tak nostalgiczny jak „Sierpień". Ale trochę cienia zawsze się wkradnie.

Rafał Pikuła

KSIĄŻKI

OPOWIEŚCI DZIADKA

Rafał Skąpski nie ustaje w dokumentowaniu rodzinnej sagi. Tym razem w formie opowieści dla wnuczek. Opowieści dziadka – a i babci – to niemal 200-letnie dzieje ich rodzin splecione z historią Polski. To sztafeta pokoleń walczących o wolną Ojczyznę (od Wiosny Ludów aż po II wojnę światową), ale także pracujących dla niej. Na co dzień.

Napisana w formie rozmowy dziadków z wnuczętami książka została okraszona licznymi fotografiami przodków i ludzi z nimi powiązanych. Ot, choćby takich jak Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Bruno Schulz, Wincenty Witos, Janusz Korczak, Józef Piłsudski czy Władysław Raczkiewicz. Sposób, w jaki zaprezentowano i ubarwiono zdjęcia, jeszcze bardziej zachęca do czytania.

Można zadać pytanie: a kogo poza rodziną Rafała Skąpskiego interesują jego opowieści o rodzicach, dziadkach, pradziadkach, wujkach i ciociach? Odpowiem: wielu. Bo książka ta jest znakomitym przykładem, jak można i trzeba rozmawiać z wnukami. Jest też swoistym apelem oraz zachętą do rozmowy o rodzinnej przeszłości i losach przodków, w każdej przecież rodzinie są takie momenty czy wydarzenia, które zaciekawią latorośle. I zachęcą do poznawania historii, a także jej polubienia.

A po lekturze „Opowieści z zielonego albumu" będziemy czekać na wspomnienia „dziadka" Rafała o nim samym, czasach i ludziach nam i jemu współczesnych, latach, o których mówimy już w czasie przeszłym. Zaręczam, że będą nie mniej interesujące niż te o jego przodkach i postaciach z ówczesnych pierwszych stron gazet.

Paweł Dybicz



Rafał Skąpski,
***Opowieści z zielonego albumu*,**
Wydawnictwo Literatura,
Łódź 2025

eprasa.pl 1c3502ee53



Oko w oko Tomasz Jastrun

Jarosław Polskę zbaw

Nasza miła sąsiadka, od roku niestety bez męża, którego tak lubiliśmy, odszedł w nicość, zorganizowała u siebie w domu spotkanie dla kilku sąsiadów, znaliśmy ich tylko z widzenia. Mieliśmy do niektórych żale, małe, duże, tak jest z sąsiadami. Spotkanie było serdeczne, zabawne. Okazało się nawet, że mamy takie same poglądy polityczne, podobne emocje i lęki. Nawet ci sąsiedzi z zachodu, którzy zdawali się nam mało rozumni, okazali się bardzo rozumni. Wszystkie pretensje sąsiedzkie znikły. Nawet mnie już nie boli, że najbliżsi, ci z domku na północy, podwyższają się o jedno piętro, co zabierze mi widok na drzewa; teraz ich dom wygląda jak po uderzeniu rosyjskiej rakiety i nawet im wybaczam, że ścięli piękny, stary świerk, który wypełniał okno mojej pracowni. Poznanie ludzi w warunkach wspólnej biesiady niweluje pretensje i żale.

Jednym z tematów były dziki. Rozmnożyły nam się w Międzylesiu i Aninie, wszędzie ciągną się ich watahy, na przedzie kroczy odyniec, za nim małe, a na końcu lochy. Mnie to wzrusza, ale wielu znajomych się boi. Też moja żona, chociaż o wiele bardziej boi się myszy niż odyńca. Kilka dni temu o świcie dziki dostały się do naszego ogrodu i go zdemolowały. Nie można teraz wystawiać śmieci na noc przed dom, bo tylko na to czekają. Podobno jest zgoda na odstrzał 120 sztuk, a potem w Warszawie ma polec 300. Okropne. Jakby nie można było ich wywieźć do prawdziwego lasu.

A po sąsiedzkim spotkaniu od razu cieplej się zrobiło w naszej okolicy, mimo że jesień już się ponurzy, sypie żółtymi liśćmi i tnie deszczem.

•

Co tydzień jestem w restauracjokawiarni wydawnictwa Czytelnik. Tam Krysia Kofta ma stolik. Krysia ma szeroki gest, więc stolik rośnie i rośnie i trzeba już zestawiać kilka stolików, a i tak wszyscy, którzy przybywają, nie mieszczą się. Można powiedzieć, że to stolik egalitarny, nie elitarny, a przecież istotą „stolików" w kawiarniach była elitarność.

Drzwi wejściowe do restauracji są osmolone, rzucono tam koktajl Mołotowa, który na szczęście nie wybuchł. Sprawca zrobił głupstwo, cisnął butelkę nie w te drzwi, co trzeba – drzwi siedziby PO są tuż obok. Butelka się nie zapaliła, więc sprawa jest zupełnie głupia. Policja szybko złapała durnia. Teraz wielkie gadanie, że był zamach na siedzibę PO. No, bez przesady, raczej zamaszek.

Jesteśmy więc przy stoliku, patrzę, że rysownik karykaturzysta Henryk Sawka nagle milknie, zachmurza się, jakby naszła go jakaś myśl, i pośpiesznie na byle jakim karteluszku kreśli kilkoma kreskami ladę, przy której składa się zamówienia, i menu: kotlet schabowy, barszcz ukraiński, koktajl Mołotowa. To dobre podsumowanie całej afery. Ale inna sprawa, że to szerzenie nienawiści, jakie urządza PiS, prędzej czy później doprowadzi do mordu. Na razie próbują mordować słowami.

•

W „Faktach po Faktach" rozmowa Piotra Kraśki z Leszkiem Millerem. Można go lubić lub nie, ale kiedyś był bystry. Teraz katastrofa, miałem wrażenie, że Kraśko znęca się nad bezbronnym i umysłowo ospałym. Miller oskarżał Ukrainę o różne grzechy, też o zamachy terrorystyczne w Polsce i o mordy w Donbasie. W rozmowie plątał się, motał, nic z dawnego błysku i ironii, więc bzdura. Ale przecież wskazał kiedyś kandydaturę Ogórek na prezydenta i chodził w biało-czerwonym krawacie Samoobrony. A może to początek miażdżycy byłego premiera, dlatego nie ma powodów do kpin.

To szerzenie nienawiści, jakie urządza PiS, prędzej czy później doprowadzi do mordu.

•

Ślub Alexandra, syna mojego przyjaciela Olka Gruszczyńskiego, ze Stellą, córką Melanie Griffith i Antonia Banderasa, wesele w Hiszpanii. Olek jest operatorem w Los Angeles. Będzie pod koniec tygodnia w Warszawie. Obiecał, że zda relację. Pamiętam, jak w 1968 r. żegnałem Olka na peronie Dworca Gdańskiego, gdy emigrował z Polski do Danii i był w rozpaczy. Ja też. Traktowaliśmy to jako nieszczęście, a w jego przypadku wyjazd okazał się błogosławieństwem. W życiu tak bywa z małymi wielkimi nieszczęściami, nieraz prowadzą do dobrego i odwrotnie: szczęście nieraz wiedzie do nieszczęścia.

•

Według Kaczyńskiego wszystko, co zaczęło się po II wojnie światowej, ma zostać sfinalizowane jako wielkie zwycięstwo Niemiec i powstanie czegoś w rodzaju nowego imperium. „Niemcy chcą nam zabrać państwo. Francuzi razem z nimi, nie wiem dlaczego, ale tak. Biurokracja europejska aż pali się do tego. Amerykanie nie", dodał Jarosław Polskę zbaw. Mamy do czynienia z groźnym wariatem obdarzonym przebiegłą podłością. A miliony durnych Polaków wierzą święcie w każde jego słowo. Jeszcze mu się ta Francja przyplątała do kolejnego rozbioru Polski, Francja, która jest w naszym hymnie, którą Polska tak zawsze kochała miłością bez wzajemności. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1c3502ee53

ZASŁUCHAJ SIĘ



Laufey
A Matter of Time
Vingolf Recordings/AWAL

Kiedy nie tak dawno szukałam jakichś informacji o Laufey, zaciekawiona nieodpartą melodyjnością płyt „Everything I Know About Love" i „Bewitched", nader zgrabnie łączących z popem jazz, muzykę klasyczną i sambę czy bossa novę, nieszczególnie zaspokoiłam ciekawość. Ale teraz, po ukazaniu się albumu „A Matter of Time", wystarczy wpisać w wyszukiwarkę słowa: Gleymdu mér aldrei... by dostać dogłębną analizę piosenki „Forget-Me-Not" o tęsknocie za Islandią. Laufey stamtąd właśnie pochodzi, ale jej matka jest Chinką, skrzypaczką. Również skrzypaczką, wspierającą siostrę nie tylko muzycznie podczas nagrań, ale i w rozwoju kariery, jest bliźniaczka Júnía. A karierę urodzonej w 1999 r. artystki, rozpoczętą uroczym singlem „Street by Street" z 2020 r. i epką „Typical of Me", już można nazwać owocną – w 2024 r. Grammy dla „Bewitched" jako najlepszego tradycyjnego popowego albumu wokalnego, o wyprzedających się migiem koncertach nie wspominając. Chwytliwe melodie mają niebanalne i nieraz bardzo osobiste teksty, w których odnajdują się młodzi odbiorcy, a równocześnie Laufey oswaja tę w dużej mierze tiktokową publiczność ze swoimi ulubionymi brzmieniami. *Aleksandra Pańko*

NA POWAŻNIE

Druga Ariadna



Po kilku latach od poprzedniej premiery krakowska opera zaprezentowała nową inscenizację „Ariadny na Naxos". Trudno napisać, że lepszą czy gorszą, ale na pewno bardziej nowoczesną w wymowie. Bardziej dynamiczną, z dużą ilością ruchu scenicznego, wyrazistym aktorstwem i różnorodnymi kostiumami.

Spektakl powstał w koprodukcji z Operą w Dortmundzie i Operą w Tel Awiwie-Jafie, dlatego przed premierą przed budynkiem protestowała grupa działaczy propalestyńskich. Wzbudziła zainteresowanie, ale nie zatrzymała widzów zmierzających do gmachu opery, dla których liczyło się przede wszystkim dzieło muzyczne. Niezwykłe, według zamysłu kompozytora Richarda Straussa i librecisty Hugona von Hofmannsthala, połączenie klasycznej opery z operą buffo jest trudnym zadaniem dla reżysera. Ido Ricklin świetnie jednak z niego się wywiązał, a sytuując scenicznego reżysera – w oryginale kompozytora (w tej roli znakomita Monika Korybalska) – na swoim cokole i wręczając kwiaty, chciał chyba pokazać, jak ważną postacią jest główny inscenizator.

Oczywiście niewiele by osiągnął, nie tylko w „Ariadnie", gdyby nie miał do dyspozycji dobrych śpiewaków. Natalia Rubiś jako Ariadna i Hila Fahima jako Zerbinetta przykuwały uwagę widzów nie tylko umiejętnościami wokalnymi, ale też grą aktorską. Z większych ról męskich wyróżniali się Szymon Komasa – Arlekin i Rafał Bartmiński jako Bachus. Słowem, niech nić Ariadny prowadzi ku Operze Krakowskiej. *Paweł Dybicz*

Richard Strauss, „Ariadna na Naxos", reżyseria Ido Ricklin, kierownictwo muzyczne José Maria Florêncio, Opera Krakowska, premiera 17 października 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI



Tim O'Brien
To, co nieśli
tłum. Tomasz S. Gałązka
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025

O koszmarze wojny w Wietnamie powiedziano już wiele. Opowiadania Tima O'Briena powinny być dla literatury tym, czym „Czas Apokalipsy" był dla kina. Autor w mistrzowski sposób łączy reportaż, esej i opowiadanie. Balansuje między poetyckim liryzmem a chłodnym realizmem, ukazując ciężar frontu i traumy żołnierzy. Bohaterowie niosą broń, marzenia, zdjęcia ukochanych, oczekiwania ojców, a przede wszystkim bagaż emocji. „Wojna jest piekłem, ale to nawet nie pół prawdy, bo wojna to także zagadka, groza, przygoda, odwaga, odkrycia, świętość, współczucie, rozpacz, tęsknota i miłość", pisze O'Brien i nie sposób mu nie wierzyć. *Rafał Pikuła*

NA EKRANACH



Ostatni wiking,
reż. Anders Thomas Jensen, prod. Dania, już w kinach

Reżyser kultowych „Jabłek Adama" powraca, zaprosiwszy swoich stałych aktorów, Nikolaja Lie Kaasa i Madsa Mikkelsena, aby wcielili się tym razem w braci Ankera i Manfreda. Kiedy Anker wychodzi na wolność po wielu, wielu latach, prosi Manfreda o pomoc w odnalezieniu zrabowanej niegdyś gotówki, za którą Manfred miał być odpowiedzialny. Anker nie wie jeszcze, że Manfreda już nie ma. To znaczy nie umarł, ale w wyniku zaszłości sprzed lat wytworzył zupełnie nową osobowość (mówi, że jest wcieleniem Johna Lennona). Przed braćmi długa droga, aby przywrócić Manfredowską osobowość. „Ostatni wiking", który miał premierę na międzynarodowym festiwalu w Wenecji, to bezpretensjonalna, a przy okazji w pełni angażująca rozrywka. Prezentuje humor wbrew współczesnym standardom, więc powinien zadowolić każdego, kto tęskni za modelem nieco „przesadzonych" komedii z dawnych lat.

Jan Tracz

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. YOSSI ZWECKER, BEST FILM, MATERIAŁY PROMOCYJNE (2)

eprasa.pl 1c3502ee53

Co nam daje nostalgia?

Tęsknimy do czasów, gdy wszystko było prostsze



DR JULIAN KUTYŁA
– socjolog, doktor nauk humanistycznych, specjalność filozofia; były redaktor naczelny kwartalnika „Krytyka Polityczna" i dyrektor Wydawnictwa KP, obecnie redaktor działu non-fiction w miesięczniku „Nowe Książki", śledzi psychoanalityczne wątki w kulturze współczesnej.

Rozmawia Dominika Tworek

Zdaje się, że nostalgia jest dziś jedną z najchętniej kapitalizowanych emocji. Dlaczego żerują na niej przemysł filmowy, muzyczny, rozrywkowy, design, a przede wszystkim marketing?

– Wszyscy kojarzymy piosenkę „Yesterday" Beatlesów. To też tytuł książki Tobiasa Beckera o nostalgii („Yesterday. A New History of Nostalgia", 2023). Autor zaczyna od przyjrzenia się tekstowi tego przeboju. Trudno sobie wyobrazić, że zrobiłby podobną karierę, gdyby nie śpiewane przez McCartneya nostalgiczne słowa o czasach, gdy kłopoty wydawały się tak odległe. Becker proponuje prosty eksperyment: podstawmy sobie w zamian pierwszą wersję, którą śpiewał „na rybkę": „Scrambled eggs / Oh my baby how I love your legs". Już nie chwyta tak bardzo za serce, prawda?

Faktycznie. A czy zassanie nostalgii przez rynek zmieniło w jakiś sposób jej istotę?

– Oczywiście można powiedzieć, że dziś nostalgia – podobnie jak w zasadzie wszystko – została wprzęgnięta w funkcjonowanie kapitalizmu. Akurat jednak w jej przypadku zastanowiłbym się, czy nie jest z nim jakoś związana od samego początku. Samo słowo nostalgia składa się z dwóch greckich słów: *nostos* (powrót do domu) i *algia* (tęsknota), ale nie pochodzi ze starożytnej Grecji. Pojawia się dopiero w 1688 r. Wymyślił je szwajcarski lekarz Johannes Hofer w tytule rozprawy „Dissertatio Medica De Nostalgia, Oder Heimwehe". To specyficzny moment w historii Europy, która po okresie wojen religijnych wchodzi w zupełnie nową epokę, czas wielkiego zamętu. Zmienia się wtedy percepcja świata i czasu, a przy okazji rodzi się przemysł i kapitalizm.

Nostalgię traktowano wtedy jako chorobę.

– Było to po prostu mające pozór uczoności określenie tęsknoty za domem. W czasach, gdy po całej Europie krążyły zaciężne armie, to był spory problem. Na tę przypadłość zalecano zresztą dość ciekawe lekarstwa, choćby wycieczkę w góry czy zażywanie opium. Czasem stosowano radykalniejsze metody leczenia. Szwajcarski filozof Jean Starobinski w studium pojęcia nostalgii przywołuje przypadek rosyjskich żołnierzy stacjonujących w Prusach, którzy zaczęli zdradzać jej symptomy. Dowódca dla przykładu rozstrzelał kilku chorych i reszta oddziału od razu ozdrowiała.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1c3502ee53

Obecnie postrzegamy nostalgię niekoniecznie jako tęsknotę za ojczyzną, raczej za minionymi czasami.

– To ciekawa sprawa, jak tęsknota za domem stała się dość szybko tęsknotą za wyimaginowaną bezpieczną przeszłością. Można powiedzieć, że łatwość, z jaką ta zmiana zaszła w XIX w., była pierwszym przeczuciem tego, co później wymyślił Albert Einstein – że czas i przestrzeń są w zasadzie tylko innymi wymiarami jednej czasoprzestrzeni.

Cały ruch MAGA opiera się na pytaniu: „Kto nam ukradł dawną Amerykę?".

Dlaczego tęsknimy za bezpieczną przeszłością?

– Połączenie nostalgii z poczuciem bezpieczeństwa umieszczonym gdzieś w przeszłości wiązałbym z czymś, co niemiecki badacz Reinhart Koselleck nazwał kiedyś upadkiem toposu „historia nauczycielką życia". W słynnym eseju na ten temat przywołuje on epizod z 1811 r. Prusy rozważały dodrukowanie dużych ilości pieniędzy, żeby spłacić długi. Doradca w tamtejszym ministerstwie finansów za wszelką cenę próbował odwieść ministerstwo od tego pomysłu. Wreszcie użył ostatecznej broni, czyli… argumentu ze starożytności, a konkretnie przykładu Tukidydesa, który rzekomo opowiadał o niedogodnościach, jakie pojawiły się w Grecji w związku z nadmiarem papierowego pieniądza. I dopiero to przekonało rozmówcę. Tymczasem Alexis de Tocqueville w „O demokracji w Ameryce" nie zauważa w historii niczego, co może dostarczyć jakichkolwiek wskazówek do działania dziś czy jutro.

Historia zaczyna tracić na znaczeniu?

– Można powiedzieć, że radykalne przyśpieszenie historii – przemysł, handel, kapitalizm – sprawiło, że przestajemy ją postrzegać jako skarbnicę mądrości, w tak szybkich czasach przestaje być przydatna. Przestaje być zasobem narzędzi do radzenia sobie ze współczesnością, a staje się miejscem ucieczki przed jej problemami. Do tego dochodzi cała przenikająca XIX w. ideologia postępu. Badaczka nostalgii, zwłaszcza w obszarze postsowieckim, Svetlana Boym, uważa wręcz, że nostalgia i postęp są jak dr Jekyll i pan Hyde – to dwie strony tej samej monety.

W nostalgię nieodzownie wpisane jest zakłamywanie rzeczywistości?

– To zasadniczo fantazja na temat przeszłości. Gdyby z punktu widzenia psychoanalizy zastanowić się nad taką fantazją, podstawowe pytanie brzmi: jakie pęknięcie w teraźniejszości ma ona zakryć? Kiedy postrzegamy świat wokół nas jako chaotyczny i niezrozumiały, szukamy bezpiecznej przystani. To poczucie, że przecież kiedyś świat był bardziej zrozumiały i czuliśmy się w nim bardziej bezpiecznie, jest oczywiście starsze niż pojęcie nostalgii. Jednak w XX w. staje się w zasadzie przezroczyste, jesteśmy odtąd jak Molierowski pan Jourdain, który ze zdumieniem dowiaduje się, że mówi prozą – my odruchowo reagujemy na niewygody współczesności, korzystając z nostalgii. To słowo już w zmienionym znaczeniu pojawia się w angielskich i francuskich słownikach, ale przede wszystkim zaczyna być ważnym elementem kultury.

W muzyce obserwujemy kolejne powroty. Stare patenty są odświeżane w nowej formule.

Jak ta „nowa nostalgia" objawia się w kulturze?

– Po I wojnie światowej mamy wzdychanie do czasów belle époque, a przede wszystkim faszyzm i nazizm, które bóle międzywojennych kryzysów leczą m.in. za pomocą opium fantazji o dawnej potędze. Po II wojnie, kiedy kończy się okres trente glorieuses, czyli 30 lat bezprecedensowej powojennej prosperity, na początku lat 70. XX w. Alvin Toffler wydaje książkę „Szok przyszłości", w której relacjonuje doświadczane wówczas przez społeczeństwa Zachodu radykalne przyśpieszenie. Co staje się wówczas w popkulturze remedium na większość problemów?

Niech zgadnę. Nostalgia!

– W 1972 r. na stadionie Wembley odbywa się wielki festiwal wyciągniętych z zakurzonej szafy dawnych gwiazd rock'n'rolla. Mamy „Grease" – musical, który pokazuje idylliczne lata 50., zanim dekadę później „wszystko zwariowało".

Nostalgia działa jako społeczne spoiwo czy przeciwnie – to mechanizm ucieczkowy, który ostatecznie zostawia nas samym sobie?

– Svetlana Boym wyróżniła dwa typy nostalgii. Pierwszy – nazwany przez nią nostalgią restauratywną – jest bardziej zbiorowy. To tęsknota do umieszczonej w przeszłości wspólnoty. Można więc pomyśleć, że ta nostalgia jest społecznym spoiwem. Warto jednak przypomnieć, że chodzi tu o tęsknotę do wspólnoty utraconej. A skoro została ona utracona, to pojawia się pytanie o przyczyny tej utraty. To z kolei może być pożywką dla rozmaitego myślenia spiskowego. Cały ruch MAGA opiera się przecież na pytaniu: „Kto nam ukradł dawną Amerykę?". Więc nawet jeżeli nostalgia restauratywna jest spoiwem, może też generować duży konflikt społeczny.

Natomiast drugi rodzaj wyróżniony przez Boym to nostalgia refleksyjna. I to już faktycznie strategia indywidualistyczna, związana raczej z samotną celebracją przemijania. Odnajdziemy ją chociażby u poety Fernanda Pessoi czy Marcela Prousta.

Czy ta specyficzna tęsknota jest nam w ogóle do życia potrzebna?

– To trochę jakby pytać, czy do życia jest nam potrzebne poczucie bezpieczeństwa, nawet złudnego. Jak najbardziej. Badania psychologiczne pokazują, że nostalgiczne wspomnienia w związkach są świetnym spoiwem, pomagającym przetrwać trudne momenty. Chodzi o to, żeby nostalgia nie stała się taką relacją z utraconym obiektem, którą Zygmunt Freud nazywa melancholią. W słynnym tekście o melancholii

eprasa.pl 1c3502ee53

i żałobie Freud pokazuje dwie strategie radzenia sobie ze stratą. Żałoba jest procesem, który ostatecznie się kończy, natomiast melancholia jest błędnym kołem, w którym ciągle krążymy wokół tego utraconego obiektu, zamykając się na rzeczywistość.

Nostalgia – pomimo zakorzenienia w przeszłości – siłą rzeczy organizuje życie w przyszłości. Nasze „małe tęsknoty" bywają odzwierciedleniem wielkich nadziei. Dziś budujemy naszą tożsamość na tych nostalgicznych kawałkach?

– Jeszcze jak! Mamy choćby cały wysyp fantazji na temat dawnej potęgi I Rzeczypospolitej i próby jej restytucji w lansowanej kiedyś przez PiS koncepcji Międzymorza. Fantazjujemy na temat przepięknej przedwojennej Warszawy – Paryża Północy. Oczywiście zawsze mamy też pod ręką winnego, który sprawił, że już tak pięknie nie jest. Nostalgia bywa również tęsknotą do czasów, gdy sprawy moralne były prostsze. Widać to choćby w subkulturze rekonstruktorów historycznych, którzy poza walką na miecze odtwarzają średniowieczne obyczaje i wzdychają do czasów, kiedy choćby podziały płciowe były prostsze – na miecze walczą mężczyźni, a kobiety w tym czasie zajmują się tkaniem. Na ile to wzdychanie odnosi się do ówczesnych historycznych realiów, to inna sprawa.

Jako narzędzie polityczne nostalgia jest wykorzystywana głównie przez konserwatywnych polityków?

– Nie do końca. Tobias Becker analizuje użytek polityczny robiony z tego pojęcia i okazuje się, że odkąd pojawia się ono na stałe w anglosaskim dyskursie politycznym (lata 50. XX w.), jest używane głównie jako obelga, ale przez obie strony barykady. Na początku pod adresem konserwatystów ze strony liberalnej czy lewicowej (celowali w tym także marksistowscy historycy, którzy widzieli w nostalgii wariację na temat „fałszywej świadomości"), ale już choćby w kampanii przed brexitem to właśnie brexitowcy oskarżali swoich przeciwników o nostalgię – za Unią Europejską, której już nie ma.

W Polsce często lewicę oskarżano o rodzaj nostalgii za PRL. Nie ulega wątpliwości, że nostalgia jest w polityce mocnym narzędziem perswazyjnym. Bo o co chodzi w marketingu politycznym? O to, żeby przekonać wyborców, że ty – w przeciwieństwie do przeciwnika – masz dobre odpowiedzi na problemy, które są tu i teraz. Jeżeli zarzucisz przeciwnikowi, że jego rozwiązania są passé, to w ten sposób go dyskredytujesz i budujesz swoją pozycję.

Na ile dziś nostalgia z intymnego uczucia staje się wykreowanym produktem?

– W gruncie rzeczy tak było zawsze. Już w XIX w. nostalgia była mocno utowarowiona. Na rozmaitych fantazjach związanych z romantycznym postrzeganiem przeszłości (weźmy choćby sztuczne ruiny, modę na neogotyk) wiele osób zarabiało całkiem dobre pieniądze. Oczywiście dziś ze względu na przyśpieszenie technologiczne mamy wrażenie, że to już jest utowarowienie w wersji hardcore.

Ogromną popularnością cieszą się kolejne remaki filmów, np. Disneya.

– Do tego można dodać kolejne filmy eksplorujące znane już widzom uniwersa – takie jak Marvel czy DC. A w muzyce np. bestsellerową płytę „Future Nostalgia" – Dua Lipa w dobie pandemii zaproponowała przepakowane nostalgiczne tropy muzyki popularnej ostatnich 40 lat – od disco, przez house, po pop lat 90. i zerowych.

Sukces tej płyty pokazuje, że na nostalgię jest po prostu popyt?

– Jak najbardziej. W muzyce obserwujemy kolejne powroty. Stare patenty są odświeżane w nowej formule. Dotyczy to również nośników. Jest powrót płyt winylowych. Mają one nawet swoje święto, Record Store Day. I z tym wiąże się ciekawe zjawisko. Pierwotnie miało to być święto małych sklepików z płytami, sprzedających niszowe rzeczy, ale koncerny wyczuły krew i teraz większość edycji robionych na to święto to reedycje starych płyt rockowych. Wielkie koncerny robią coraz to nowsze boxy. A ponieważ na świecie jest ograniczona liczba tłoczni, płyty z nową, bardziej niszową muzyką muszą czekać w kolejce. Bo tłocznie były zajęte przez koncerny na wytłoczenie 15. edycji Led Zeppelin, tym razem ze złotą wstążką zamiast srebrnej.

Czy to jednak kiedyś nam się nie znudzi?

– W 2011 r. krytyk muzyczny Simon Reynolds napisał książkę „Retromania" o recyklingowaniu rozmaitych tropów muzycznych. Zastanawiał się nad scenariuszem przypominającym katastrofę ekologiczną: co się stanie z kulturą, kiedy na planecie skończą się zasoby kulturalne, które będzie można zrecyklować.

Nostalgiczne wspomnienia w związkach są świetnym spoiwem pomagającym przetrwać trudne momenty.

Skończą się?

– Daleko nam do wyczerpania. Cały czas np. wynajdujemy dla naszego mainstreamu kolejne muzyki „Trzeciego Świata": kiedyś reggae, potem dancehall, reggaeton, teraz cumbia czy muzyka afrykańska, jak kuduro. I jeszcze trochę tego nam zostało. Chyba już prędzej nadejdzie katastrofa ekologiczna.

Intensywny marketing nostalgii zacznie nas w końcu mierzić?

– Dobre pytanie, przecież nawet nasze ulubione dania mogą w końcu się przejeść. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy szybko zrezygnowali z nostalgii. Najwyżej będziemy nostalgicznie tęsknić do jej dawnych postaci. Jak w tytule autobiografii francuskiej aktorki Simone Signoret: „La nostalgie n'est plus ce qu'elle était" (Nostalgia nie jest już taka jak dawniej). Dopóki świat wokół nas będzie odbierany jako niezrozumiały i chaotyczny – a nie zanosi się, żeby było inaczej – będziemy chcieli się schować w fantazji o bezpiecznej przeszłości. Wydaje mi się to jak najbardziej zrozumiałe.

Dominika Tworek

eprasa.pl 1c3502ee53

Wielki rewanż Szczęsnego

Polak gwiazdą El Clásico

Wojciech Kuczok

Ten Wojciech to zaiste szczęsny chłop – zeszłego lata wymyślił sobie emeryturę, ale za sprawą kontuzji, której doznał Marc-André ter Stegen, został awaryjnie ściągnięty do Barcelony. Długo i pokornie robił za rezerwowego, ale jak już do bramki wrócił, wygryzł rywali i pobronił sobie przez pół roku, zdobywając mistrzostwo, puchar i Superpuchar Hiszpanii, osiągając półfinał Ligi Mistrzów, a co najważniejsze, broniąc w trzech kolejnych El Clásico wygranych przez Barcę.

Tego lata znowu usiadł grzecznie na ławce za sprawą Joana Garcíi, supertalentu bramkarskiego kupionego przez Blaugranę zza miedzy, z Espanyolu. I młodzian złapał kontuzję akurat w takim czasie, że Szczęsny mógł po raz czwarty w tym roku stanąć między słupkami w Gran Derbi. I był najlepszym zawodnikiem swojej ekipy, broniąc fantastycznie skutecznie, choć do miana bohatera zabrakło mu happy endu – Barca na Santiago Bernabéu była po prostu za słaba, aby urwać choć punkt.

Wobec kontuzji Lewandowskiego, Raphinhi, Gaviego i Daniego Olmo nagle się okazało, że jeśli chodzi o graczy z pola, katalońska ławka jest króciutka. Podczas gdy w Realu zmiennikami byli zawodnicy klasy Rodryga czy Brahima Díaza, w Barcy wszedł z ławki niejaki Roony Bardghji czy Gerard Martín.

Nawet Antoś, mój syn zakochany w Barcelonie, z którym mecz oglądałem, nie bardzo wiedział, kim jest ten pierwszy. Nie bardzo też mu się zbierało na płacz, bo tym razem zdawał się być przygotowany na porażkę, zwłaszcza że barceloński magik, ukochany piłkarz wszystkich kopiących piłkę dzieciaków, wpadł akurat przed meczem z Realem w dołek sportowy, a grozi mu także kryzys wizerunkowy.

Lamine Yamal, o którym mowa, zagrał dojmująco słabo, co gorsza, media rozgrzała informacja sprzed kilku dni o „monetyzacji autografów". Co oznacza, że Yamal nie będzie już podpisywał fanom koszulek ani wpisywał się do sztambucha za darmo – odtąd jego podpis ma być towarem luksusowym, sprzedawanym na gadżetach. Powiedzieć, że Antoś, który marzył sobie, że wybierzemy się w tym sezonie na jakiś mecz Barcelony lub kadry Hiszpanii, a on przydybie gdzieś Yamala i zdobędzie autograf, jest rozczarowany, to nic nie powiedzieć. Młody Hiszpan zdaje się mieć nos zatkany przez muchy, być może to chwila, w której należy zacząć się martwić o jego dalszy rozwój.

Szczęsny był najlepszym zawodnikiem swojej ekipy, broniąc fantastycznie skutecznie.

To jeszcze dzieciak, jeśli trafi w ręce złych doradców, może mu się krzywda przydarzyć, a byłoby bardzo szkoda, bo to talent bezmierny, na granicy geniuszu. Tak, wciąż jednak na granicy, albowiem repertuar jego zagrań jest powtarzalny i schematyczny – owszem, chodzi o schematy opanowane do perfekcji, zwłaszcza podania zewnętrzną częścią stopy, drybling i strzał po zejściu do środka z prawego skrzydła, ale do geniuszu brakuje mu takiego zmysłu improwizacji, jaki miał El Diego czy wciąż ma Leo Messi. Próba takiej „monetyzacji" może mieć skutek przeciwny – to się kibicom nie spodoba, fani futbolu wyczuwają jednak granice przyzwoitości i choć wobec postępującej komercjalizacji futbolu są bezradni, czasem potrafią zastrajkować.

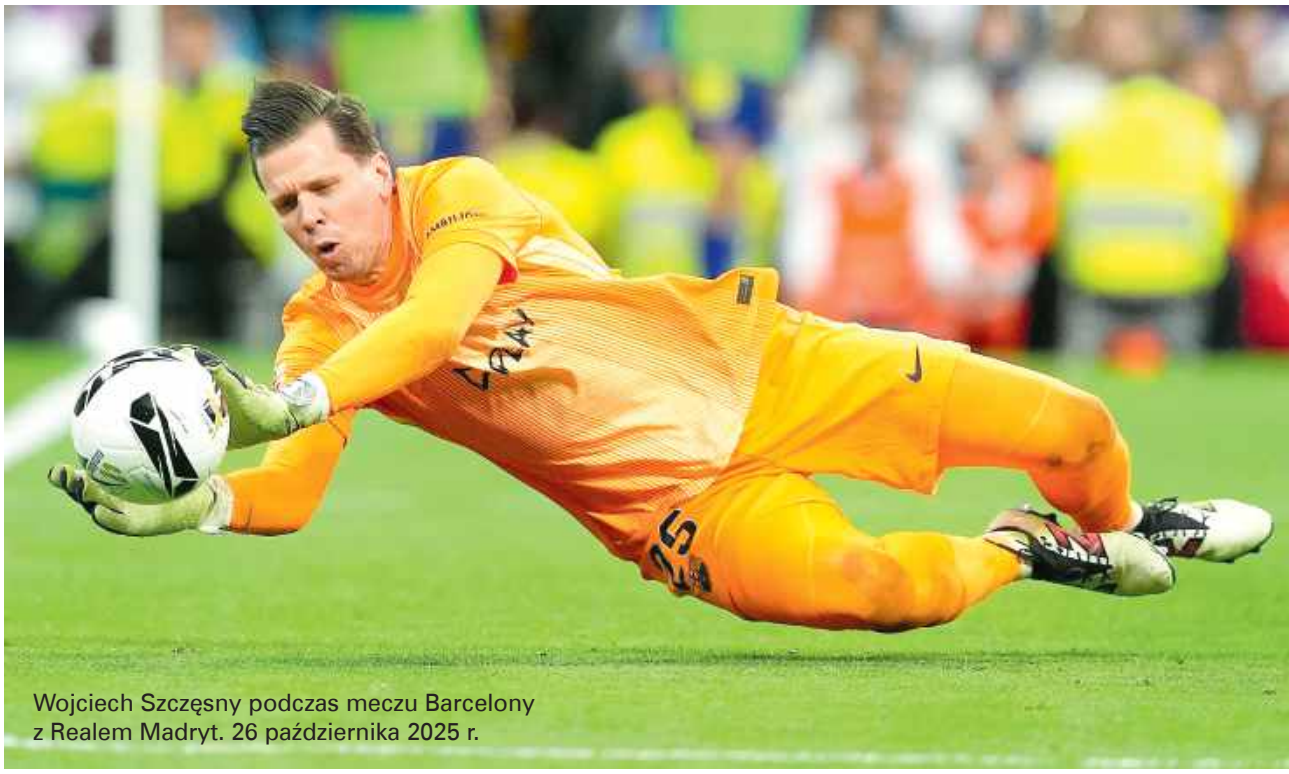
Presja kibicowska przed laty uchroniła nas przed secesją najbogatszych klubów i utworzeniem przeklętej Superligi, do której dostęp gwarantowałyby zasoby finansowe klubów, a nie forma sportowa. Ostatnio naciski fanów La Liga spowodowały, że wycofano się z kuriozalnego pomysłu rozegrania meczu ligi hiszpańskiej w… Miami. Villarreal miał przed Gwiazdką zagrać z Barceloną na Florydzie, za co oba kluby otrzymałyby wielomilionowe honorarium, ale byłby to niebezpieczny precedens. Ramię w ramię z kibicami zaprotestowali zawodnicy, stojąc nieruchomo przez 15 sekund po pierwszym gwizdku. W końcu sponsorzy ulegli i wycofali się z pomysłu, ale jad już się zaczął sączyć.

Nie wierzę, że ten opór będzie skuteczny na długo, zwłaszcza że najwierniejsi kibice nie mieli być w tym przypadku poszkodowani – obiecana kasa od sponsorów wystarczyłaby do pokrycia lotów przez ocean dla każdego karnetowicza… Nie można zapomnieć, że mecze o Superpuchar Hiszpanii od lat są rozgrywane w Arabii Saudyjskiej, ostatnio nawet w formie miniturnieju. Widać, na razie moc dolara nie jest tak wielka jak petrodolara, ale to pewnie kwestia czasu.

Tymczasem za sprawą regulaminu FIFA, wyjątkowo pokrętnego i sprofilowanego pod awans reprezentacji najbogatszych krajów Półwyspu Arabskiego, do grupy uczestników przyszłorocznych mistrzostw świata dołączyły Katar i Arabia Saudyjska, a w dodatkowej, piątej rundzie kwalifikacyjnej staną jeszcze przed szansą Zjednoczone Emiraty Arabskie. Zamożnych wyciąga się za uszy.

Owóż, wracając do El Clásico, skądinąd najlepiej na świecie sprzedającego się meczu klubowego,

eprasa.pl 1c3502ee53



Wojciech Szczęsny podczas meczu Barcelony z Realem Madryt. 26 października 2025 r.

wielkim nieobecnym Barcelony okazał się Robert Lewandowski. Naderwał mięsień na zgrupowaniu kadry, musimy się przyzwyczaić, że dotąd niezniszczalny piłkarz, prowadzący wzorowy tryb życia sportowego, zapewne biologicznie znacznie młodszy, niżby wskazywała metryka, będzie coraz bardziej podatny na urazy. Coraz częściej się mówi o przenosinach Lewego do Serie A, która lubi przytulać gwiazdy w wieku przedemerytalnym i nieraz daje im tam drugą młodość.

Być może w przyszłym roku Lewandowski zagra razem z 40-letnim Luką Modriciem w Milanie, na zakończenie kariery dostanie zatem najwspanialszego asystenta, będzie obsługiwany iście królewskimi podaniami. Chyba że zdrowie chorwackiego weterana ograniczy tę możliwość – niestety, inna gwiazda piłki w wieku średnim, wybitny Kevin De Bruyne grający w Napoli, właśnie zerwał mięsień dwugłowy w nader nietypowych okolicznościach, bo podczas skutecznego wykonania jedenastki w skądinąd zwycięskim meczu na szczycie z Interem.

Tymczasem jednak na Santiago Bernabéu w Barcelonie ewidentnie zbrakło z przodu klasowej „dziewiątki", którą Lewy bez wątpienia pozostaje – może więc Hansi Flick przeprosi się z naszym napastnikiem i pozwoli mu wrócić do pierwszego składu? Na pewno pożegna się z nim Szczęsny po wyzdrowieniu Garcíi, można nawet mniemać, że w ostatnim El Clásico sprawił sobie jeden z pożegnalnych prezentów, spektakularnie broniąc karnego Kyliana Mbappé. Nikt tak nie zalazł za skórę naszemu bramkarzowi jak Francuz, strzelił mu już dziewięć goli w różnych rozgrywkach, a gdyby doliczyć te nieuznane z powodu minimalnych spalonych, liczba byłaby zawrotna. Szczęsny zaczął rok od faulu na Mbappé, po którym dostał czerwoną kartkę, teraz w końcu się zrewanżował, kapitalnie broniąc jedenastkę jednego z najlepszych piłkarzy świata.

Lista „ofiar" Szczęsnego jest imponująca – nie potrafili mu wbić gola z 11. metra Leo Messi, Neymar, Gonzalo Higuaín, Ciro Immobile czy Edin Džeko, i to nie licząc serii karnych po upływie regulaminowego czasu gry, a warto pamiętać, że choćby dzięki skutecznej obronie w serii rzutów karnych kadra Probierza w ogóle pojechała na zeszłoroczne Euro. Jest Szczęsny mistrzem takich pojedynków dzięki stalowym nerwom i bacznej obserwacji zachowania rywala tuż przed uderzeniem, można tylko żałować, że w 2016 r., podczas ćwierćfinału mistrzostw Europy z Portugalią, to nie on stał w naszej bramce – Łukasz Fabiański ma wiele innych przymiotów, ale karnego nie wybronił nam wtedy żadnego.

Cristiano Ronaldo pozostanie jedynym największym, któremu Wojtek już nie utrze nosa – raz już w Juventusie skapitulował, okazji do rewanżu raczej zabraknie, bo chociaż CR7 skutecznie wiedzie Portugalczyków na amerykański mundial, reprezentacja Polski, nawet gdyby też awansowała, ma już innych golkiperów. Młodszych, co nie znaczy, że lepszych.

Ale ze Szczęsnym nigdy niczego pewnym być nie można – może jakiś pożegnalny meczyk towarzyski z Portugalią na Narodowym? Oficjalnie Wojtek miał już swoje pożegnanie, ale nasi piłkarze bywają rozkosznie niekonsekwentni, wszak Kamil Grosicki rozegrał swój mecz pożegnalny na Stadionie Śląskim w czerwcu, a już we wrześniu, po zmianie selekcjonera, wybiegł w biało-czerwonym trykocie ponownie, w listopadzie zaś, jeśli będzie miał szansę, dociągnie do 100. występu w kadrze. ■

FOT. ACERO/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 1c3502ee53

Nowotwory hematologiczne – choroby niezawinione

Apeluję: badajmy się regularnie, nie lekceważmy objawów, współpracujmy z lekarzami



Prof. EWA LECH-MARAŃDA
– konsultant krajowa w dziedzinie hematologii, dyrektor Instytutu Hematologii i Transfuzjologii w Warszawie, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów

Czym zajmuje się hematologia?

– Wbrew pozorom nie tylko leczeniem nowotworów hematologicznych, ale również chorobami nienowotworowymi, które występują nawet częściej niż te nowotworowe. Mam tu na myśli m.in. niedokrwistości, małopłytkowości, leukopenie, różnego rodzaju zaburzenia krzepnięcia – zarówno wrodzone, jak i nabyte. Pod względem częstości dopiero na drugim miejscu plasuje się zróżnicowana grupa nowotworów hematologicznych, czyli chorób, które potocznie nazywamy „nowotworami krwi". Określenie to nie jest do końca precyzyjne, ponieważ w rzeczywistości wyróżniamy nowotwory mieloidalne – wywodzące się z układu krwiotwórczego, oraz limfoidalne – mające źródło w układzie chłonnym.

Skąd biorą się te choroby?

– To jedno z najczęstszych pytań pacjentów i ich rodzin. Niestety, w przypadku większości nowotworów hematologicznych nie potrafimy wskazać jednej konkretnej przyczyny. Mówimy wówczas o chorobach idiopatycznych, czyli takich, których źródło pozostaje nieznane. Wiadomo jednak, że istnieją pewne czynniki ryzyka zachorowania na nowotwory hematologiczne. Należą do nich m.in.: promieniowanie jonizujące, narażenie zawodowe na substancje chemiczne, m.in. benzen, środki ochrony roślin, pestycydy czy herbicydy. Zwiększone ryzyko obserwuje się również u osób, które przeszły chemioterapię lub radioterapię z powodu innych nowotworów.

Co jeszcze może wpływać na rozwój tych nowotworów?

– Bardzo ważnym czynnikiem są infekcje wirusowe i bakteryjne. Wiadomo, że np. zakażenie wirusem zapalenia wątroby typu C może prowadzić do rozwoju chłoniaka strefy brzeżnej śledziony, a zakażenie wirusem Epsteina-Barr zwiększa ryzyko chłoniaka Hodgkina. Z kolei zakażenie HIV – przez to, że prowadzi do wtórnego niedoboru odporności – znacząco podnosi ryzyko rozwoju nowotworów układu chłonnego.

Czy można też mówić o predyspozycjach genetycznych?

– Tak, choć trzeba podkreślić, że nowotwory hematologiczne nie są typowo dziedzicznymi chorobami w takim znaczeniu, jak np. hemofilia. Jednak w ostatnich latach odkryto, że mutacje w niektórych genach zarodkowych mogą predysponować do powstawania białaczek. To z kolei przekłada się na większe ryzyko zachorowania w rodzinach. Zdarza się ponadto, że przewlekła białaczka limfocytowa, chłoniak Hodgkina czy niektóre chłoniaki nie-Hodgkina obserwuje się częściej wśród krewnych pierwszego stopnia.

W takim razie – czy istnieje profilaktyka tych chorób?

– Niestety, nie mamy skutecznej profilaktyki pierwotnej. Dlatego nowotwory hematologiczne możemy nazywać „chorobami niezawinionymi". Nie wynikają one bowiem z nieodpowiednich nawyków, niezdrowego stylu życia czy diety pacjenta – w przeciwieństwie do wielu nowotworów litych, gdzie np. palenie papierosów czy otyłość odgrywają kluczową rolę. W przypadku nowotworów krwi nie ma takiej prostej zależności. Możemy natomiast prowadzić profilaktykę

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1c3502ee53

wtórną, czyli postawić na wczesne ich wykrywanie. I tu, w części nowotworów, podstawową rolę odgrywa morfologia krwi.

Jak często należy wykonywać to badanie?

– Zalecamy, by osoby po 60. roku życia wykonywały to badanie raz w roku, ponieważ w tej grupie wiekowej ryzyko zachorowania na nowotwory hematologiczne dynamicznie rośnie. U młodszych osób można rozważyć rzadsze wykonywanie morfologii krwi, choć zawsze, gdy pojawiają się niepokojące objawy, należy ją wykonać bezzwłocznie.

Co powinno wzbudzić naszą czujność?

– Objawy nowotworów hematologicznych są różne i zależą od rodzaju choroby. Jeśli nowotwór nacieka szpik, dochodzi do wyparcia prawidłowego krwiotworzenia. Pojawia się wówczas niedokrwistość, skutkująca osłabieniem, szybkim męczeniem się, spadkiem tolerancji wysiłku. Po drugie, może wystąpić małopłytkowość – wtedy obserwujemy skłonność do krwawień, wybroczyny, krwawienia z dziąseł czy bardziej poważne epizody, jak krwawienia z przewodu pokarmowego. Trzeci typ objawów wynika z neutropenii, czyli zmniejszonej liczby neutrofili – wówczas pacjent staje się bardziej podatny na infekcje bakteryjne, wirusowe czy grzybicze.

Z kolei w nowotworach układu chłonnego częstym objawem jest powiększenie węzłów chłonnych – na szyi, pod pachami czy w pachwinach. Może też powiększyć się wątroba, śledziona lub węzły chłonne w jamie brzusznej, co daje objawy w postaci bólu brzucha czy uczucia pełności. Każdy z tych sygnałów powinien skłonić do wykonania prostych badań diagnostycznych, takich jak morfologia czy USG jamy brzusznej.

Czy nowotwory hematologiczne są częste?

– Wszystkie nowotwory hematologiczne należą do grupy chorób rzadkich. Warto nadmienić, że choroba rzadka to taka, która występuje nie częściej niż pięć przypadków na 10 tys. osób. Występują też nowotwory ultrarzadkie – jak niektóre białaczki, gdzie notuje się jeden przypadek na milion osób. Ale są też częstsze – np. ostra białaczka szpikowa, która występuje z częstością czterech przypadków na 100 tys. osób, szpiczak plazmocytowy – siedem przypadków na 100 tys., a chłoniaki nawet 15-19 przypadków na 100 tys. osób.

Na ile zależą one od płci i wieku?

– Nie ma jednoznacznej zależności, jeśli chodzi o płeć. Natomiast wiek odgrywa ogromną rolę. Większość nowotworów hematologicznych to choroby ludzi starszych. Przykładowo: szpiczak najczęściej diagnozujemy u osób ok. 70. roku życia, ostre białaczki szpikowe u pacjentów w szóstej i siódmej dekadzie życia. Wyjątkiem jest chłoniak Hodgkina, gdzie mamy dwa szczyty zachorowań: u młodych dorosłych ok. 25--30 lat oraz u osób po 55. roku życia.

Zalecamy, by osoby po 60. roku życia wykonywały morfologię raz w roku.

Rzadkim schorzeniem jest mielofibroza. Jak się ją leczy?

– To choroba trudna pod kątem diagnostycznym, przez wiele lat rozwija się podstępnie. Jest związana z postępującym włóknieniem szpiku, czyli wypieraniem z niego prawidłowego układu krwiotwórczego. Krwiotworzenie przenosi się do innych narządów, najczęściej do śledziony lub wątroby. Jedyną szansą na wyleczenie u młodszych chorych jest przeszczepienie allogenicznych krwiotwórczych komórek macierzystych od dawcy spokrewnionego lub niespokrewnionego, u starszych pacjentów jedyną dostępną opcją leczenia był hydroksymocznik. Obecnie mamy do dyspozycji nowoczesne leki doustne – inhibitory JAK2. W Polsce aktualnie refundowane są trzy inhibitory w ramach programu lekowego, w tym ten najnowszy wykazuje skuteczność u chorych z towarzyszącą niedokrwistością.

Inhibitory JAK poprawiają komfort życia pacjentów, ponieważ łagodzą objawy ogólne, takie jak osłabienie, chudnięcie, nocne poty, gorączki i bóle kości. Najważniejsze jest jednak to, że wpływają na zmniejszenie wątroby i śledziony, a tym samym na ustąpienie bólów brzucha i uczucia pełności w jamie brzusznej, co zdecydowanie poprawia jakość życia chorych, pozwalając na uzyskanie kontroli choroby i stabilizację stanu ogólnego pacjenta.

A co z leczeniem szpiczaka?

– Tutaj również dokonał się ogromny postęp. Klasyczna chemioterapia w dużej mierze należy już do przeszłości. Dzięki nowoczesnemu leczeniu choroba, która jeszcze niedawno skracała życie chorych do kilku lat, dziś pozwala pacjentom żyć znacznie dłużej.

Polscy pacjenci mają dostęp do nowoczesnych terapii?

– Jak najbardziej i jest to powód do dumy. Jeszcze kilkanaście lat temu sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, dziś leczymy na poziomie europejskim i światowym. Większość innowacyjnych terapii dostępna jest w ramach programów lekowych. Są to m.in. nowoczesne przeciwciała monoklonalne, terapie celowane, a także terapia CAR-T, która u wybranych pacjentów daje szansę na długotrwałe remisje.

Czy szczepienia dla chorych onkologicznie są ważne?

– Tak, są ogromnie ważne! Zachęcamy do szczepień wszystkich naszych chorych na nowotwory hematologiczne. Są oni szczególnie narażeni na infekcje, zarówno z powodu choroby podstawowej, jak i jej leczenia. Dlatego zalecamy szczepienia przeciwko grypie, pneumokokom, COVID-19, *Hemofilus influenzae*, a także przeciwko wirusowi półpaśca i RSV. Najlepiej wykonać szczepienia przed rozpoczęciem chemioterapii czy immunochemioterapii, ale nawet w trakcie leczenia szczepienia mogą zapobiec ciężkim powikłaniom infekcyjnym i tym samym uratować życie. Profilaktyka przeciwinfekcyjna jest więc absolutnie kluczowa.

Dlaczego potrzebne są m.in. szczepienia przeciwko półpaścowi?

– Dlatego, że u chorych na nowotwory hematologiczne, w tym szczególnie na nowotwory układu

eprasa.pl 1c3502ee53

chłonnego, takie jak np. szpiczak plazmocytowy, ryzyko reaktywacji wirusa półpaśca jest zdecydowanie większe niż w populacji osób zdrowych, a przebieg tej infekcji u wielu pacjentów jest bardzo ciężki, głównie z powodu wtórnych niedoborów odporności.

Wiek odgrywa ogromną rolę. Większość nowotworów hematologicznych to choroby ludzi starszych.

Czy są przeciwwskazania do szczepień dla tych pacjentów?

– Nie ma żadnych lub prawie żadnych przeciwwskazań. A jeżeli są, to wynikają głównie z konkretnego etapu leczenia, a nie z samej choroby nowotworowej.

Ilu mamy hematologów w Polsce?

– Według najnowszych danych jest nas 632, co daje ok. 1,7 specjalisty na 100 tys. mieszkańców. To wciąż za mało – chcielibyśmy dojść do wskaźnika 3 na 100 tys. Na szczęście obserwujemy rosnące zainteresowanie tą specjalizacją wśród młodych lekarzy. Wynika to z faktu, że hematologia bardzo dynamicznie się rozwija – mamy dostęp do nowoczesnych terapii, takich jak przeciwciała dwuswoiste (leki, które mogą jednocześnie łączyć się z dwoma różnymi antygenami) czy terapie CAR-T (metoda, w której komórki odpornościowe pacjenta są modyfikowane genetycznie, tak aby lepiej rozpoznawać i niszczyć komórki nowotworowe). To fascynująca dziedzina, oferująca pacjentom nowoczesne metody leczenia.

Czy pacjent, który chce się skonsultować z hematologiem, potrzebuje skierowania?

– Tak, skierowanie od lekarza podstawowej opieki zdrowotnej jest konieczne. Zależy nam, hematologom, na ścisłej współpracy z lekarzami POZ. Dlatego chcielibyśmy wdrożyć projekt Krajowej Sieci Hematologicznej, który ma zapewnić pacjentom równy dostęp do kompleksowego i koordynowanego leczenia hematologicznego w całej Polsce, a jednocześnie chcielibyśmy stworzyć wytyczne diagnostyczne dla lekarzy rodzinnych i zbudować platformę do wzajemnej współpracy. Dzięki temu pacjenci będą szybciej trafiać do specjalistów.

Co jeszcze pani profesor chciałaby podkreślić?

– Może to, że zachorowania na nowotwory hematologiczne nie można uniknąć, ale dzięki nowoczesnej diagnostyce i terapii można je wcześnie wykryć i skutecznie leczyć. Dlatego apeluję: badajmy się regularnie, nie lekceważmy objawów, współpracujmy z lekarzami. Dzięki nowoczesnej medycynie pacjenci z nowotworami hematologicznymi mogą dziś żyć długo i mieć dobrą jakość życia.

Autoryzowany wywiad prasowy przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia w związku z warsztatami naukowo-edukacyjnymi pt. „Pacjenci hematoonkologiczni – wyzwania i nadzieje". Jesień 2025.



eprasa.pl 1c3502ee53



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Fakt, że 80 lat od detonacji „Chłopczyka” i „Grubasa” ludzkość wciąż istnieje, zakrawa na cud. Najlepiej tę świadomość wyprzeć, inaczej człowiek by oszalał, w najlepszym razie na tle religijnym, bo trudno o bardziej wyrazisty „dowód” na istnienie dobrego demiurga, Boga czy tam anioła stróża – ludzie wymyślili narzędzie zagłady i w ciągu ośmiu dekad nie zdarzył się żaden zbieg okoliczności, który by sprawił, że zostało użyte? Coś mi mówi, że rachunek prawdopodobieństwa nie ma tu zastosowania: mamy obecnie na świecie kilkanaście tysięcy bomb atomowych, oficjalnie w dziesięciu krajach, to wystarczy, żeby po wielekroć unicestwić życie na ziemi.

Bombowa Bigelow

Przywódcy dwóch najpotężniejszych mocarstw nuklearnych to indywidua o ograniczonej poczytalności – jeden to narwaniec o inteligencji emocjonalnej dziesięciolatka, drugi to zbrodniarz wojenny od kilku lat dowodzący agresją zbrojną na sąsiedni kraj. Jeden przed drugim rozścielał ostatnio czerwony dywan. Za obydwoma nieustannie chodzą wysportowani adiutanci z ciężką jak cholera czarną torbą (podobno ma 20 kilo!), tudzież walizką atomową, w USA zwaną nuklearną futbolówką, a w Rosji Czegetem. W środku znajduje się „czarna książka”, choć właściwie należałoby to nazwać „czarnym menu” z jednym daniem w trzech wersjach: rare, medium i well-done, jak w przypadku steków, choć po polsku brzmi to adekwatniej: od wersji krwistej do dobrze wysmażonej. Chodzi o opcje ataku nuklearnego – cele, rodzaj broni i przewidywaną liczbę ofiar. Do odpalenia ładunku potrzebna jest identyfikacja prezydenta, który zawsze musi mieć przy sobie tzw. herbatnik, czyli kartę wielkości krakersa, na której znajdują się kody potwierdzające tożsamość Potusa. Małe to draństwo, Carter kiedyś je zgubił w pralni, a Clinton zapomniał, gdzie schował – zdarzały się zatem chwile, w których Stany były całkowicie bezbronne nuklearnie; gdyby zimnowojenne obce wywiady poinformowały o tym w porę swoje naczalstwo, można by zbombardować USA bez ryzyka odwetu.

No i co z tego, że taki asystent nositorba (jest ich pięciu na zmianę, co wynika zapewne nie tylko z ciężaru torbiszcza) musi przejść procedurę Yankee White, czyli najbardziej wnikliwą kontrolę przeszłości, która dowiedzie, że jest doskonale zrównoważony i czysty jak łza, skoro sam Trump jest świrem z kilkudziesięcioma oskarżeniami w kartotekach sądowych?

Na Netfliksie właśnie miał premierę „Dom pełen dynamitu” w reżyserii Kathryn Bigelow, najpewniej zainspirowanej „Wojną nuklearną” Annie Jacobsen. Obie panie zakładają optymistycznie, że USA mogą odpalić arsenał nuklearny tylko w ramach odwetu. Jacobsen wychodzi z założenia, że najbardziej prawdopodobnym inicjatorem wojny atomowej jest zbójecka Korea Północna, w filmie wiadomo tylko, że ładunek odpalono z łodzi podwodnej gdzieś na Pacyfiku. I tu powstaje zasadniczy problem, bo skoro nie wiadomo, kto wysłał atomówkę na Stany Zjednoczone, na kogo w takim razie przeprowadzić atak odwetowy? Wszystko pozostaje w sferze domniemań, które świetnie wyraża dialog między dwoma generałami: „– Muszę zgadywać: Korea Północna. Braki paliwa, marne plony. Może są zdesperowani? Albo to Moskwa i chce to zwalić na Koreańczyków. – Nie, przecież Moskwa wie, że odpowiemy… – Tak? Zabijają dysydentów, więżą Amerykanów, Ukraina… A my skonfiskowaliśmy im parę jachtów w Saint-Tropez. Jedno anonimowe uderzenie sieje chaos i wprawia nas w osłupienie. I mają okazję sprawdzić, czy ujdzie im to na sucho. A może jakiś kapitan okrętu podwodnego dowiedział się o odejściu żony?”.

Bigelow filmy robi rzadko i zawsze nadąża za bieżącymi bolączkami świata, dostała dwa Oscary za film o marines w Iraku, nominację za rzecz o obławie na Bin Ladena, a teraz dowiodła, że jej talent się nie starzeje. „Dom pełen dynamitu” trzyma za mordę jak niegdyś „Gry wojenne” Johna Badhama, obchodząc się bez efektów specjalnych i de facto ograniczając akcję do przestrzeni biurowej. Pentagon się wkurzył, bo w filmie rakieta mająca zneutralizować nadlatującą głowicę z ładunkiem nuklearnym nie trafia w nią, a sekretarz obrony USA dopiero wtedy dowiaduje się, że nie ma w tym nic dziwnego. Skuteczność obrony w takim przypadku wynosi 61%, co i tak jest niebywale wysokim wskaźnikiem, biorąc pod uwagę, że chodzi o trafienie pociskiem kuli w locie. Niewygodne fakty są trzymane w tajemnicy nie tylko przed opinią publiczną, ale i przed najważniejszymi ludźmi w państwie – w totalitaryzmach lęk przed gniewem wodza każe go karmić wyłącznie dobrymi newsami.

USA są w fazie przejściowej między demokraturą a autokracją, ale Trump to taki narwaniec, że ludzie boją się z nim wygrywać w golfa, a co dopiero informować o tym, że państwo ładuje miliardy w system obrony, który ma skuteczność dziurawej prezerwatywy.

Nie przestałem się bać i nie pokochałem bomby – Bigelow zrobiła swojego „Doktora Strangelove” w bardzo ponurej wersji; to kino, które wkłada nam lodowatą dłoń za kołnierz. ■

eprasa.pl 1c3502ee53

BANIE, BAJNIE, ŁAŹNIE

BANIA TO EMOCJONALNE PRZEŻYCIE, ZAPACH, MASAŻ I ZDROWIE



Piotr Malczewski

Jedni mówią bania, łaźnia, a inni sauna, ale… „panie, bania to bania, do sauny niepodobna, no może co najwyżej z zewnątrz. Ale w środku to już inne światy...".

Na Suwalszczyźnie mówią banie albo gwarowo bajnie. Czasem mówi się ruska bania. Z rosyjskiego to bania albo i zdrobniale baniuszka, bańka, ruskaja bajnia. W latopisie, czyli ruskim odpowiedniku średniowiecznych kronik i annałów, z 966 r., banie/łaźnie nazywano m.in.: mow, mownia, mownica, mylnia, błaznaja. Były banie białe (biełaja bania, czistaja bajnia, biała bania, banie po biełomu) z kominem i banie czarne bez komina określane do dziś u nas i dalej na wschód jako: cziorna, cziornaja bania, bania po cziernomu, czarna bania, czarna bajnia. W języku polskim bania to po prostu łaźnia albo łaźnia parowa. Niektórzy porównują ją do sauny, choć często podczas użytkowania widoczne są różnice techniczne i odczuciowe.

Bania musi być nagrzana, napalona, gorąca, wręcz parująca. Bolszaja żara najlepiej. Tak, by „duch" był dobry. Mówi się u nas: „duch idzie z kamienki dobry", czyli para z kamieni unosi się gorąca. No i wienniki (winniki), czyli miotełki, muszą być obowiązkowo. Bo bania bez winników to nie bania.

Staroobrzędowcy stosowali się do zapisów z pięcioksięgu Starego Testamentu. Jeden z nich mówił, że przed każdym nabożeństwem należy wziąć rytualną kąpiel oczyszczającą. Warto dodać, jak pisze etnograf Krzysztof Snarski, że „zjawisko kulturowe kąpieli rytualnych (…) dotyczy szerszej grupy – zwłaszcza wszystkich społeczności semickich, aniżeli tylko chrześcijan staroobrzędowców".

Ale wróćmy do bani, czyli łaźni, nieco porządkując temat. Banie miały i mają kamienie, gorącą parę, winniki. Dawniej w Europie Zachodniej łaźnie to były pomieszczenia do mycia się, z gorącą wodą, baliami, czasem podgrzewaną podłogą czy z ogromnym basenem. Dotyczy to bardziej terenów tureckich i rzymskich. Banie z piecem, kamieniami, wodą, gorącą parą, były używane u wschodnich Słowian, na Rusi, na stepach w jurtach, a na terenach obecnej Szwecji i Finlandii – sauny. Sauny mają mniejszą wilgotność niż tradycyjne banie ruskie, w których utrzymuje się wilgotność na poziomie 60-90%, ale stwierdzenie, że sauny fińskie (te w Finlandii) są suche, byłoby przekłamaniem. Natomiast w tradycyjnych baniach w Rosji, na Syberii i na Suwalszczyźnie banie są zawsze z bardzo dużą wilgotnością.

Wszystko zależy, ile polejemy wody na kamienie i ile wody (i kamieni) jest w bani czy saunie. W nowych saunach zazwyczaj jest i bardzo gorąco, i sucho na wejściu, a to nie jest zdrowe i wcale nie o to chodzi w korzystaniu z sauny czy bani. Niestety, bardzo często ludzie współcześnie stawiający sauny w Polsce nie wiedzą, jak używać ich prawidłowo – traktują sauny jako element rozrywki – w sieni jedzą, piją w trakcie kąpieli. A to błąd. I niezdrowo.

W tureckiej łaźni, zwanej hammam, podłogi są ciepłe, a płyty marmuru (lub innej skały) rozgrzane, temperatura do 40-50 stopni, ale z wilgotnością powietrza sięgającą 100%. Łaźnie japońskie (onsen) z kolei to służące do kąpieli duże pomieszczenia z mnóstwem wody. Japończycy wykorzystują też gorące źródła. Ale wspominam o nich jedynie jako o pewnym kontekście, skupiając się jednak przede wszystkim na baniach – łaźniach typu wschodniego, obecnych u Słowian oraz na terenach Suwalszczyzny, Rosji i na Syberii. Stosuję wymiennie słowa: bania, łaźnia i bajnia (gwarowo).

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1c3502ee53

Podobnie jak witki, winniki i wienniki. (...)

•

Często pisze się, że banie na Suwalszczyznę przybyły wraz ze staroobrzędowcami, którzy uciekli z Rosji w XVII-XVIII w., ale oczywiście wcześniej łaźnie istniały na ziemiach Suwalszczyzny, a na pewno u Słowian, jak dowodzą wykopaliska archeologiczne i kroniki z X-XII w. W XVI w. w rozległych i dzikich puszczach na terenach obecnej Suwalszczyzny zakładano osady, wtedy jeszcze niestałe, w których żyli osocznicy, czyli strażnicy puszcz czy też korzystający z wchodów (pozwoleń) np. bartnych, sianożętnych. Jerzy Wiśniewski w pracy naukowej „Dzieje osadnictwa w powiecie suwalskim od XV wieku do połowy XVII wieku" pisał: „Posiadaczom wchodów wolno było na terenie boru bartnego, nad łąką czy jeziorem zbudować prowizoryczne pomieszczenia mieszkalne i łaźnię. Budowa stałego domu była wzbroniona".

Potem na pewien czas zapomniano o baniach, ale w XVII w. na tereny Rzeczypospolitej i Suwalszczyzny przybyli staroobrzędowcy, a wraz z nimi banie. Staroobrzędowcy bardzo często zaczynali zakładanie gospodarstwa od budowy najpierw bani, a dopiero potem kolejnych zabudowań. Banie były obecne niegdyś praktycznie w każdym gospodarstwie staroobrzędowców.

•

Banie na Suwalszczyźnie – te prawdziwe, które przetrwały do dziś – to zazwyczaj małe drewniane budyneczki stawiane nad wodą (rzeka, jezioro, staw, studnia). Dawniej stawiano je z belki kładzionej na obłap lub jaskółczy ogon. Kryte były słomą, dranicami (deskami), wiórem osikowym, z czasem również blachą. Do dziś na Suwalszczyźnie i Sejneńszczyźnie można spotkać banie gliniane, choć coraz rzadziej używane, które są bardziej suche. Po wojnie budowano banie z dachem pokrytym ziemią lub darnią, np. w Gabowych Grądach pod Augustowem, albo czarne banie ziemne. Jeszcze po II wojnie światowej była taka bania w Pogorzelcu. Wykopano tam długi dół, nałożono dach z żerdek, a na nie układano gałęzie świerkowe, które pokrywano ziemią. W środku umieszczono piec z ułożonych kamieni. I bania gotowa.

Jak już wspominałem, bania składa się z dwóch pomieszczeń: najpierw jest coś w rodzaju szatni, zwanej u nas sienią (sieńcą) lub priedbannikiem, gdzie się ludzie rozdziewają („razdiewałka" – sień do rozbierania w Rosji), czyli rozbierają, zostawiają ubrania i ręczniki przed wejściem do drugiego właściwego pomieszczenia bani, zwanego kamienką (kaminką) lub parilką. W bani w Budzie Ruskiej przy wejściu zazwyczaj umieszczone jest palenisko na poziomie lub poniżej poziomu ziemi, ze względu na lepszy obieg powietrza. Wokół układano kamienie lub budowano mały murek z trzech stron, na którym kładziono kilka kawałków szyn czy grubych pasów metalu, a na tym układa się kamienie. Najpierw większe, potem mniejsze, ale nie za ściśle, by płomienie mogły przechodzić między kamieniami i je ogrzewać.

W bani w Budzie Ruskiej jest ich sporo, palenisko i kamienie zajmują przestrzeń półtora na półtora metra i na około metr wysokości. Ta bania/bajnia jest banią czarną, „po czarnomu", jak to gadają u nas. Niegdyś gadano też „kamienka po czarnomu", czyli taka bania, która nie ma „dymochoda", ujścia dymu przez komin. Po prostu nie ma komina. Podczas palenia dym uchodzi przez drzwi, okna, szczeliny. Ściany i sufit są w niej czarne.

Po wejściu do kamienki siada się lub kładzie się na półkach (połkach) i ławkach i polewa wodę na kamienie. Po ok. 15-20 minutach takiej „sesji", tak rozgrzanym biegnie się do rzeki i w niej zanurza. I tak kilka razy, zazwyczaj dwa lub trzy. Nie jest zalecane, by parzyć się w bani dłużej niż 2-3 godziny. Po wyjściu nie należy ponownie iść do bani.

Trzeba poczuć, czego chce organizm, ale nie przymuszać się do niczego. Można się schłodzić – wytarzać, natrzeć się w śniegu lub zanurzyć się w wodzie. Śnieg chłodzi słabiej, choć pobudza krążenie krwi podobno bardziej niż woda.

Banie na Suwalszczyźnie – te prawdziwe, które przetrwały do dziś – to zazwyczaj drewniane budyneczki stawiane nad wodą.



eprasa.pl 1c3502ee53

Do bani mogą wchodzić już dzieci powyżej pierwszego roku życia. Korzystać można z niej aż do śmierci i nawet po śmierci, bo dawniej obmywano zwłoki właśnie w bani. Jeśli chodzi o kobiety w ciąży, są tu dwie szkoły: według jednej lepiej nie wchodzić, lub wchodzić po drugim trymestrze, a najlepiej najpierw spytać lekarza; według innej szkoły, jak pisze część lekarzy i rosyjskich znawców tematu, kobiety w ciąży mogą wchodzić. Dawniej na wsiach w Rosji kobiety i pracowały, i wchodziły przez całą ciążę. (…)

•

(…) Kamienie zwozi się z pól, miedz, ale nie z wody, bo te pękają szybciej. Każdy kamień musi być wzięty w rękę i staje się wtedy ważny. Trza go dokładnie oglądnąć, postukać młotkiem, czy dźwięczy odpowiednio. I ważne – z czego kamień jest. Bo kamień wbrew pozorom w bani nie jest już wieczny. Używa się m.in. gnejsów, granitów, porfirów, bazaltu, diabazu, pegmatytu, migmatytu, choć człek często nie wie, że tak się one zwą. Czasem w granitach, które mogą być u nas szaro-białe, żółtawe, różowo-czerwone, znajdują się rzadkie pirokseny, których nazwa z greckiego znaczy ogień obcy (pyr – ogień, xenos – obcy). Niekiedy w granitach występuje też muskowit, którego półprzezroczyste płyty w przeszłości wstawiano w otwory okienne zamiast szkła, na dość dużą skalę. Kamienie na kamienkę/palenisko nie mogą być kwarcytem, piaskowcem, zlepieńcem czy wapieniem (u nas mówi się na wapień – „wapniak"), szybko bowiem pękają.

Oczywiście nie mogą mieć rys czy pęknięć. Pod wpływem żywiołów ognia i wody twarde kamienie przestają być wieczne, pękają, kruszą się i rozsypują w drobny piasek. Kawałeczki rozkruszonych kamieni z bań wykorzystywali garncarze ze Studzianego Lasu nad Czarną Hańczą. Robili z tego materiału garnki, makutry, dzieżki, łachańki.

Ewa Fryś-Pietraszkowa, etnografka zajmująca się garncarstwem, po badaniach we wsi opisała na łamach „Polskiej Sztuki Ludowej" ośrodek garncarski ze Studzianego Lasu. Garncarstwo tego miejsca, według autorki, „niesłychanie pod każdym względem prymitywne", sytuuje się blisko wczesnośredniowiecznych technik garncarskich. W Studzianym Lesie znajdowały się wówczas banie. Gdy rozpali się w czarnej bani, dym ucieka przez drzwi i okno, a ściany i sufity robią się czarne. Czasem robiło się otwór w suficie, by tam dym uchodził.

Dawniej nad paleniskiem wieszano żerdki (gwarowo „gradki"), na których wieszano ubrania do dezynfekcji. Obok i naprzeciw kamienki buduje się półki (połok), czyli ławy szerokie do siedzenia czy leżenia na dwóch lub trzech poziomach. Drewniane banie budowano na Suwalszczyźnie z najbardziej dostępnego drewna: z sosny lub świerka, a ławki robiono z olchy czy topoli, a nie z sosny, bo jak się mocno napali banie (nagrzeje), to żywica z ławek sosnowych przyklejałaby się do tyłka. (…)

Staroobrzędowcy zaczynali zakładanie gospodarstwa od budowy bani, a dopiero potem budowali kolejne zabudowania.

•

(…) Bania to emocjonalne przeżycie, przyjemność, zapach, masaż, zdrowie… A masażem może być dotyk winnikiem, jak i powietrzem rozgrzanym za pomocą winnika. Winniki, wienniki (wieniki), miotełki, czyli po polsku witki – wybrane starannie i w określonym czasie gałązki z liśćmi, najczęściej brzozowe, ale mogą być również z innych drzew. Mogą być winniki brzozowo-dębowe czy z samego dębu, lipowe, brzozowe z kilkoma gałązkami czarnej porzeczki (bardzo aromatyczne), z dębu czerwonego – dające piękny zapach, świerkowe o żywicznym aromacie. W Rosji robiono wienniki olchowe, klonowe, wierzbowe, czeremchowe, wiśniowe, limbowe. Są też z pokrzywy (na kręgosłup) i wiele, wiele innych. Najczęściej używa się winników brzozowych. Zbiera się je na Suwalszczyźnie od dnia Świętych Apostołów Piotra i Pawła (12 lipca) do święta Zaśnięcia Bogurodzicy (28 sierpnia). (…)

W bani obowiązkowo musi być masaż, parzenie ciała, a wiennikiem należy uderzać wzdłuż ciała, nie w poprzek. Powinno się leżeć, bo wtedy krew krąży najlepiej. Co ciekawe, większość ludzi myśli, że wiennikami należy się okładać z całych sił, jak za karę. I tak wielu robi, ale nie o to chodzi. Silnie uderzając, sprawiają, że listki szybko spadają z gałązek i wiennik staje się rózgą, po której zostają siniaki na plecach (…).

Masaż robi się, delikatnie muskając wierzchem wiennika po ciele, maczanym na zmianę w gorącej i zimnej wodzie, choć receptur na masaż jest wiele. Można robić też masaż, nacierając ciało wiennikiem, lub masaż samym powietrzem, np. wiennikiem z aromatycznego dębu czerwonego. Lub masaż dwoma wiennikami! Porusza się nimi pod odpowiednim kątem i w odległości od ciała tak, by gorące powietrze na różne sposoby „przetaczało się" nad ciałem lub „uderzało" w ciało. Mówi się, że nagania się parę, albo nagniata się parę, zbiera się parę nad ciało. Robi się to wiennikami suchym lub mokrym, ale wcześniej zaparzonym. Kładzie się też czasem witki na twarz czy jakąś część ciała na kilka minut. Jedni mówią, że to piekło, inni, że to raj. (…)

•

Bania była i jest miejscem spotkań. Siedząc w parilce, gada się, opowiada, wspomina, czasem śpiewa. Dawniej zimową porą spotykano się w baniach, kobiety wyrabiały len (lniane nici), śpiewano. W ostatnich latach, gdy kolędowaliśmy, to na wieczór spotykaliśmy się w mojej czarnej bani i śpiewaliśmy. Któregoś razu przybyli kolędnicy z różnych miejsc w Polsce. Śpiewali pięknie po polsku, ukraińsku, rosyjsku. Siedzieliśmy, śpiewając, w stygnącej bani pięć godzin.



Fragmenty książki Piotra Malczewskiego *Znad Czarnej Hańczy*, Paśny Buriat, Suwałki 2025

eprasa.pl 1c3502ee53

JACEK PAŁKIEWICZ

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY



1

JAK BOHATEROWIE „MOBY DICKA”

Polowanie na wieloryby jest praktycznie zakazane na całym świecie od 1986 r. Jednak Japonia, podobnie jak Islandia i Norwegia, nadal je praktykuje, pod gigantycznym pretekstem przeprowadzania badań naukowych. Pogłębienie naszej wiedzy na temat tych niezwykłych ssaków morskich miało uzasadniać polowania i zabijanie setek wielorybów każdego roku. Obecnie Japończycy spożywają średnio 2 tys. ton mięsa wielorybiego rocznie.

Jednak Czukczom, mieszkańcom zapomnianej przez Boga i ludzi osady Lorino nad Cieśniną Beringa, całkowicie uzależnionym od połowów morskich, ten zbiorowy rytuał dostarcza pożywienia i pozwala przetrwać w trudnych warunkach. Miejscowi mają prawo ustrzelić 140 egzemplarzy waleni rocznie.

Towarzyszyłem tym ludziom na polowaniu na biblijnego Lewiatana, który wyskakiwał z wody i, obracając się wokół własnej osi, próbował uderzyć ogonem i głową niewielką łódkę z myśliwymi.

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter, eksplorator, autor licznych książek, odkrywca źródła Amazonki; www.palkiewicz.com

eprasa.pl 1c3502ee53



2





5



6

1. Bezpłatny spektakl.
2. Niebezpieczny moment.
3. Brygada wypływa na morze.
4. Wieloryb szary.
5. Rzadko można trafić za pierwszym rzutem.
6. Myśliwi uważani są za herosów.
7. Nieznający lęku myśliwi.
8. Rodzaje harpunów.
9. Płat słoniny.
10. Mięso wielorybów pozwala przeżyć w ekstremalnych warunkach Północy.

ZDJĘCIA Z ARCHIWUM JACKA PAŁKIEWICZA

eprasa.pl 1c3502ee53


3


4


7

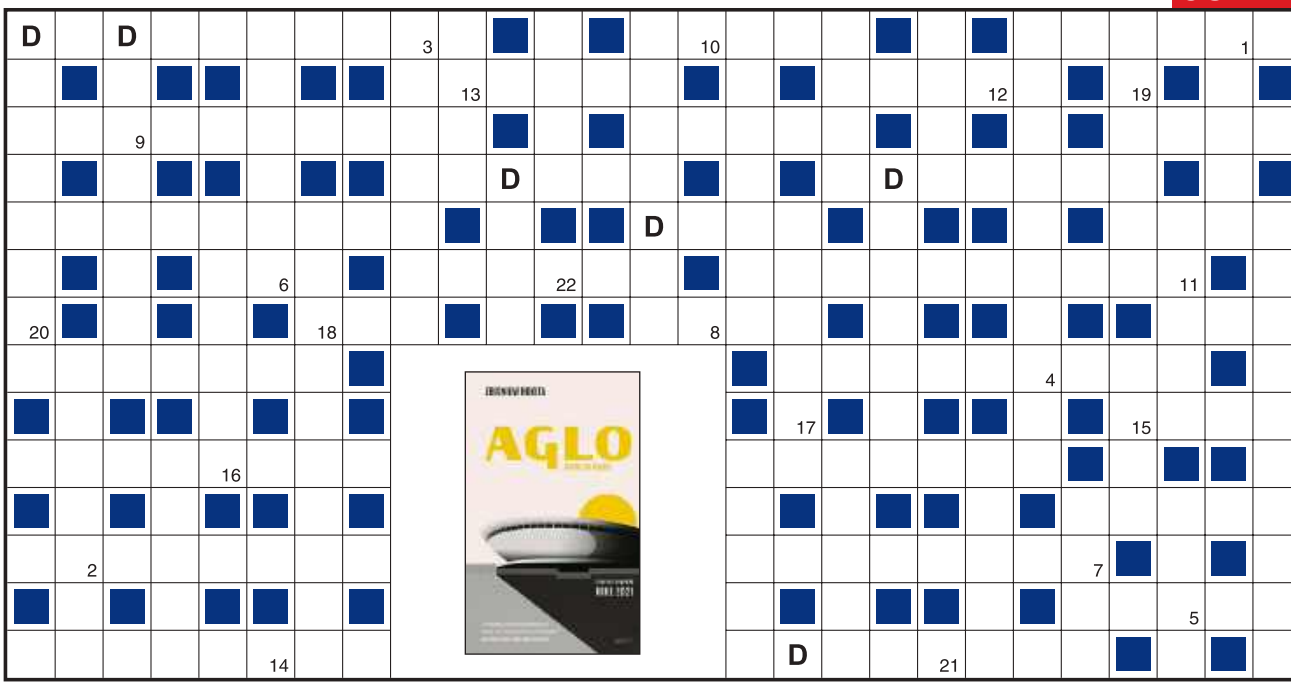

8


9


10

eprasa.pl 1c3502ee53

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- niejedno na parkingu
- birbant, hulaka
- znawczyni roślin
- przedświt, jutrzenka
- część tnąca piły
- poznać pana po nich
- zupa z krwi zwierzęcej
- ptak lub Marek z „19.30”
- wojak uciekinier
- dostatek, zamożność
- dawka leku, szczypta optymizmu
- ostra drobina drewna
- w ręku atlety wyrzeźbionego przez Myrona
- Magda z „Pszczółki Mai”
- części składowe
- obłudnik, hipokryta
- bywa o wysoką stawkę
- okres godowy dzików
- litera po iksie
- Czarna z piosenki zespołu Raz Dwa Trzy
- …rzeźby Polikleta
- disc jockey szczerzy je znad konsolety w piosence
- obozowisko włóczęgów, Tatarów
- …Pokoju powołany z inicjatywy JFK
- tak nazywany był twórca Monaru
- graniaste w zabawie
- wnęka balkonowa
- dla klęczącego ochraniacz, dla pilota organizer
- gisernia
- pszenicy, losu, przez przypadki
- brawa, aplauz
- „...na podwórze” Hitchcocka
- gdy wojsko otoczył wróg
- kamyk wygładzony przez wodę
- polski producent płytek ceramicznych
- napitek z browaru
- wniosek o przeprowadzenie procesu sądowego
- zboże na kaszę jaglaną
- ciągnięty pojazd bez własnego napędu
- „…na polskich dróżkach” Januszewskiej
- monet, dropsów, kartonu
- malarz Rafael…
- sznurek z dwiema rączkami
- jednoosobowa wiosłowa łódź wyścigowa
- przydomek Jana Zamoyskiego, III ordynata
- jego psychologię analizował Gustave Le Bon
- stolica prowincji Ontario
- karciany listek koniczyny
- kto w nim zostaje, nie nadąża
- w góralskich lasach lub pod gruszą
- pokrywa kufra, skrzyni
- w hełmie opuszczana zasłona z otworami
- wkomponowana w utwór albo wszyta
- glistnik jaskółcze…
- Maciej, projektant mody
- kot z teleturnieju „Idź na całość”
- kłucie, dźganie
- kamyki na alejkę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1246”. Do rozlosowania książki „Aglo. Banką po Śląsku” ufundowane przez Społeczny Instytut Wydawniczy Znak. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 listopada 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1243” z nr. 42: *Wiele daje, kto daje z radością*. Nagrody otrzymują: Roma Konopka z Warszawy, Beata Kordon z Tychów, Janina Wysocka z Warszawy.

eprasa.pl 1c3502ee53

Los ksapera

Można i tak. Rafał Siemianowski skończył studia na Uniwersytecie Warszawskim, potem KSAP. Wykazał przy tym umiejętności społecznikowskie, bo przez pewien czas był szefem Stowarzyszenia Absolwentów KSAP. Ale nie o tym chcemy mówić. Otóż różnymi drogami, machając CV, w którym widniała długa lista staży w całej Europie, dostał się do pracy w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. To był rok 2006. W tej kancelarii przeżył zmianę rządu, a potem pracowicie zaliczał szczebelki, aż został zastępcą dyrektora KPRM. W 2012 r. wyjechał na placówkę do ambasady RP w Londynie. W 2015 r. wrócił do Kancelarii Premiera. Ten powrót miał jak w banku, jako urzędnik mianowany. Ale nie miał gwarancji kariery, mógł gdzieś utknąć. Jednak nie utknął. Był wicedyrektorem KPRM, realizował coraz poważniejsze zadania, aż w końcu, w październiku 2020 r., został zastępcą szefa Kancelarii Premiera w randze podsekretarza stanu. Czyli zastępcą Michała Dworczyka. I tak go postrzegano. Jako człowieka Dworczyka.

A postrzegano go tak jeszcze bardziej, gdy się okazało, że jest kandydatem na stanowisko ambasadora RP w Belgii. Wyjechał tam jesienią 2021 r. Działał spokojnie, bez fajerwerków, ale i bez sprawiania kłopotów. W 2024 r. otrzymał Nagrodę im. Stanisława Maczka i Simonne Brugghe przyznaną przez stowarzyszenie Maczek Memorial Belgium. Dobrze pracował z Polonią i z polskimi szkołami. Po niespełna trzech latach, w lipcu 2024 r., zakończył urzędowanie. Został odwołany w ramach odwoływania pisowskich ambasadorów. Wyrok przyjął. Do Brukseli na jego miejsce wysłana została Katarzyna Skórzyńska, ale już jako chargé d'affaires a.i. To była ambasador w Brazylii i w Portugalii, pani w wieku emerytalnym, niechętna kontaktom na poziomie szkół niedzielnych.

Siemianowski wrócił do Warszawy, zameldował się i po paru miesiącach dostał stanowisko kierownika referatu w Departamencie Polityki Europejskiej Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Czyli, jak na byłego ambasadora, nie za wysoko. Wytrzymał to.

I oto proszę, w sierpniu 2025 r. został powołany na stanowisko dyrektora Ośrodka Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą (ORPEG). Czyli dyrektora wszystkich szkół polskich za granicą. Tych przy ambasadach i nie tylko, uczących języka polskiego i polskiej historii. Ale zadaniem ORPEG jest też metodyczne i merytoryczne wspomaganie nauczycieli języka polskiego.

Nominację wręczyła Siemianowskiemu minister edukacji Barbara Nowacka. I już od września nowy dyrektor mógł nadzorować swoje placówki.

Pochylmy się nad tym wydarzeniem. Można je czytać jako niefrasobliwość Nowackiej, że daje ważną funkcję człowiekowi z ekipy Dworczyka. Można także czytać jako znak, że obecna ekipa jest otwarta i nikomu w życiorysach grzebać nie chce. Albo cmokać z podziwu, że są ludzie, którzy potrafią robić dobre wrażenie na różnych politykach. Można również uznać, że człowiek kompetentny – i po KSAP – zawsze jakieś zadanie znajdzie, zwłaszcza że na tle swojej następczyni w Brukseli prezentuje się całkiem dobrze.

Wiele jest tłumaczeń. I niech każdy wybierze sobie, jakie lubi. Bo to Polska właśnie.

Attaché



Kłótnia między izraelskim osadnikiem a palestyńskim rolnikiem podczas zbioru oliwek. Okolice Ramallah na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu, 29 października 2025 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 1c3502ee53









PENETRACJE

PANI

PROF. JOANNA SENYSZYN,
LEWICOWA POLITYCZKA

Pamiętam, jak w 2007 r. z mównicy sejmowej przemawiałam na temat aborcji i posłowie PiS zaczęli ryczeć: „Szkoda, że ciebie matka nie wyskrobała". A ja na to: „Witam w gronie zwolenników aborcji. Szkoda, że wybiórczej". W polityce byłam prekursorem wielu rzeczy. Jako pierwsza mówiłam o świeckim państwie, o likwidacji przywilejów finansowych Kościoła. Mówiłam o prawach kobiet, prawach osób LGBT. Chyba w roku 2003 mówiłam o tym, żeby zlikwidować IPN. Wówczas nawet moja partia była oburzona, a teraz prawie cała demokratyczna większość tak uważa. Gdyby mnie wtedy posłuchali, nie byłoby prezydenta Nawrockiego…

Monde diplomatique

PROF. DANIEL ZAMORA,
SOCJOLOG, WOLNY UNIWERSYTET BRUKSELSKI

Jako przyczyny nadmiaru fałszywych informacji podaje się algorytmy selekcyjne, sieci zwolenników teorii spiskowych i ingerencje zagraniczne. Takie podejście pozwala unikać poruszania kwestii oczywistej porażki liberalizmu i tego, że instytucjom brakuje legitymacji w oczach społeczeństwa, które coraz bardziej krytycznie podchodzi do oficjalnego dyskursu, zarówno politycznego, jak i naukowego. (…) Papież Franciszek ostrzegł przed „dezinformacją". „Zbyt często", zauważył, komunikacja „upraszcza rzeczywistość, aby wywołać instynktowne reakcje". Chociaż trudno powstrzymać uśmiech na myśl, że Kościół katolicki – Kościół niepokalanego poczęcia, zmartwychwstania i przemiany wody w wino – staje na czele walki o prawdę, jego diagnozę podziela duża część intelektualistów i mediów.

KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Czy Rafał Trzaskowski miał szanse na zwycięstwo? Pisałem o tym. Że czasami lepiej z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć? Nie będę obrażać połowy Polski. Ale nie widzę powodu, aby się wstydzić różnic, które nas dzielą. Dla mnie ważna jest kultura, oczytanie i wiedza. Taka osoba budzi moje większe zaufanie niż facet walczący w ustawce. (…) I będę się kierować Markiem Edelmanem: „Co robić, gdy w życiu jest ciężko? Iść dalej. I nie chodzi o to, aby iść po słonecznej stronie". Jerzym Pilchem zauważającym: „Plugawy gest nie staje się mniej plugawy przez to, że ma silne poparcie społeczne". I Wajdą pointującym: „Mniej gadać, więcej robić".

VIVA!

SIOSTRA MAŁGORZATA CHMIELEWSKA,
PREZESKA FUNDACJI DOMY WSPÓLNOTY CHLEB ŻYCIA

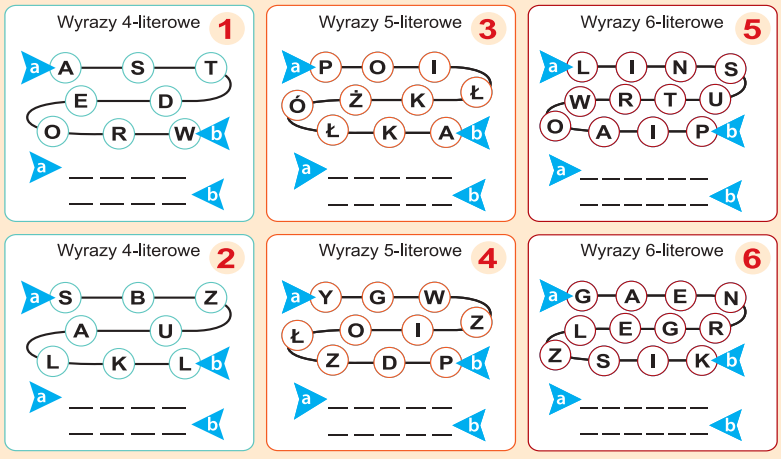
Żyjemy w czasach wielkiego zamętu, politycznego i etycznego. Nie wiadomo, dokąd zmierzamy jako społeczeństwo, a do tego są siły, które chcą, żebyśmy byli skłóceni i wiedzieli jak najmniej. Wciąż niestety skuteczna jest maksyma wymyślona w czasach Cesarstwa Rzymskiego: „Dziel i rządź". To jest dla mnie oczywiste. Czy ja się boję przyszłości? Nie. Staram się działać zgodnie z wymogami czasów. Nie było w historii momentu, w którym nie toczyłaby się na naszej planecie jakaś wojna. Jedyne, co się zmienia, to fakt, że dzięki mediom mamy szybszy przepływ informacji i, niestety, też dezinformacji. Kiedyś ludzie nie mieli świadomości, co się dzieje po drugiej stronie świata, teraz dowiadujemy się o jakimś zdarzeniu w sekundę. A po kolejnej sekundzie ktoś może nam już zacząć mieszać w głowie. Dlatego w tym całym zamęcie trzeba zachować wierność swoim wartościom. I po prostu być przyzwoitym człowiekiem.

FOT. AMEM, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SARKA FARKA (2)

eprasa.pl 1c3502ee53

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.



ROZWIĄZANIA: STER, WODA, SZAL, KLUB, PIŁKA, ŁÓŻKO, GWIZD, PŁOZY, LISTWA, PIORUN, ANGLIK, SZEREG



Aby język giętki…

LESZEK MILLER O PAWLE KOWALU

Niestrudzony eksponent banderowskich interesów w Polsce. Należy do tych polityków i publicystów, którzy świadomie wspierają politykę manipulacji i zapomnienia.

HENRYK MARTENKA O SZYMONIE HOŁOWNI

Napędzany entuzjazmem amator, sam zdecydował, że przestaje się wygłupiać w telewizji, a zaczyna w polityce.

DANIEL OLBRYCHSKI O ANDRZEJU WAJDZIE

Pobiliśmy chyba rekord świata w liczbie filmów w duecie „wybitny reżyser i jego ulubiony aktor".

GRZEGORZ TURNAU O NARZEKANIU

Narzekanie nie jest w ogóle dobre. Odradzam. Czasy są zawsze dzisiejsze. Nie ma innych. Dlatego staram się lubić swój czas.

JOACHIM BRUDZIŃSKI O SŁAWOMIRZE MENTZENIE

Czy po wyborach zerwało mu beret i uwierzył, że jest już jakimś demiurgiem na scenie politycznej?

DARIUSZ DZIEKANOWSKI O LEGII WARSZAWA

Zespół Iordănescu gra niechlujnie w tyłach i nieporadnie w ataku. Szybko więc dochodzi do ściany.

KUBA BADACH O JEDZENIU W AZJI

Chodzimy z Olą tam, gdzie kierowcy tuk tuków. Wiemy, że tam będzie topowe jedzenie za ok. 3 zł.

AGATA PASSENT O PROMOCJACH

Po paru dekadach nabijania Polaków na lewe kredyty i deweloperskie przekręty z dziurami w ziemi nauczyliśmy się czytać ulotki o promocjach.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 1c3502ee53

47. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2025



1

Biennale Malarstwa Bielska Jesień jest jednym z najważniejszych konkursów artystycznych w Polsce. To wydarzenie, które od przeszło 60 lat promuje sztukę współczesną. Jury 47. edycji, dokonując wyboru spośród 1005 zgłoszeń, zakwalifikowało do wystawy finałowej prace 54 artystek i artystów – łącznie 89 obiektów malarskich. Nie pudrują one rzeczywistości, to malarstwo intensywne, konfrontacyjne, odsłaniające lęki i napięcia współczesności, stanowiące zapis emocji i pęknięć, które konstytuują dzisiejsze malarstwo. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas otwarcia wystawy finałowej, 7 listopada 2025 r. o godz. 18.



2

Galeria Bielska BWA
Bielsko-Biała, ul. 3 Maja 11
do 11 stycznia 2026

1. Katarzyna Swinarska, Tryptyk ukraiński, część 2
2. Mateusz Drozdowski, Adoracja
3. AMS, Mniej szczeka, bardziej gryzie
4. Wojciech Koniuszek, Nauczyciel z Gdańska



3



4

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1c3502ee53

MIŁOŚĆ

REŻYSERIA DAG JOHAN HAUGERUD

LAUREAT ZŁOTEGO NIEDŹWIEDZIA

TROMSØ INTERNATIONAL FILM FESTIVAL
Nagroda FIPRESCI

Göteborg Film Festival
Najlepsza aktorka

81
MOSTRA INTERNAZIONALE D'ARTE CINEMATOGRAFICA
LA BIENNALE DI VENEZIA
konkurs główny

W KINACH OD 7 LISTOPADA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

NIEZWYKŁA OPOWIEŚĆ O ZWYKŁYCH LUDZIACH,
ICH CODZIENNYM ŻYCIU
I... MIŁOŚCI



eprasa.pl 1c3502ee53



UKRAÏNA!

10. FESTIWAL FILMOWY

Warszawa | Kinoteka | Atlantic | Iluzjon | CKF im. A. Wajdy | 3–10.11.2025

INNE MIASTA: LISTOPAD – GRUDZIEŃ

NCKF – Łódź | **DCF** – Wrocław | **Muza** – Poznań | **Kino za Rogiem** – Płock | **Centrum Kultury** – Lublin
Kino pod Baranami – Kraków | **Dom Ukraiński** – Przemyśl

ORGANIZATOR

WSPÓŁFINANSOWANIE

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

eprasa.pl 1c3502ee53